



**Lwowska Narodowa Naukowa Biblioteka Ukrainy imienia W.
Stefanyka**

NAUKOWY DZIAŁ CZASOPISM IM. MARJANA I IWANNY KOCIW

Ż 36620

Promyk : ilustrowane czasopismo dla młodzieży

R.1872 nr 1-27

Lwów



Ж

III

36620

1842

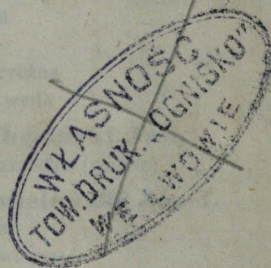
PROMYK

ILLUSTROWANE CZASOPISMO DLA MŁODZIEŻY,

REDAGOWANE PRZEZ

WŁADYSŁAWA BEŁŻE.

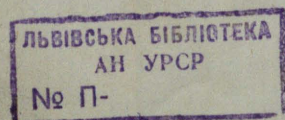
z 41 ILLUSTRACJAMI.



WE LWOWIE,

NAKŁAD I WŁASNOŚĆ F. H. RICHTERA.

z Drukarni Narciowej W. Manieckiego.



III

Ж-36620/1872

ЛВІВСЬКА БІБЛІОТЕКА

АН У. Р.

№ П-

TREŚĆ.

Bełza Władysław.

	str.
Wstępne słowo (wiersz)	2
Mały wojak (wiersz)	4
Złapana myszka (wiersz)	12
Pamiętajcie o ptaszkach	15
Kotek (wiersz)	16
Zmarłe dziecię (wiersz)	32
Chora dziecina (wiersz)	40
Pajac (wiersz)	53
Dziecię Mojżesz	54
Do polskich dzieci (wiersz)	57
Z życia astronoma (powiastka)	65
Kogo kochać (wiersz)	68
Samuel	71
Rozmowa z gołąbkami (wiersz)	75
Młodość Józefa	77
Gawęda o gwiazdce	92
Mała gospoia (wiersz)	95
Polska mowa (wiersz)	103
Pieśń o igle	110
Ręka w rękę (wiersz)	116
Dzień Adasia (wiersz)	126
Sprzeczką (wiersz)	136
Szkółka Freblowska	139
Skarga (wiersz)	142
Antoś piaskarz (powiastka)	145
	i następne
Paciorek (wiersz)	148
Pierwsze oczko w świat (wiersz)	156
Abecadło o chlebie (wiersz)	161
Dzień dobry (wiersz)	172
Polska dziewczeczka (wiersz)	180
Lalka Helci (wiersz)	192
Jezus pracowite dziecię (wiersz)	197
Guściowi (wiersz)	207
Żegnajcie dzieci (wiersz)	209
Alfa i Omega (wiersz)	216

Berlicz Sas.

Wierzcie (wiersz)	27
-------------------	----

Brzostowski Al. Bol.

W jesieni (wiersz)	212
--------------------	-----

Bezimiennie.

	str.
Kołęda	7
Do chłopczyka (wiersz)	23
Sen i śmierć	23
Praca odkładana	31
Piotr Boduen	36
Wicun (wiersz)	42
Sokrates	45
Adrian Florent	60
Ul	68
Rzetelność Piotrusia	84
Postrzyżyny	96
Ofiarowanie Izaaka	104
Piękny przykład	112
Koza	128
Ptaki	141
Sobótka	143
Ryby elektryczne	144
Zegar z kwiatów	152
Dzieci w Bretonii	175
Młodość Rejtana	198
Częstochowa	204
Anegdota historyczna	208
Złe zawsze się wyda	211

Chęciński Jan.

Kłamstwo bez grzechu (wiersz)	190
-------------------------------	-----

Chmielewski Józef.

Pszczółka (wiersz)	112
Kogo chwalić (wiersz)	120
Skąpy Kazio	120
Tadzio	127
Mylne oskarżenie	134
Żółta róża	138
Prech strzelniczy	148
Posłuszny Wicun	174
Nietoperz	179

Deotyma.

Litanja do Polski (wiersz)	180
----------------------------	-----

Deryng Emil.

Duch Hamleta (Komedyjka)	30
--------------------------	----

i następne

Niespodzianka (komedyjka)	str. 86
Teatrzyk dziecinny	i następne 185

Dzieduszycki Michał.

Halce (wiersz)	184
----------------	-----

Gordon Jakób.

Mały kantonista (powiastka)	3
	i następne

Goszczyński Seweryn.

Do dzieci (wiersz)	164
--------------------	-----

Gorski Kazimierz.

Bolesławek Krzywousty	6
Posel z Upity	22
Rustan	36
Budowle palowe	46
Struś	53
Żóraw	108
Martwy ptaszek (powiastka)	113
	i następne
Statut Wiślicki	118
Solon i Krezus	132
Łasica	147
Gniazda Jaskółek	173
Bażanty	213

Haidecki Alexander.

Księżyc i słońce	76
Koncert w naturze	91
Deszcz	101
Biblioteka Ossolińskich	124
Wędrowiec (wiersz)	132
Elektryczność	188

Krasicki Ignacy.

Zajączek (bajka)	85
Kot i mysz (bajka)	93

Kraszewski J. I.

Boże dary (powiastka)	str. 129
-----------------------	----------

Ordon Władysław.

Sieroty (wiersz)	20
Pies	27

Pieńkowski Karol.

Pieśń nad kołyską (wiersz)	88
----------------------------	----

Podwyszyński Aleksander.

Wet za wet (Komedyjka)	150
	i następne

Skiba Wołody.

Pudeleczek (powiastka)	72
	i następne

Starkel Romuald.

Kopalnie złota	12
----------------	----

Wilkońska Paulina

Wojtuś Gregorjanek (powiastka)	25
	i następne

Kawałek tortu (powiastka)	169
	i następne

Listy do młodych przyjaciół:

I. Do Januszka G.	83
II. Do Maryni B.	107
III. Do Jasia M.	123
IV. Do Wandzi W.	163
V. Do Mieczka R.	183

Zamojski Tomasz.

List z 1582 roku	54
------------------	----

Zagórski Seweryn.

Modlitwa w stuletnią rocznicę (wiersz)	177
Stefan Batory	181

**Aforyzmy, Myśli (z Adama Mićkiewicza) Rozmai-
tości, Szarady i zdania prawie w każdym nu-
merze pisma.**



ILLUSTROWANE CZASOPISMO DLA MŁODZIEŻY.

OD REDAKCYI.

Z dniem dzisiejszym, w Imię Boże, rozpoczynamy wydawnictwo „Promyka,” w tem przekonaniu, że znajdziemy poparcie u rodziców i przewodników młodzieży, a sympatyę w gronie młodych naszych czytelników.

W program „Promyka” wchodzi: *Dzieje ojczyście, historia święta, powieści i opowiadania, gawędy popularno-naukowe, wreszcie wierszyki i bajeczki* w zastosowaniu do pojęć dzieci.

Znani zaszczytnie z prac swoich autorowie, jak pani Paulina z L. Wilkońska, Wł. Sabowski, Berlicz Sas (Juliusz hr. Strutyński) K. S. Bodzantowicz, (Kajetan Suffczyński), Ł. Tatomir, Jan Chęciński i w. i. przyrzekli już swój współudział w „Promyku”, a pierwszorzędne siły artystyczne zapewniły nas o swojej pomocy.

W następnych numerach „Promyka” drukować będziemy nader zajmującą powiastkę Władysława Sabowskiego, p. t. **Pudełeczko, Listy do młodych przyjaciół** P. z L. Wilkońskiej, **Dziatwę Biblijną** szereg obrazków z historii świętej przez W. Belzę i w. i.

Prenumerata „Promyka” wynosi

we Lwowie kwartalnie 1 złr. 50 ct. — na prowincyi 1 złr. 70 ct.

w Poznaniu „ 1 tal. — „ „ 1 tal. 4 sr. gr.

Przedpłatę przyjmują wszystkie księgarnie krajowe i zagraniczne.

Wstępne słowo.

Dawny znajomy, do serc twych dziatwo,
Znów po staremu kołata;
Pewny, że przyjaźń odnowi łatwo,
I że go przyjmiesz jak brata.

Że tak jak dawniej w dziatczek rzędzie,
Znajdzie gościnne schronienie,
I znów w ich główkach rozświecać będzie,
Jasne nauki promienie!

Że go jak dawniej dziątek gromadka,
Otoczy pełna radości...
A wspólna praca pójdzie jak z płatka,
I wyda owoc w przyszłości...

A za to dziatwo ja ci otworzę,
Ten świat zakłęty przed okiem...
Co w snach dziecięcych, nieraz cię może,
Wabił nieznany urokiem...

Nic ci nie będzie tajne w tym świecie,
A wszystko równie ciekawe.
W nim znajdziesz pokarm duchowy, dziecko!
I w nim przyjemne zabawę.

Poznasz na łąkach kwiatki wzorzyste,
Robaczki w trawce znikome...
A skoro spojrzysz w niebo gwiazdziste,
Gwiazdki ci będą znajome.

Gdzie wzrokiem rzucisz — zawsze w około,
W przyjaznej znajdziesz się rzeszy,
Która cię witać będzie wesoło,
I nieraz w smutku pocieszy.

Wtedy śpiew ptaszka, wonie wspaniałe,

Szum fali gdy się rozwełnią;

Będą ci znane i zrozumiałe,

I pierś rozkoszą napełnią.

Ale się uczyć usilnie trzeba,

Nim się te cuda zdobędzie!

A szczerą pracę pewnie Bóg z nieba,

Umacniać łaską swą będzie.

WŁADYSŁAW BEŁZA.

MAŁY KANTONISTA

przez

J. GORDONA.

I.

Młodość Tadzia.

Trawdziwe to zdarzenie, które wam drogie dzieci opowiedzieć zamierzam, miało miejsce w r. 1831, gdy wojska najezdnicze wkroczyły do Warszawy i porywały z tamtąd najlepszych obywateli, aby ogołociwszy kraj z ludzi mądrych i pełnych poświęcenia, tem łatwiej mogły utwierdzić w Polsce swoje panowanie.

W owym czasie, schronił się był do swego rodzinnego miasteczka Wąchocka dzielny żołnierz kampanii trzydziestego roku, kapitan Zaliwski, który w ostatniej bitwie niebezpiecznie został ranionym. Moskale dowiedzieli się o nim przez swoich szpiegów, napadli na dom, zabrali rannego, a wywiozłszy go w głąb Rosyi, oddali do szpitala; skoro zaś wygojony powstał z łoża boleści i mógł iść piechotą, zapędzili biedaka na koniec świata, do pustyń syberyjskich...

I odtąd nikt w Warszawie ani w Wąchocku nie wiedział, co się z p. Zaliwskim stało.

Została po nim żona z małym Tadziem, sierotą.

Zrozpaczona tym strasznym wypadkiem, pozbawiona opieki, udała się ona wraz z synkiem na Litwę, gdzie miała dalekich krewnych, podawała z tamtąd kilka razy prośbę do rządu, aby się dowiedzieć o losach męża, ale nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, postanowiła udać się do stolicy imperatora, i u stóp tronu błagać miłosierdzia dla nieszczęśliwego małżonka.

Podróż czekała ją długa, bardzo długa.

Sprzedawszy wszystkie swe ruchomości, po wysłuchaniu mszy św. i pożegnaniu się ze swoimi, puściła się ze łzawem okiem w drogę, zabrawszy rozumie się, ukochany skarb swój — ośmioletniego Tadzia.

Wierny pies dworski, z którym Tadzio zwykł był figlować, odprowa-

dził ich o kilka wiorst za wioskę, lecz widząc, że niepodąży za jadącymi, zawrócił się skomląc ku domowi.

Pozostali sami na bożym świecie.

Biedna kobieta, nieszczęśliwa matka, przebywała odważnie obszary różnych gubernii, gdzie brodate twarze kacapów, dzikie wejrzenia przewoźników na rzekach, podejrzanе miny karczmarzy w zajazdach, u których nocować musiała, rozmawiających nieznanym językiem, przerażały ją wprawdzie, ale ufność w Panu i nadzieja dodawały jej odwagi.

Lecz nie tak nie dręczyło stroskanego jej serca, jak spotykane na drodze konwoje żołdatów moskiewskich, wiodących środkiem gościńca, przykutych na łańcuchach do żelaznego drąga ludzi, których urywane słowa polskiej mowy zalatywały do jej ucha. Byli to jeńcy wojenni, a przedtem bohaterowie, co walczyli za kraj swój, za wiarę i obyczaje przodków, rycerze wzięci przemocą do niewoli, których w podobny sposób traktowano, pędząc gdzieś do lodowatych krain, gdzie tylko białe niedźwiedzie i zima wieczna panują.

Czasami przed oczyma naszych podróżnych, mignęła kibitka, uwożąca na wygnanie, którego ze znakomitszych rodaków, a wszystko co żyło na wsiach, uciekało na jej widok, jak spłoszone

gołębie, które spostrzegłszy jastrzębia, zataczającego koła w powietrzu, kryją się trwożnie do gniazdka.

Nadwątłone zdrowie pani Zaliwskiej pomimo że duch jej opierał się boleści, nie mogło pokonać trudów i niewygód tej kilkusetmilowej podróży. Zaraz za przybyciem do Petersburga zachorowała; przyszedłszy nieco do siebie udała się do monarszego pałacu; atoli gdy odmówiono jej audiencji, popadła powtórnie w chorobę i w nocy zakończyła życie, z wyciągniętymi rękoma do łóżeczka śpiącego Tadzia.

Biedny Tadzio! pozostał samotny, opuszczony wśród obcych, jak zapędzona wiatrem ptaszyna na pustynię. Płakał i kwilił niebożę przy zwłokach matki, nie rozumiejąc jeszcze całego ogromu niedoli, co go dotknęła w najtkliwszej żywota wiosnie; gdy zaś nieboszczkę z ubogiej izby wynoszono, „mama śpi, nie bierzcie mamy! nie bierzcie!“ wołał do sług pogrzebowych.

Próżne wołanie Tadzia! Od czasu, jak usnęła mama, zmieniły się losy dzieciny.

Nazajutrz zjawiła się policya, zabrała z sobą chłopczykę i oddała do domu ochronki, a w kilka tygodni potem naznaczono go z rozkazu cara do korpusu kantonistów, złożonego przeważnie z dzieci żołdackich.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

MIAŁY WOJAK.

Co ja widzę? u młodzieży,

W pokoiku nieład wielki?

Na podłodze książka leży...

W główkach wróble i figielki!

Zamiast zasiąść nad stolikiem,

Czytać „pensum“ z kajecika:

Jaś wywija pałasikiem,

A Staś służy za konika!

Chociaż ładnie ci w kołpaczku,
Chociaż bystry konik z brata:
Szablą — wierzaj mi chłopaczku,

Oto — zwycięż opieszałość,
I weź figle do niewoli...
Tak, lenistwo zmógłśy sztuką,



Nie podbijasz jeszcze świata!
Lecz ci wskażę, gdzie twa śmiałość,
W świetnej może błysnąć roli:

Ucz się, ucz przy łasce Bożej!
Bo świat tylko przed nauką,
Z uwielbieniem głowę korzy!

WŁADYSŁAW BEŁZA

Bolesławek Krzywousty

w wyprawie na Morawian 1093 roku.

Ośm wieków upływa od wydarzenia, o którym chcę wam drogie dzieci opowiedzieć. Panował wówczas w Polsce Władysław Herman, książę łaskawy i dobry, ale słabego charakteru; to też wiele nieszczęść spadało wtedy na biedną naszą Ojczyznę. Równocześnie z Władysławem panował w Czechach, kraju graniczącym z Polską, Brzetysław drugi; król ten żądał od Polaków, aby mu co rok płacili daninę tj. pewną ilość pieniędzy. Król Władysław uważał to za obrazę i nie chciał na to przystać. Wtedy Brzetysław z wielkiem wojskiem napadł na Szask, który to kraj należał wówczas do Polaków, i strasznie go spustoszył. Król Władysław nie mógł tego puścić bezkarnie i rozmyślał nad tem, jakby dumnego Czecha ukarać.

Znajdował się wówczas król nasz w starym grodzie Płocku nad Wisłą; zasiadł na wspaniałym tronie w złotym królewskim płaszczu i kazał przywołać Sieciecha, najwaleczniejszego swego wodza. Ten stanął przed królem w pełnej rycerskiej zbroi, w żelaznym hełmie z powiewającą kitą piór, w świecącym stalowym pancerzu i odebrał od króla rozkaz zebrania rycerstwa polskiego i udania się do Morawii. Kraj ten należał do Brzetysława; spustoszeniem więc jego chciał król Władysław pomścić się za zniszczenie polskiego Szłaska.

Przy tronie królewskim stało obok swej matki dziewięcioletnie jasnowłose chłopię; był to syn królewski — Bolesławek. Kiedy usłyszał, że Ojciec wyprawia Sieciecha na Czechów, wyrwał się z rąk matki i przypadłszy do kolan

ojcowskich, prosił go ze łzami w oczach: — Królu mój i Ojcze! wysyłasz Sieciecha z wojskiem przeciwko Czechom, aby się pomścił za krzywdy jakie nam wyrządzili; pozwól niech i ja z nim pójdę niech i ja jego trudy podzielę!

Ojciec spojrział zdziwiony na małego i śmiałego chłopca, ale nie chciał zezwolić, aby się narażał na niebezpieczeństwa wojenne. Na ponowne jednak proźby Bolesławka, kiedy i Sieciech za nim się wstawiał i przyrzekł się nim opiekować i zdrowym przywieść do Ojca, król pobłogosławił chłopczyne i pójść na wojnę pozwolił.

Radość małego Bolesławka była niezmierna. Wybiegł zaraz po swą szabelkę i kazał osiodłać swego konika, którego mu Ojciec darował.

Wkrótce zebrało się przed zamkiem królewskim liczne rycerstwo na koniach, w lśniących pancerzach i kirysach. Na znak pochodu zagrały trąby; Bolesławek dosiadł swego konika. Dano znak i rycerstwo ruszyło na południe ku Morawii. Na czele jechał Sieciech i obok niego mały Bolesławek.

Z Płocka do Morawii, to droga daleka, to też pochód trwał dość długo; wreszcie przybyli na nieprzyjacielską ziemię. Król Brzetysław wyprawił wojsko przeciwko Sieciechowi; przyszło do krwawej bitwy, w której wielu z nieprzyjaciół zginęło, reszta uciekła. Sieciech chciał, aby Bolesławek w czasie bitwy w miejscu bezpiecznym za wojskiem pozostał; ale Bolesławek wyprosił sobie, iż Sieciech zostawił go przy swoim boku i dzielił z nim wszystkie niebezpieczeństwa.

Tak pomścili się Polacy za spustoszenie Szląska. Król Władysław nie mógł się dość nacieszyć, iż ma tak dzielnego syna i wielkie w nim pokładał nadzieje. To też rzeczywiście, z małego Bolesławka wyrósł potem jeden z najdzielniejszych królów jakich

Polska miała. Wygrał on w swem życiu 47 bitew, a Polska pod jego berłem była tak wielką i sławną, jak pod dwoma jego poprzednikami tego samego imienia t. j. pod Bolesławem Chrobrym i Śmiałym.

K. G.

KOLEDA.

Wyraz ten, podług jednych ma pochodzić od pogańskiego bóstwa starożytnych Słowian, którego święto do uroczystości Bożego narodzenia zastoso-
wano; podług innych od słowa łacińskiego *Calendae*, pierwszy dzień miesiąca. Pierwsze przepuszczenie zdaje się prawdopodobniejsze. Słowianie czcili bóstwo *Koladę*, czego dowód pozostał w pieśni, śpiewanej dotąd w wigilję Bożego narodzenia na Rusi, a poczynającą się od słów:

Kolada — Koladica!

Dajcie maczku i t. d.

Kolęda trwa od Bożego narodzenia aż do Matki Boskiej Gromnicznej, a czasem przez całe miesiące.

Żaki chodząc po domach z jasełkami lub też z gwiazdką misternie ze złotego papieru wyklejoną, śpiewały pieśń: „W żłobie leży.“ Często także, po wsiach szczególnie, sam pleban z organistą, w towarzystwie przybranych w komeżki chłopców, którzy z całej siły dzwonkiem dzwonili, chodził po kolędzie. Wszedłszy do izby, dawał krzyż do pocałowania mieszkańcom i stawiał go na przygotowanym stole. Po krótkiej przemowie do domowników, egzaminował dzieci i czeladź z katechizmu. Po wsiach, dawano kolędującym ser, orzechy, suszone owoce, często kilka groszy; we dworach sporszy pieniądź i sute ugoszczenie.

W domach zamożnych, bywała kolęda okazała... Stawiono na stole jodełkę, bogato przystrojoną najrozmaitszemi łąkociami, na stołach rozkładano podarki dla dzieci i domowników i darzono ich wspaniale. Któreż dzieci nie oczekuje z bijącym serduszkiem tej uroczystej chwili, w której dziadunio lub mama otworzą drzwi po za którymi kryje się tajemnica ich szczęścia? Któż ze starszych nie tęski za tą chwilą i za temi szczęśliwemi czasami?...

W inny sposób, obchodzą święta Bożego narodzenia rzymskie dzieci. Zbierają się one w kościele *Ara Coeli* zwanym, i wśród licznie zebranych rodziców i opiekunów, wygłaszają kazania stosowne do uroczystości. Aż serce się raduje, słuchając tych małych kaznodziei... Nie raz łąza w oku zabłyśnie, wywołana potęgą, słowa płynącego z niewinnych usteczek dzieci. Jedno np. prawi jak to anioł pasterzom zwiastował przyjście Chrystusa, drugie opowiada o wole i osiołku ogrzewających zziębnięte ciało dziecięcy, inne nakoniec o gwiazdzie prowadzącej mędrców ze wschodu do ubogiej stajenki Betleemskiej... Pobożni Rzymianie z namaszczeniem słuchają tych opowieści, i lepsi i zbudowani opuszczają świątynię pańską.

Patrząc na te dzieci, każące w gro-
nie poważnej starszyny przychodzą na

myśl owe słowa Chrystusa Pana: „Pozwólcie dzieciom przyjść do mnie, albowiem ich jest królestwo niebieskie.“

Po wsiach u nas najpospoliciej odbywa się kołęda około Trzech króli; z tego powodu, wigilję tej uroczystości, w niektórych stronach Polski nazywają:

na powróśle niedźwiedzia, obchodzili wieś całą i zbierali datki.

Po Trzech królach ustawała kołęda, a rozpoczynał się obchód zapust, których początek również słowiański, bierze miano od *Pusta* bożka pustoty i wesołości.

* * *



Mieszkańcy Kaukazu. (Do powiastki Mały Kantonista.)

„szczodrym wieczorem,“ że wtenczas rodzice dzieciom, gospodarze czeladce podarki zwykli byli rozdawać. Parobcy poprzebierani za dziadów, z przewróconym kozuchem, lub też prowadząc

ZAGADKA.

Chciej tylko dziecię pomyśleć szczerze,

A reszta pójdzie jak z płatka:

Masz dwie literki w jednej literze,

I oto cała zagadka.



ILLUSTROWANE CZASOPISMO DLA MŁODZIEŻY.

MAŁY KANTONISTA

przez

J. GORDONA.

II.

Pochód.

Nastąpiły oblóczyny i postrzyżyny Tadzia.

Zawiedziono malca na tak zwany „punkt zborny“, gdzie zastał już liczną gromadę towarzyszków podróży, co mieli z nim dzielić przygody losu; tam ostrzyżono mu kędzierzawe włoski przeddziano w grubą koszulkę, w szarą skarbową siermięgę, i załękniętego wypadkami, wcielono do partyi, mającej wymaszerować na Kaukaz, miejsce jej przeznaczenia.

Tymczasem też nadeszli starzy weterani (diatki), naznaczeni do prowadzenia chłopców, podziesiątkowali ich między siebie; potem w bęben uderzono, a na ten znak partya

wojskowych kantonistów ruszyła w pochód zwolna i wyszła pomału, smutno, w milczeniu za rogatki Piotrowego grodu. Litościwi przechodnie rzucali jej jałmużnę!

Po kilku wiorstach nastąpił przystanek, czyli popas. Odbył się on w wozowni obszernej karczmy, stojącej przy gościńcu.

Podoficer komenderujący pochodem zawołał gromkim głosem: „Piewczyje w pierod!“ (śpiewacy naprzód.)

Na ten rozkaz kilku sołdałów wystąpiwszy z tłumu zanuciło chórem obozową piosnkę przy brzęku bałabajek, pośród świstania i wybijanych do taktu hołupców przez innych weteranów.

Tymczasem znużony drogą Tadzio, tudzież dziatwa kantonistów, legli na ziemi pokotem.

Owa rubaszna wesołość żołdacka, owe dzikie śpiewy przeplatane smętną przegrywką o trzech strunach bała-bajki, łzy wyciskały Tadziewi nie nawykłemu do takiej muzyki, ani do takiej drużyny, i mimowolnie brzmiał w jego sercu hymn, „Kto się w opiekę odda Panu swemu“... który nieboszczka matka nuciła zazwyczaj nad kolebką jego.

Kwilił w skrytości nieborak, nakrywszy się siermięgą, aż dopóki sen nie zmrurył mu powiek.

Nazajutrz i dni następnych czekała go dłuższa podróż, podobnie z małą odmianą rozrywki i wrażenia, do czego powoli się wdrażał, zapominając o dniu poprzednim. To tylko młodość potrafi!

Dzięki Opatrzności, przebył wreszcie zdrowo i szczęśliwie wiele gubernii, a nawet uśmiechał się niekiedy do przejeżdżających, co zagadali do niego.

Partya, do której należał, złożona przeważnie z dzieci żołdackich, złączyła się w Moskwie z drugą, idącą także do batalionu kantonistów, rozłożonego na Kaukazie.

Ta ostatnia składała się głównie z małych żydków, zabranych w Polsce, mianowicie na Litwie, których jako biednych i sieroty, rząd rosyjski wziął w swoją opiekę.

Opieka taka rządu utrzymuje w trwodze nie jedną matkę Polkę!..

Cokolwiek bądź, biedny Tadeusz mógł przynajmniej pomówić z żydkami rodzinnym językiem, którego im jeszcze w podróży nie zabraniano. Wielka to była uciecha dla chłopięcia!

Lecz to było mu smutno, że wielu z tych żydków marło po drodze.

Włościanie znajdowali przy gościńcu martwe ich ciała z kawałkiem czarnego chleba w kieszonce.

A pochodł postępował dalej, coraz dalej, przechodził zaludnione różnemi plemionami obszary i puste stepy, zdążał przez tygodnie i miesiące, jak gdyby do wieczności.

W Stawropolu, gdzie partya zatrzymała się na dłuższy wypoczynek, Tatarzy zajęli uwagę Tadeusza, jakoteż miasto obleczone w sukienkę na pół wschodnią. Czerkiesów też z ogorzałem obliczem często tu napotykał. Jakkolwiek podbici przez Moskali, ich postacie groźne, z naciśniętymi na czoło baraniami czapkami, z pod których wyglądają bronzowe twarze ze świecącymi oczyma, postacie zbrojne z nożami za pasem, pistoletami i dwoma rzędami ładunków na piersiach, trwogą przejmują wędrowca, który na nie patrzy.

Za Stawropolem rozciągała się cudowna okolica, niby świetna panorama z jakiejś czarodziejskiej melodramy.

W oddaleniu sterczał poważnie łańcuch piętrzących się gór, podobny do pasma nieruchomych obłoków, osiadłych na lądzie.

To zamglony Kaukaz! gdzie miały się rozstrzygnąć dalsze losy naszego małego bohatera!

III.

Przyjacieł.

Zbliżając się do Kaukazu, przebył Tadeusz fortecę Władykaukaz. Groźna ta twierdza, owa odwieczna strażnica niepodległych górali, znajdowała się już podówczas w rękach caratu wraz

z lesistą krainą, co ją otaczała.

Tadzio ze zdumieniem przyglądał się temu nieznanemu światu skał, wąwozów i gór niebotycznych, pomiędzy którymi ukrywali się nieza wojowani jeszcze Czerkiesi, czyhający w zasadzkach na transporta moskiewskie. Nie wiedział wtedy niebożę, że każdy tam kamień, krzak, drzewo, były mu nieprzyjacielem, bo za każdym wróg się ukrywał.

Dzięki atoli silnej eskorcie, jaką przydano w Stawropolu kantonistom, przebyli oni i tę najniebezpieczniejszą drogę bez przypadku. Widzieli tylko dzikie kozły skaczące po stromych urwiskach skał i sępy zataczające w powietrzu koła. Widzieli bezdenne przepaście, czarne jak otchłań piekielna. Widzieli rozbijające się z rykiem spienione potoki, spadające do przepaści, które zdawały się przegrywać na dziką nutę owej dzikiej przyrodzie, stojącej w milczeniu i grozie uroczystej.

Często też przechodzili przez ziemię zasłaną trupami. Jeżeli na tej ziemi, gdzie tylko nieprzyjaciele z sobą się spotykają, poderznęto gardło mahometaninowi, obaczysz na tem miejscu podłużny kamień, na kamieniu napis arabski z wezwaniem pozostałej rodziny zmarłego do zemsty — nad napisem zawój! Jeżeli chrześcianin padł ofiarą, zatknęto mu krzyż — święte godło miłości i przebaczenia!

Lecz owych kamieni tatarskich, lecz owych mogił i krzyżów taka tam liczba, iż zdaje się podróżnemu, że odbywa pielgrzymkę przez cmentarz bez końca. Nakoniec jeden z weteranów wpatrując się w rozrzucone po górach

w oddaleniu chaty, zawołał radośnie: „Baka!“

Baka! powtórzyli jego towarzysze, widząc się u kresu podróży.

Na około Baki ciągnął się czerwony mur, ze sterzczącymi na nim redutami w różnych punktach. Z redut wyglądały paszcze dział spiżowych, a w pośrodku widać było koszary wojskowe, cerkiew, szpital, więzienie, i wielki gmach szkoły kantonistów.

Do tego ostatniego zaprowadzono gromadkę naszych chłopców.

Wieczorem przybyła im niespodzianka. Żołnierze fortecy pochwyciwszy małego Czerkiesia, co się zbłąkał w okolicy, podejrzewając, iż jest synem niezależnego górala Mustafy, przedstawili go komendantowi. Został on tedy z rozkazu tegoż wcielony do kantonistów.

Mały Mustafa był oryginalnem w swoim rodzaju pacholęciem. Podobał się Moskałom w stroju narodowym. Zabawnie było patrzeć na poważną minę tego człowieczka. Z pod ogromnej jak przetak i kudłatej czapki, wyglądał niby słupek u szopy. Miał przypasany do boku kindżał, czyli raczej samego przypasano do ogromnego kindżała.

Moskale odebrali mu kindżał, zdjęli z chłopca czapkę i ubiór czerkieski, a dali natomiast szarą kapotę furazkę wojskową i posłali na musztrę.

Niezdługo związała się przyjaźń między Tadziem a Mustafą, gdy zaś pop przyszedł, żeby ich wraz z innymi przechrzcić na prawosławie, dwaj mali bohaterowie naszej powiastki stroniąc od tej uroczystości, stali na boku trzymając się za ręce.

(Dok. nast.)

ZŁAPANA MYSZKA.

Nie słuchałaś
Myszko mamy,
Po kryjomu,
Wyszłaś z jamy.

Chciało ci się,
Jeść słoninę;
A masz teraz,
Smutną minkę.

Czemu byłaś,
Nieostrożna?
Teraz z łapki,
Wyjść nie można.

Dom rzuciłaś,
Dla łakotek!
A za karę,
Zje cię kotek.

WL. BEEZA.

Kopalnie złota.

Któż z was, młodzi czytelnicy, nie słyszał o Kalifornii, o której bogactwach, w łonie ziemi ukrytych do niedawna jeszcze tak przesadne krążyły wieści? Nie jeden sądził, iż w Kalifornii wystarcza schylić się ku ziemi, aby zbierać pełnemi garściami lite złoto i w jednej chwili stać się mającym.

Aby sprostować te błędne zapamiętania podajemy poniżej niektóre szczegóły o kopalniach złota w Kalifornii i o wydobywaniu takowego.

Dwie ziemie tego samego nazwiska rozciągają się w Ameryce północnej na wybrzeżu Oceanu Spokojnego: Stara Kalifornia, ściśle połączona z lądem stałym i Nowa Kalifornia, tworząca długi a wązki półwysep.

Obydwie te krainy, jeszcze przed dwudziestukilku laty należące do Meksyku, na w pół dzikie, zamieszkałe prawie wyłącznie przez pierwotnych mieszkańców Ameryki tj. dzikich Indian nie zwracały na się niczyjej

uwagi; owszem każdy omijał starannie ich wybrzeża, jako głośnie siedliska rabusiów.

Przed pięćdziesięciu jednak laty, gdy Meksyk wyzwolił się z pod jarzma Hiszpanów, skaliste wybrzeża Kalifornii stały się rzeczywiście bezpiecznem schronieniem dla rabusiów i amerykańskich awanturników. Ci ostatni mianowicie chętnie się tu osiedlali, zagarniając rozległe obszary ziemi bez właścicieli i odłogiem leżącej i wznosili tu sobie obronne zameczki przeciw napaści dzikich Indian. Jeden z podobnych awanturników, wysłużony kapitan amerykański *Sutter* osiedlił się był nie daleko dzisiejszej stolicy *San Francisco* wówczas jeszcze lichej mieściny, a chcąc obejść swoje zabezpieczyć od napadu dzikich, postanowił wznieść wysoki zasiek, z desek zbudowany.

W celu obrobienia potrzebnego materiału wypadało nad małą rzeczką wpadającą do *Sakramento* wystawić tartak, czyli piłę poruszaną siłą wody.

I któżby uwierzył, iż przedsięwzięcie to dało hasło do wydobywania złota, którego wartość do dziś dnia na setki milionów obliczają!

wkrótce sobie tędy drogę utorowała. Lecz gdy wodę następnie znów odwrócono do właściwego koryta, jakież było zdziwienie Suttera, gdy w na-



Plukanie złota.

Działo się to w lutym r. 1848. Sutter chcąc sobie przy budowie kanału ulżyć pracy, kazał wybrać wąski rów i skierował weń wszystką wodę rzeczki, która podmywając brzegi,

mulę wypłukanego kanału spostrzegł błyszczące ziarnka czyściuteńkiego złota! Usiłował on początkowo rzecz całą zachować w tajemnicy, lecz wieść o nieprzebranej obfitości złota w Ka-

lifornii wnet przebiegła całą Amerykę, a nawet przedarła się do Europy.

Tysiące ludzi rozmaitej narodowości i rozmaitych stanów tłoczyło się tu jak gdyby do ziemi obiecanej w nadziei rychłego wzbogacenia się. Okręty codziennie wysadzały tysiące chciwych podróżników; nie było piędzi ziemi, którąby pominięto bez bliższego zbadania. Szał gorączkowy opanował formalnie wszystkich mieszkańców Kalifornii. Nie znalazłeś tam już ani robotników, ani rzemieślników, każdy porzucił swą zagrodę i warsztat, a biegł z rydlem w ręku szukać cennego kruszcu. Nie dziwić się tedy, że w krótkce ustały wszelkie inne zajęcia, stąd dał się czuć brak dotkliwy najpierwszych potrzeb do życia, a w ślad za tęp powstała niesłychana drożyzna.

Chociaż więc niejednemu sprzyjało szczęście i natrafił na bogatą żyłę złota, drożyzna wnet pochłaniała zebrane dostatki. Inni nie umiając cenić grosza, tak lekko zapracowanego, oddali się próżniactwu i rozpuście. Inni znów przy ogromnym braku stosownych pomieszczeń i żywności, a wystawieni na działanie zabójczego klimatu Kalifornii, wymierali tysiącami, tak dalece, iż w krótkce z obcych przybyszów zaledwie trzecia część przy życiu pozostała.

Tylko ludzie silnego zdrowia mogli pracować około wydobywania złota, zwłaszcza że praca to dosyć uciążliwa.

Robotnik zaopatrzony w rydel i łopatę zakreślał sobie miejsce (klem) mające około półtora sążnia kwadratowego przestrzeni i wydobywał ziemię, którą następnie w mniejszych

ilościach sypał do koryta drewnianego napełnionego wodą. W skutek ustawicznego kołysania koryta części ziemne, rozpuszczone wodą zamieniały się w gęsty muł, który starannie z koryta odprowadzano, na dnie zaś osiadały się maleńkie ziarenka złota, które przechowywano w workach skórzanych.

Jednakże cienka warstwa ziemi napływowej, tj. namułu osadzonego w skutek wylewu wód, tak obfitującego w okruszynę złota, wkrótce została spożytkowana; trzeba było więc sięgać głębiej w wnętrze ziemi, a odtąd praca około wydobywania złota stała się o wiele uciążliwszą. Ustało wnet owe pierwiastkowe górnictwo, natomiast trzeba było za pomocą kilofów, świdrów a nawet za pomocą prochu strzelniczego rozsadzać twarde skały, a odłamy kwarcu, będącego rodzajem kryształu, wydobywane z głębokich szybów, tłuczono w stępach lub mielono w młynach. Dopiero z kwarcu, w ten sposób sproszkowanego wyplukiwano ziarenka złota, jak to już wyżej opowiedzieliśmy. Temu zadaniu nie mogły już podołać słabe siły człowieka. Wnet też zaczęto budować olbrzymie stępy i młyny do sproszkowania kwarcu służące a poruszane siłą pary. Tylko zamożniejsi ludzie mogli wznosić podobne zakłady fabryczne, wszyscy zaś inni, którzy dawniej na własną rękę górnictwo prowadzili odtąd byli zmuszeni pracować jako wyrobnicy w fabrykach trudniących się wydobywaniem złota.

Aczkolwiek wartość wydobytego dotąd złota w Kalifornii na setki milionów złotych obliczają, pokłady

się wcale nie wyczerpują, lecz praca około wydobywania natrafia na coraz większe przeszkody.

Ziemia, w której się ziarnka złota znajdują jest barwy siwej, żółtej, blado zielonej, białawej, lecz nigdy czarna; a warstwa tej ziemi napływowej rzadko grubością swą przenosi jedną stopę.

Złoto znachodzi się zwykle w bardzo drobnych ziarnkach, większe bryły złota należą do rzadkich wypadków. W r. 1852, znaleziono bryłę ważącą 117 fut., w r. zaś 1857 donosiły dzienniki, iż znaleziono bryłę złota,

ważącą 3 cetnary, doniesienie to jednak nie zasługuje na wiarę.

Równie bogate kopalnie złota zachodzą się także w Australii.

Wielu z naszych ziomków którzy byli zmuszeni kraj rodzinny opuścić, próbowali szczęścia w poszukiwaniu złota, jeden nawet z nich *Seweryn Korzeliński* napisał bardzo ciekawą książkę o dwóch tomach pod napisem „Opis podróży do Australii“ z której w wydobywaniu złota bliższych szczegółów dowiedzieć się można; ciekawych tedy czytelników odsyłamy do dzieła wyżej wymienionego.

R. St..

Pamiętajcie o ptaszkach.

Lubisz dziecino wiosnę i te tyśiączne uciechy które ci ona przynosi. Lubisz te łąki okryte szmaragdowym kobiercem, tę woń aromatyczną ziół i kwiatów; lubisz szmer strumyka, szum kaskady co falą spada na zębate koła młyńskie; lubisz niebo lazurowe, po którego przestrzeni białe, puszyste obłoczki jak stada łabędzi płyną... Nieprawdaż, że lubisz to wszystko?

Lecz może zgadnę co z tego jest ci najmiłszém?

Oto, najmiłszy ci śpiew skowronka który cię budzi o świcie; szczebiot tysiąca ptasząt w gaju, co ci towarzyszą w twoich uciechach codziennych; wreszcie pieśń słowika, którą cię do snu kołysze.

Nieprawdaż, że nad wszystko lubisz ptaszki?

Z jakim to upragnieniem oczekujesz powrotu bociana! Z jaką to ra-

dością witasz pierwsze gniazdo jaskółcze pod strzechą!...

Lecz wiosna i lato przemkły jak błyskawica... Jesienią większa część skrzydlatych śpiewaków odleciała w cieplejsze strony... Aż posmutniało wokoło!

Wyje zimowa zawieja, wichur śnieżne płaty roznosi po łąkach, pod ołowianem niebem niesłychać już ani pieśni skowronka, ani szczebiotu jaskółek...

Groźna cisza panuje w powietrzu.

Lecz cóż to? Jakiś głos mię dochodzi, coś jakby świergot ptaszyny! Cóż znowu, zkad ptaszek o tej porze? Lecz głos ten staje się coraz wyraźniejszym, coraz to bliższym... Poznaje go! To biedny, szary wróbel tak kwili; to on, wierny syn ojczystej strzechy, który latem i zimą buduje pod nią swe gniazdko i świergotem napełnia powietrze...

Wszystkie ptaszki nas opuściły, on jeden pozostał.

Zgłodniały i na pół obumarły, puka dzióbkiem do waszych okien dziateczki, jak gdyby wam mówił: „nie zapominajcie o ptaszkach!”

Dziatki! litość jest najdroższym skarbem młodego serca... Litujecie się

nad nędzą bliźniego i wspomagacie go chętnie, o, nie zapominajcie wśród ciężkiej zimy o biednych ptaszkach, rzućcie im litościwie garstkę okruszyn, posilcie ich — a one wiosną odwziedzą się wam za to stokrotnie.

Pamiętajcie o ptaszkach!

W. B.

Zagadka.
Pomyśl dziatwo: dwie litery,
A w nich książki i papiery.



Rozwiązanie zagadki z nr. 1.

Kukawka.

K O T E K.

Co minuta, kotek myje
Łapki, pyszczek, uszka, szyję.
Dziatwa często zapomina,

Że się co dzień myć należy...
A czyż nie wstyd, by kocina,
Czystszą była od młodzieży?

W. B.

A F O R Y Z M Y I M Y Ś L I.

— *Diogenes* zapytany o której godzinie należy obiadować, odrzekł: jeśliś bogaty jedz kiedy zechcesz, jeśliś ubogi — kiedy masz.

— Tenże *Diogenes* zapytany: któreby zwierze najszkodliwiej kąsało, odpowiedział: z dzikich zwierząt *oszczerca*, z domowych *pochlebca*.

Główny współpracownik WŁADYSŁAW BEEZA.

Odpowiedzialny za redakcją F. H. RICHTER.

Z drukarni Narodowej W. Manieckiego.



ILLUSTROWANE CZASOPISMO DLA MŁODZIEŻY.

MAŁY KANTONISTA

przez

J. GORDONA.

IV.

W dziesięć lat później.

Na jednej ze stromych gór Kaukazu otoczonej ostrokończastymi skałami, na samym szczycie wznosił się samotny *auł* czyli osada niepodległych górali, zwana *Achulgo*.

Osada ta podobną była do gniazda bajecznych sępów na wierzchołku Elborusu, zaczepionego do urwiska groźnej opoki, u stóp której rozlegały się po wąwozach okrzyki wart moskiewskich, pobudzających się do czujności podczas nocy.

Cała rzecz, że *Achulgo* znajdowało się wtedy w stanie oblężenia, a działo się to w 1839 r.

Gdyby kto z nieprzywykłych do górskiej krainy Europejczyków spoj-

rzył z wysokości tego *aułu* na dół, dostałby zawrotu głowy. Wszakże ufortyfikowany on był przez inżynierów polskich, którzy po nieudanem powstaniu 1831 r. tam się schronili, aby łącznie z wolnymi Czerkiesami przedłużyć wojnę przeciw Rosji.

Zdobycie *aułu* i wdarcie się doń Moskalom zdawało się być niepodobne do wykonania. Mieścił on nadto w swoim wnętrzu skalnem ogromne zapasy żywności, broni i amunicji.

Szamył dzielny wódz prowadzący kilkodziesięcioletnią walkę z Moskwą pokoleń kaukazkich, obrał sobie w *Achulgo* główną siedzibę, a czując się tam bezpiecznym długo w niej przebywał. Tymczasem donośny rozgłos o nim przebiegał obszary wszech Rosji; rząd zaś postanowił

zgnieść dowódcę Kaukazu, uchodzącego za niezwyciężonego proroka między mahometańskimi ludami.

Chociaż Moskale wiedzieli, że bijąc będą bici, że gniotąc mężnych Czerkiesów, sami będą przez nich nielitościwie gnienieni, i że z własnych karków przyjdzie im budować rusztowanie, po którymby się można dostać na Achulgo, przeznaczyli przecież na śmierć ómy żołdatów i posłali na wojnę.

Tadeusz z Mustafą, dwaj nierozdzielni przyjaciele, wyćwiczeni przez dziesięć lat w szkole kantonistów, należeli do tej pamiętnej w dziejach wyprawy.

Szamył, zawiadomiony przez swych zwolenników o przygotowaniach wroga, wydał rozkaz do górali tępienia go podczas marszu, zwłaszcza w ciasnych wąwozach, zakrętach i przesmykach. Sam zaś oczekiwał nań w twierdzy, nie spodziewając się, aby mógł wyleść na taką wyżynę.

Lecz los chciał inaczej.

Jednego pięknego poranku ujrzano z reduty Achulgo czeredę moskiewską, oblegającą z przeważnemi siłami okolicę, i górale swoim sokolim wzrokiem dojrżeli nawet, jak zuchwały nieprzyjaciel gospodarzył tam w najlepszym, jak ścinał drzewa, zarzucając z nich mosty nad przepaściami, niszczył meczety i opuszczone przez mieszkańców domy, rozsadał prochem pokłady granitu tamujące przeprowadzenie armat, wznosił bastiony na miejscach zajętych, i zarzucał drabiny z lin plecione na urwiska szczybanych skał, po których pełznął coraz wyżej.

Zniecierpliwiony Szamył, stojąc w białej szacie na najwyższym wale swej warowni, skinął a krocie kamieni stoczyło się na głowy napastników.

Z tłuszczy pnących się do szturmu żołdatów zrobiła się jedna nieforemna miazga.

Ale na grube warstwy tej miazgi wstąpiły z dzikim wrzaskiem nowe zastępy, podochocone trunkiem, i dopiero po ich trupach, wśród straszliwego zniszczenia, przerażającej poezyi wojny, saperzy Paszkiewicza zdolali podejść nakoniec pod okopy aulu.

Szturm do cytadeli zaczął się niebawem.

Waleczni Czerkiesi bili się zapamiętale. Garstka ich silny dawała odpór, świszczał grad kul koło samego Szamyła, najstarszy syn jego, Dzemmal-Eddin, dostał się do niewoli w bohaterskim starciu; — pomimo tego wojska moskiewskie posuwały się naprzód. Przemoc brała górę!

Obleżonym brakło już amunicyi, brakło broni i kamieni; a z dymiącego pobojuwiska słyhać tylko było zmieszana wrzawę, wark pocisków, jęki ranionych i konających.

Obleżeni chwytają się ostatniego środka, wysadzają w powietrze podminowaną skałę, ta pada do otchłani, roztrzaskując się z rykiem na krocie kawałków, i grzebie tysiące Moskali pogrążonych we krwi strugach.

Pozostali niedobitki, przyczepieni do korzeni drzew, ukryci w szczelinach gór, zawieszeni tam i owdzie na drabinach szturmowych, którym nowe posiłki nadchodzą.

Nie ma już, nie ma ratunku dla biednych Crzerkiesów! Noc czarna pokryła ich żałobnym kirem, na tle którego zajaśniało Achulgo w płomieniach. Na tej kanwie ognistej poruszały się jeszcze sylwetki pasujących się wojowników, słychać było tarcie ich zbroi, szczęk i zgrzyt oręża, rozpaczliwe krzyki niewiast muzumiańskich, wzywających pomocy Allaha, aż dopóki ciemność zupełna nie osłoniła piekielnego obrazu, zostawivszy jeno czerwoną łunę na niebiosach.

Nazajutrz zwycięzcy poczęli grzebać zwyciężonych. Jenerałowie rosyjscy każą szukać zwłok Szamyla, i nie znajdując ich; zatrwożeni, nie dowierzając sobie, czynią po raz drugi i trzeci poszukiwania, a zawsze na próżno; król gór zdołał się ochronić od zagłady, a wywiesivszy chorągiew Mahometa, z wielką mocą i majestatem pojawił się na innym punkcie, roznosząc postrach w pułkach moskiewskich, niby mściwe widmo nadludzkiego olbrzyma.

I jakim sposobem ocalał ów władca i prorok kaukazkich plemion od niemal pewnej zguby?...

Powiadają, że aby wprowadzić w błąd nieprzyjaciela, jeden z poświęconych Szamylowi i przygotowanych na śmierć *murydów* (duchowny) odziewszy się w śnieżną szatę swojego pana, skoczył z wysokości do płynącej na dnie otchłani rzeki, i tym wybiegiem zmylił tropy Moskalom. Rzucili się oni bowiem w tamtą stronę w celu pojmania tonącego niby wodza, gdy rzeczywisty, korzystając z chwili, wymknął im się stroną przeciwną z pola krwawych zapasów.

Epilog.

Dnia następnego o zmierzchu jakaś postać ludzka przesuwawała się po stropach ścieżki wykutej wężykowato w opoce nad brzegiem głębokiego parowu. Stanąwszy blisko dołu, służącego za wspólną mogiłę padłym w boju, obejrzała się do koła przysłuchując, czy nie nie zakłóca, spokoju umarłych. Następnie wydobyła z krzaków ukryte tam ciało, i wiaływszy je na barki, podążyła w drogę pośród zgliszczy i ogólnego spustoszenia.

Po kilku godzinach tajemnicza postać spuściwszy się z góry, zatrzymała swe kroki na cudownej, okolonej świerkami i wspaniałym krajobrazem dolinie, środkiem której toczył nurty strumyk, co w kamyki dzwonił.

Skoro księżyc wychylił z za chmury blade oblicze, łatwo było w nieznanym poznać młodego i silnego żołnierza, składającego do świeżo wykopanego grobu zwłoki towarzysza broni.

Nad grobem, z dwóch żerdzi zбитy krzyż rozciągał ramiona. Na znaku męki pańskiej wryty był na korze napis: „*Przyjaźń cnocie!*“ a poniżej: „*Wierny Mustafa Tadeuszowi z Wachocka, poległemu w bitwie pod Achulgo:*“

Obciągnięty w mundur rosyjski Mustafa — bo był to nie kto inny, co te słowa skreslił — ucałowawszy rzeźwie nieboszczyka, zaczął dół przysypywać, rozpamiętywając żywot młodziana, a dwie wielkie łzy ściekały mu po smętnej twarzy; gdy nagle odgłos trąby wojennej, odbijającej się

stokrotnem echem po górach i pieczarach, zaleciał do jego ucha.

Był to sygnał do odwrotu armii.

Skończywszy więc spieszenie ostatnią posługę dla nieszczęśliwego kolegi swoich rannych latek, utkwili wzrok w niebo, westchnął ciężko, po-

dumał chwilę, jeszcze raz spojrzął na mogiłę przyjaciela i wzięwszy garść ziemi na wieczną po nim pamiątkę, pobiegł pod sztandar, gdzie go obowiązek wzywał. A co się z nim potem stało, Bóg to wiedzieć raczy...

KONIEC.

SIEROTKI.

Jak dwa spięte razem bluszcze,
Pierś przy piersi ręka w rękę,
W świat idziecie w świat....

A za wami strumyk pluszcze,
Strumyk, zabaw waszych brat;
Wyszeptując wam piosenkę,
Z niemowlęcych lat.

Wychuchane, wypieszczone,
W żar idziecie — w chłód...
W nieznaną świata stronę,
Między obcy lud!

Już was matka nie popieści,
Ojciec na pierś nie uniesie,
Płacz wasz rzewny ginie w lesie
Bez echa i wieści.

Pył się sypie na sukienki,
Złote włosy wiatr rozwiewa,
Oczy myją łzy;
Grozi piorun i ulewa;
Z za każdego prawie drzewa,

Ktoś wygląda z nocnej mgły:
Dziwne w lesie jęki!

Strasznie chłodno! Lecz o Boże,
Jakiż głos to brzmi?

Ach znów strumyk pluszcze może,
Lub daleki dzwon w klasztorze,
Wśród przestrzeni drzy....

Dzieci! szepcze głos tajemny,
Jam tu z wami, wiecznie z wami,
Idę lasem i polami.
W pośród nocy ciemnej...

Tak zaszeptał cicho, mile,
Srebrny głos kielicha kwiatka;

Co go starsza siostra tam,
Zerwała w ostatnią chwilę
Na matki mogile.

Czy to kwiatek był czy matka,
Bóg wie tylko sam!

W. O.



SIEROTKI

POSEŁ Z UPITY.

OBRAZEK Z DZIEJÓW NASZYCH.

Doświadczaliście nieraz zapewne na samych sobie kochane dzieci, że i najlepszy przysmaczek, jeśli go w nadmiarze używamy sprawia przesyt i obrzydzenie. Do takiego, w nadmiarze używanego przysmaku, porównać by można, w dawnej Polsce złotą wolność szlachecką... Przywileje tej złotej wolności były ogromne, a jednym z nich, najzgubniejszym w następstwa, było owo „*liberum veto*“ t. j. prawo protestacyi jednego przeciwnika wszystkiemu. Jeśli n. p. sejm urządził podatek na oświatę lub wojnę, a komuś to niepodobało się, krzyknął *veto* (nie pozwalam) i rzecz cała upadła.

Dopóki szlachta miała na widoku dobro ojczyzny i kościoła, dopóty nie robiła użytku z tego przywileju. Lecz gdy wygasła miłość kraju i wyszło źródło wiary, *liberum veto*, znalazło szerokie zastosowanie na każdym sejmie i sejmiku.

Lecz posłuchajmy opowieści.

Działo się to za panowania Jana Kazimierza. Ojczyzna nasza była wówczas w bardzo wielkich kłopotach. Panowie się między sobą kłócili, nieprzyjaciele napadali na nasz kraj, i strasznie go niszczyli. Król Jan Kazimierz zwołał dnia 16 Stycznia 1652 sejm do Warszawy, aby się naradzić i temu złemu zapobiedz. Długo jednak nie mógł sejm powziąć żadnej stanowczej uchwały, bo panowie, mający już to do siebie wzajem, już to do króla jakieś urazy, ciągle się w zda-

niach spierali. Sejm zwykle trwał sześć tygodni: jednak, gdy jeszcze nie wszystko załatwione było, musiano go przedłużyć. Właśnie upłynęło już 6 tygodni od otworzenia sejmu; mimo to najważniejsze sprawy jak, ubezpieczenie kraju od napadu wrogów, nie były załatwione. Kiedy miano już i tę ostatnią sprawę wziąć pod obrady, powstał z pomiędzy innych posłów Siciński stolnik i poseł z Upity, miasteczka na Litwie, i zaprotestowawszy przeciw ważności obrad, wyszedł i więcej nie wrócił.

Podanie mówi, że kiedy on te słowa protestacyi wygłaszał, wszyscy posłowie zgrozili przejęci, mieli zawołać: „Bodajś przepadł!“

Z początku jeszcze się wachano, czy uważać na protestacyę jednego posła, postanowiono więc wstrzymać się z naradami, aż do wynalezienia Sicińskiego. Gdy to się jednak okazało bezskutecznem, posłowie ze smutkiem rozjechali się do domów.

W krótko okazały się straszne skutki tego wypadku. Polacy prowadzili wtedy wojnę z Bohdanem Chmielnickim, hetmanem kozaków ukraińskich. Już jednak zawarli byli z nim pokój, chodziło tylko o potwierdzenie tegoż na sejmie; ale gdy sejm został zerwany, wojna toczyła się dalej i tegoż samego roku zadał Chmielnicki ciężką klęskę Polakom pod Batowem.

Inne smutniejsze skutki tego zdarzenia widzimy w późniejszych dziejach Polski. Zły przykład dany przez

Sicińskiego, znalazł wielu naśladowców. W ósmnastym wieku zrywanie sejmów było tak zwykłe, że, za panowania Augusta III. z domu saskiego, często przez kilka lat żaden sejm nie mógł się zebrać i dotrwać do końca.

Ale zbrodnia taka nie mogła zostać bez kary. Przekleństwo, jakim się wszyscy posłowie za protestacyę Sicińskiego unieśli, wkrótce się na nim spełniło. Po powrocie bowiem do domu, został od pioruna zabity. Lecz ciała jego ziemia przyjąć nie chciała. Kilkakrotnie pogrzebionego wyrzucała ze wstrętem, jako wyrodnego syna, odpycha matka od łona swego.

Ciało to przez dwa wieki walało się po różnych kątach i śmieciach, będąc przedmiotem pośmiewiska i drwin to zgrozy i przestachu pospół-

stwa. Często bowiem włościanie, chcąc żydów po karczmach straszyć, włóczyli je z sobą, nie uważając tego za grzech, ponieważ to było ciało zdrajcy, napiętnowane widoczną karą niebios.

Dopiero w roku 1860 proboszcz w Upicie kazał zrobić drewnianą szafę i z tem ciałem umieścić ją w narożniku kościoła. I ten straszny szczerznięty trup, z opuszczoną na piersi głową, z założonemi na krzyż rękami, stoi jak pomnik kary Bożej na obrzydzenie sprawiedliwych a na przestrożę i upamiętanie złych ludzi.

Wielki nasz poeta Mickiewicz, przejeżdżając przez Upitę, oglądał zwłoki Sicińskiego a wrażenie, jakiego doznał, opisał w wierszu pod tytułem: „*Popas w Upicie.*”

K. G.

DO CHŁOPCZYKA.

Póki majem kwitnie czoło,
Póki nie ćmi żadna chmurka,
Rączy chwile złocą piórka:
Luby malcze! skacz wesoło.

Tu kwiat róży, tu bławatku,
Oba w całej wdzięków chlubie,
Wiatr zawieje i oskubie,
Liść po listku, kwiat po kwiatku.

Urok życia przejdzie z wiekiem,
Czuła matka nie popieści,
W ciągłych walkach i boleści,
Ach, uczujesz żeś człowiekiem.

Teraz klaskaj w rączki obie,
Teraz, wesół wśród pustoty,
Póki świeci promień złoty:
Igraj chłopię, igray sobie.

Sen i śmierć.

Bratersko ujęci, wędrowali ze sobą anioł snu z aniołem śmierci. Było to w wieczór. Siedli na pięknym wzgórku niedaleko mieszkań ludzkich. Cichość

panowała w około; odgłos wieczornych dzwonów przebijał tylko kiedy niekiedy powietrze. Spokojnie i milcząc, (jako obyczajem ich bywa)

siedzieli dwaj bracia, a noc zbliżała się. Wtem powstał anioł snu z miękkiej darniny, i jał sypać dary swoje z rogów, które trzymał w ręku. Wieczorne wietrzyki rozniosły je na skrzydłach po mieszkaniach strudzonych rolników. Wnet sen słodki wszyskich ogarnął: od starca, który na kiju się wspiera do niemowlęcia w kołysce. Chory zapomniał o bolach, nieszczęśliwy o smutku, ubogi o nędzy. Powieki wszystkie oczy przykryły, wszystkie stany się zrównały. Dopełniwszy obowiązku swego dobroczynny anioł, sam się położył obok czuwającego brata. Gdy zorza zajaśniała, podniósł się i zawołał radośnie: błogosławią mnie teraz ludzie, jako przyjaciela i sprawcę dobrego. O jakaż to rozkosz,

Aforyzmy i myśli.

— Pewien bogacz pytał się ubogiego człowieka z czegoby żył? ubogi mu odpowiedział: gdybyś mię raczej zapytał z czego umieram? odpowiedziałbym ci że z *głodu*.

— Pewien alchemista, który się z tego chełpił że sztukę robienia złota wynalazł, prosił *Leona X.* papieża o nagrodę. Papież kazał mu dać wielki wór, mówiąc: iż ponieważ umie złoto robić, nie potrzeba mu nic więcej jak worka.

— *Jan Sapieha*, wielki kanclerz litewski, często mawiał, iż pięć jest starych rzeczy podobających się ludziom: suche drwa do palenia, koń doświadczony do jeżdżenia, stare książki do czytania, stary przyjaciel do rady i stare wino... do picia.

niewidzialnie dobrze czynić! Posłańce wielkiego ducha, jakże szczęśliwi jesteście! jak piękne, ciche powołanie nasze! Tak mówił anioł snu. Spojrzał na niego anioł śmierci z boleścią i przyćmione już czarne oko ła jeszcze bardziej przyćmiła. Ach, czemuż wyrzekł, i ja myślą o wdzięczności synów człowieka cieszyć się nie mogę? mnie ludzie swym nieprzyjacielem zowią. — Co mówisz? bracie! powiedział anioł snu; czyż i ciebie sprawiedliwy przy wielkiem ocknieniu swoim dobroczyńcą nie uznaje? czyż cię nie błogosławi? nie jesteście braćmi i posłańcami jednego ojca? Tak powiedział, i oko anioła śmierci błysnęło także radością.

— Gdy mówiono temuż Janowi Sapieżu, że pewien pan miał piękną bibliotekę ale z niej nigdy książek nie czytał, rzekł — ten człowiek podobny jest do garbatego, który garb za sobą nosi a nigdy go nie widzi.

Zagadka.

Nie zwierz — a mam nogi;

Nie bode — a mam rogi;

Toczą się przy mnie nieraz

bardzo ważne rady,

Służę ludziom do pracy —

często do biesiady.

Rozwiązanie zagadki z nr. 2.

T. K. (teka).

OD REDAKCYI.

W przyszłym numerze „Promyka“ rozpoczynamy druk powiastki pani Pauliny z *L. Wilkońskiej* pod tytułem: **Wojtuś — Gregoryanek**, i komedyjki dla dzieci napisanej przez *Emila Derynga*: **Duch Hamleta**.

Główny współpracownik **Władysław Beeza**.

Odpowiedzialny za redakcją **F. H. Richter**

Z drukarni Nerodowej W. Manieckiego.



ILLUSTROWANE CZASOPISMO DLA MŁODZIEŻY

Wychodzi co dni 10, pod kierownictwem WŁADYSŁAWA BEEZY.

Kosztuje kwartalnie 1 zł. 50 ct. = 1 tal. — z przesyłką pocztową 1 zł. 70 ct. = 1 t. 4 srg.

WOJTUSZ-GREGORYANEK

POWIASTKA

PRZEZ PAULINĘ Z L. WILKOŃSKĄ.

I.

Ładniutka dziewczeczka w białej sukience z różowym fartuszkim, siedmioletnia Marynia — i zgrabny również ładny chłopczyk w szkockim ubraniu, dziewięcioletni Staś, oboje dzieci państwa Siewnickich w Żytniewie, po skończonych lekcjach, wesoło sobie do ogrodu wybiegli. Marynia skakała przez obręcz zręcznie, zwinnie i szczebiotała do braciszka. Staś dużą, barwną wyrzucał piłkę.

Szerokim chodnikiem wśród lip wysokich, rozłożystych, biegli sobie dalej a dalej, aż doszli do wału, który dzielił ogród od daleko sięgającej łąki.

Staś ciągle wyrzucał piłkę. Marynia na wał wskoczyła i jasnymi oczętami daleką, zieloną objęła równinę i wioskę z wystrzeloną w górę szarawą wieżycą kościoła, a na krańcu widokregu las ciemny. W tém wzrok spuściła na łąkę: hasały po niej żrebce gniadne, bułane, i jeden mlecznej białości a tuż przy wale, pod krzewem trzmieliny, siedział chłopak w dreliszku, pastuszek, trzymał papier jakiś w ręku i zapatrzył się weń, jak gdyby czytał. Panienka pochyliła się nieco i zobaczyła, że tym papierem była Gazeta Polska. Zaśmiała się i w dłonie trzepnęła. Chłopak się obejrzał, na równe skoczył

nogi, jedną ręką zrzucił z głowy słomkowy kapelusz a drugą z gazetą za plecami ukrył.

— Wojtuś! zawołała panienka — nie bój się! Cóżes ty tam czytał?

— Oj... wielmożna panienko, jam nie czytał — odrzekł jakając się.

— Nie czytałeś?

— Oj nie... bo... bo ja czytać nie umiem...

— To i cóż robisz z tą gazetą?

— Znalazłem ją pod płotem, jeszcze w tamtą niedzielę, jak Boga kocham ukrzyżowanego... żem ją znalazł.

— Wierzę, wierzę. Ale czegoż tak w nią patrzysz?

— Tak... oj... wielmożna panienko.

— Cóż tam ciebie tak bawi?

— Oj... wielmożna panienko; — chłopak kapelusz miał w ręku i wzrok utkwiał w ziemię, bo... bo... żywnie rad... chciałbym się nauczyć czytania.

— Biedny! poszepnęła panienka, a uśmiech znikł z jej różowej twarzy.

Zeskoczyła z wału.

— Podajno tę gazetę! wymówiła. Chłopak ją podał.

— Widzisz, te wszystkie rządkie, to z różnych składają się liter — zagadła pouczająco.

— Wiem, to wiem, wielmożna panienko.

— A w każdym słowie liter jest kilka.

— Wiem, wiem! zawołał chłopak ochoczo.

— Są i duże i małe litery.

— Toć że to, oj, widno, wielmożna panienko.

— Czy wiesz jak ta pierwsza duża nazywa się litera?

— Nic nie wiem, wielmożna panienko.

— To jest G.

— G... g! g! — i Wojtuś rad byłby wyskoczyć.

— Ta druga to jest A.

— A! A! A! powtarzał Wojtuś.

— Trzecia Z.

— Maryniu, a to co? zawołał Staś w tej chwili, i śmiejąc się, przyskoczył. — Ty czytasz Wojtusiowi gazetę?

— Och Stasiu! odrzekła dziewczeczka pocziwa — on biedny radby nauczył się czytać. Znalazł starą gazetę i patrzy w nią, jak gdyby przez to patrzenie mógł nauczyć się czytać.

— A to zabawnie!... Wojtusi, a czy znasz litery?

— O, paniczu, znam G. i A. — odrzekł chłopak śmiało!

— Tych dwóch liter nauczyłam go właśnie, a spamiętał je zaraz! objasniła Marynia.

— Hm!... To... wiesz co Maryniu — zagadał Staś — jest tam na górze stary elementarz, będziemy z niego Wojtusia czytać uczyli.

— Och tak, braciszku! Tak Stasięńku! — panienka radośnie w dłonie klasnęła. — Nauczmy cię czytać... Nauczmy cię pisać Wojtusi... O mój Stasięńku, jakżem rada! objęła braciszka, jakżeż ciebie za to kocham

— Panienko... paniczu... Jezu mój, Jezu! — chłopak zadrzał i miał pełne łez oczy — panienko!... paniczu! — skłonił im się do stóp. O Jezuseńku! Ja będę umiał czytać! złożył ręce i począł skakać z radości.

Panienka i panicz do rozpuku się śmieli.

Nazajutrz tedy rozpoczęła się wielka nauka poznawania liter. Panicz i panienka przyszedli z elementarzem, zasiedli na zielonej murawie, i już w tej pierwszej godzinie Woj-

tuś niemal wszystkich nauczył się liter.

Dalsza jednak nauka szła więcej oporem: Wojtuś był pojętnym, ale młodzi nauczyciele niedość wprawni.

(D. ciąg nast.)

WIERZCIE!

Wierzcie dzieci! wierzyć trzeba,
Że jest Pan ziemi i nieba,
Co w swej dłoni trzyma świat.
Czcic ojca, i matkę każe,
Za uczynki zdrożne karze,
A kto bratem był dla braci,
Temu szczodrobliwie płaci
Długim rżędem błogich lat!

Wszystkie wielbią Go przestworza,
Niobiosa, lądy, i morza —
Wszystko słucha Jego praw.
Módlcie się więc, moje dzieci!
Niech ku Niemu duch wasz leci!
I zgiąwszy kornie kolana,
Wołajcie do panów Pana:
Boże nasz! od złego zbaw!

BERLICH SAS.

P I E S.

Któż z was drogie dzieci, nie zapomni sobie ze słodkim uśmiechem, tego najwierniejszego i najcierpliwszego towarzysza waszych lat i zabaw dziecięcych — psa? — Samo spojrzenie na obrazek przywieść wam musi natychmiast na pamięć owego Kruczka lub Żuczka, Medora lub Ami, którego pocziwa fizjonmja i oczy błyszczące odbijały takie zadowolenie gdyście go pieścili, lub pobłażającą cierpliwość, gdyście mu nawet w złej chwili wyrządzili krzywdę. Z natury należący do drapieżnych, (*carnivora*) spokrewniony z wilkiem i lisem, pies tak towarzystwem i staraniem człowieka przyswoił się i ukształcił, że nietylko na miano sługi i obrońcy jego, ale nieraz nawet na

chlubny tytuł przyjaciela zasługuje. Pies przy ognisku rodzinnem wyciągnięty, z głową złożoną poważnie na łapach i nosem zwróconym ku ognio-
wi, z rozkoszą nadstawia gęstą sierść swoją głaszczącej go ręce szczęśliwego dziecka; — za tem dzieckiem już podrośłem, idzie w życie i w najcięższych chwilach pojętne oko swoje zagłębia w jego spojrzenie jak gdyby dzieląc jego radość i smutki; — pies idzie za nim, jako już dorosłym człowiekiem, przez lądy i morza; — stary i osłabiony idzie za trumną swego pana i w zwierzęcem swem uczuciu znajduje tyle boleści, że nieraz na mogile swego chlebobdawcy — nie dając się od niej oderwać — zdycha.

Ale ani połowę cnót psich nie przedstawiają jeszcze psy bogatych. Zastrzyżcie dopiero do siedlisk nędzy, gdzie wierne zwierzę wygłodniałe i wychudłe ostatkami ciepła swego ogrzewa jeszcze zziębłe nóżki dzieci nędzarza; spojrzycie na psa, gdy wiedzie ślepcę, ostrożny i troskliwy, jak człowiek; kiedy na mrozie i śniegu, bezsenny nocą całą, czujęm szczekaniem broni chudoby wieśniaczki; kiedy zżajany i gorliwy pod strzelbę myśliwca zwierzynę napędza; lub stada broniąc w nabitej kolecami obroży, w zapasy z wilkiem się bierze.

Tonących ratuje pies Niufendlandzki, z czarną kędzierzawą sierścią i łagodnymi wielkimi oczyma; pies z góry Ś. Bernarda w Szwajcarii wyszukuje wędrowców zasypanych śniegiem i po pomoc dla nich do panów swoich, dobroczynnych zakonników bieży; dog angielski zwany pijawką o buldoczej paszczy, dzika w ostępie osadza; a jamnik o krzywych krótkich nogach i zaostrzonym pyszczku do nór lisich się dokopuje i w ciemnej jamie zaciętą walkę ze zwierzem stacza. Wszystko — dla człowieka.

Na psie to najmocniej się odbijają skutki nauki i pracy ludzkiej. Instynkt zwierzęcy w nim usilnością człowieka rozwinać się może i dojść prawie do granic ludzkiego rozsądku.

Wówczas kiedy bracia jego w stanie dzikim na stepach Ameryki niczem od innych drapieżników się nie różnią, a nawet szczekać nie umieją, pies domowy tysiące sztuk zabawnych i usług pożytecznych się wyucza, i jak nawet ktoś dowcipnie zauważył

szczekaniem swoim, chce ludzką mowę naśladować — którą jak sami pewnie nieraz spostrzeżliście, bardzo często pojmuje.

Na zakończenie opowiem wam, kochane dzieci zdarzenie, które jeszcze bardziej psy sercu waszemu poleci.

Było to już bardzo dawno bo w wiekach średnich, tj. około czterystu lat przed nami. We Francji pewien rycerz, nader sławny i wszystkim znany, naraz gdzieś zginął bez śladu. Napróżno szukano i śledzono — nic odkryć nie było można i wkrótce wszyscy o przepadłym rycerzu zapomnieli... oprócz jednego... kogoś.

Zauważano, że za pewnym człowiekiem nieustannie ścigał pies zaginionego rycerza; gdziekolwiek ten człowiek się obrócił zwierzę wypadało nań i z wściekłością się rzucało. W końcu okoliczność ta i zaciętość psa zwróciła uwagę przyjaciół zaginionego rycerza. Człowiek ścigany chciał zabić psa ale przyjaciele owi wzięli zwierzę pod opiekę i powołali człowieka tego przed sąd, jako mordercę,

W owym czasie w użyciu były tak nazwane sądy boże, t. j. oskarżony musiał, albo przejść przez ogień bez oparzenia się, lub wyjść zwycięsko z walki z oskarżycielem; to za dowód jego niewinności, oraz za palec boski miano.

Na tę ostatnią próbę skazał sąd domniemanego mordercę.

Na publicznym placu postawiono na przeciw siebie oskarżonego i psa zabitego rycerza. Oskarżony miał pałkę w rękę, którą się mógł bronić;

pies beczkę do której dla odpoczynku i ostatecznego ratunku schronić się mógł.

Tysiące ludu otaczało plac walki. Widowisko było zadziwiające. Napróżno oskarżony machając i uderzając bronił się rozpaczliwie zwierzęciu; — pies kaleczony i zżijany

być rozstrzygnięną. Już tryumfujący oskarżony chciał się cofać, gdy nagle pies zerwał się i z niepowstrzymaną siłą rzuciwszy się na człowieka, zagardło go chwycił i o ziemię powalił. Pies dusił ale nie kaleczył — człowiek chrypiał i wreszcie „litości“ zawołał, obiecując do wszystkiego się



na chwilę do beczki się chronił, lecz wnet z nową zaciekłością wypadał i uderzał na swojego przeciwnika. Nareszcie temu ostatniemu udało się zadać silny raz w łeb zwierzęciu. Pies padł na ziemię, wydając jękliwy dźwięk. Walka zdawała się

przyznać. Oderwano zwierzę i wprowadzono mordercę do więzienia. Wierne stworzenie, za przyjaciółmi swojego pana do sali sądowej się zawlokło i tam mimo wszelkich starań, ofiarą swego przywiązania skończyło.

W. O.

Duch Hamleta.

Komedyjka w 1 akcie dla chłopczyków.

Napisał

EMIL DERYNG.

OSOBY.

Tadeusz	}	starsi uczniowi
Stefan		
Jan		
Alfons		
Władysław		
Henryk	}	od lat 7 ^{miu}
Józio		
Antoś		
Gucio		
Oleś		

Wielu innych mających role nieme
Kubus (*chłopiec do usług*). Scena
w Warszawie w mieszkaniu profesora Stateckiego.

Scena I.

Dekoracja obszerny pokój. — Okno z prawej strony aktorów; z lewej strony tychże drzwi wiodące do innych pokoi, w głębi drzwi głównego wchodu. — Urządzenie sceny: kilka stolików, krzeseł, mała szafka w którejby stanąć można, w niej postać rycerza: na szafie globus, ptaki wypchane po stolikach książki, potrzeby do rysunków — seksterna, i t. p.

Władysław, Alfons, Henryk.

WŁADYSŁAW (*rysując*) A co? czy nie zupełnie tak samo.

ALFONS (*stojąc przy nim*) Rycerz do-
brze zrobiony tylko dla czego ma
oczy zamknięte?

WŁADYSŁAW. Wszakże to Duch.

ALFONS. Więc dla tego ma mieć oczy
zamknięte?

WŁADYSŁAW. A dla czego ma je mieć
otwarte?

ALFONS. Wyborny jesteś; przecież to ma
być duch ojca Hamleta, a pamiętasz
jak szedł noga za nogą (*naśla-
dując z przestankami*) ot tak, a
oczy wytrzeszczone miał że myślałem
że mu z głowy na scenę wylecą.

WŁADYSŁAW. Wielka rzecz że aktorem
tak się podobało przedstawić du-
cha, a ja, żebym go grał, to
właśnie miałbym zamknięte oczy,
bo Duch nie potrzebuje wytrze-
szczać oczy ażeby widział.

ALFONS. Zapytaj się Kubusia, on prze-
cie widział że jak ten rycerz wy-
laźł ze szafy, to mu prosto w oczy
patrzył.

WŁADYSŁAW (*śmiejąc się*) I podobno
iskry ogniste sypały mu się z oczu.

ALFONS (*śmiejąc się także*) Przyłbica
była spuszczoną tylko z ust ogień
buchał.

WŁADYSŁAW. I z nozdrzy...

ALFRED. Wielka szkoda że nie z rąk;
żebym to ja był na miejscu tego
Ducha — byłym przynajmniej Ku-
busiowi porządnie poparzył plecy.

HENRYK (*stojąc przy oknie*) Wy się
śmiejecie, wam żarty w głowie a ja
się lękam czy mój braciszek nie
przechoruje tej głupiej paplaniny
Kubusia, pan profesor posłał do-
wiedzieć się czy się już uspokoił i
wyglądam powrotu posłańca.

ALFRED. Wiecie co moi panowie, śmiech śmiechem, żarty na stronę, ale mnie wielka ochota bierze nauczyć raz rozumu tego osła.

WŁADYSŁAW. Nie taki on osioł jak się wydaje.

HENRYK. Kto, — mój brat?

ALFRED. Ale kto mówi o twoim braci-szku, to dziecko i zwyczajnie jak dziecko, wszystkiego się lęka, ale ten głupiec Kubuś ze swoim opowiadaniem...

WŁADYSŁAW. Czy wy myślicie że on sam wierzy w to co nabajał?

ALFRED. Cóżby mu z tego przyszło żeby miał tworzyć bajki, tylko że sam tchórz i osioł...

WŁADYSŁAW. Jak cię kocham Alfonsie! on ani tchórz, ani osioł, tylko kłamca jakiego świat nie widział.

ALFONS I HENRYK. Ale! prawda, prawda.

WŁADYSŁAW. Jednej godziny nie wytrzyma żeby czego nie skomponował, nie zmyślił, kłamie jakby z rękawa wytrząsał tysiączne bajki.

HENRYK. I co mu z tego przyjdzie?

WŁADYSŁAW. Nic, ale już tak przy-

wykł do kłamstwa że nie może się bez tego obejść.

ALFONS. Prawda że pocieszny z niego chłopak, ale ta ostatnia sprawa nie ujdzie mu płazem. Pan profesor taki zagniewany że już więcej i słyszeć o nim niechce, nawet na mojego stryja się gniewał, że niepotrzebnie bałamuci nas wszystkich, wynajdując ciągle jakieś rozrywki.

HENRYK. Zobaczycie że już teraz pan Anastazy nigdy nie poprowadzi nas do Teatru a to wszystko przez tego głupiego Kubusia.

ALFONS. To więcej jak pewna. Pan profesor wyraźnie zapowiedział mojemu stryjowi że nie pozwoli nigdzie wychodzić jeżeli sam nie będzie mógł nam towarzyszyć. Biedny stryjaszek uniewinniał się, ale ten przekłety kłamca Kubuś do reszty wszystko popsuł; jak nastraszył małego Olesia tak ten w gorączce ciągle tylko majaczył o Hamlecie o duchu rycerza...

HENRYK. Prawda, prawda.

(Ciąg dalszy nast.)

PRACA ODKŁADANA.

Przy jednym wiejskim ogrodzie był spory kawał ziemi, zupełnie zaniedbany; pośród mnóstwa kamieni wyrastały gdzie niegdzie kępy ostu i innego zielska. — Ojcie, my ten kawał ziemi oczyścimy! powiedzieli dnia jednego trzej synowie, daj go nam na rok jeden. Chętnie, odpowiedzieli, i kawał ziemi na trzy równe części podzielił. Było to na końcu Marca,

już do gruntu puściło. Dni były piękne i najzdadniejsze do podobnej roboty. Trzej bracia wzięli się do pracy i dwaj starsi w przeciągu tygodnia, oczyścili dział swój zupełnie. Najmłodszy więcej się bawił, niż robił; tamtych skończona była praca, kiedy on swoją zaledwie zaczął. Gdy mu ojciec tę opieszałość wymawiał, odpowiadał: O dopiero początek wio-

sny, dosyć czasu będzie! Tymczasem dzień za dniem schodził, a Franus odkładał nadal pracę. Nadeszło lato, z latem upały; ile razy wziął się do roboty, pot lał mu się z czoła i przestawać musiał. Nadejdzie chłodna jesień, mówił sam do siebie, to będzie pora najlepsza! Nadeszła jesień, ale jednego dnia wiatr zasypywał Franusiowi oczy, drugiego deszcz go

kropił. Przyjdzie zima, mówił, bywają dni piękne i jasne, ja to w mgnieniu oka zrobię. Przyszła zima, Franus do kamieni i do zeschniętych łądyg; lecz cóż? przymarzły zupełnie, nie robić nie mógł.

Drogie dziecko! Co masz do czynienia, dopełnij jak najprędzej: terazniejsza godzina sprzyja twojej pracy, a któż ci za dalsze zaręczyć może.

Zagadka.

Pół litery, dziateczki,
Na niej leżą książeczki.



Rozwiązanie zagadki z Nr. 3.

Stół.

ZMARŁE DZIECIĘ.

Małą dziecka duszyczkę,
W niebo niosą anieli.
Patrzcie w jego twarzyczkę,
Jak się cała weseli!
O! bo niebo gwiazdziste
Oczekuje dziś na nie;

Wnet skrzydełka śnieżyste,
Jak aniołek dostanie!
I do Bozi polecą,
Z aniołkami drugimi:
Błagać szczęścia dla dzieci,
Co zostały na ziemi.

WŁ. BEŁZA.

OD REDAKCYI.

Szanownych rodziców i opiekunów dzieci, prenumerujących „Promyk“ uprzejmie prosimy o nadesłanie adresów małych naszych czytelników do księgarni F. H. RICHTERA we Lwowie i w Poznaniu.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą F. H. RICHTER. Z drukarni narodowej W. MANIECKIEGO.



ILLUSTROWANE CZASOPISMO DLA MŁODZIEŻY

Wychodzi co dni 10, pod kierownictwem WŁADYSŁAWA BEEZY.

Kosztuje kwartalnie 1 zł. 50 ct. — 1 tal. — z przesyłką pocztową 1 zł. 70 ct. — 1 t. 4 srg.

WOJTUŚ-GREGORYANEK

POWIASTKA

PRZEZ PAULINĘ Z L. WILKOŃSKĄ.

II.

Go też te dzieci po całych godzinach robią na łące? dziwiła się dnia jednego pani Siewnicka, chodząc z mężem po ogrodzie; jeszcze ze źrebkami jaki ich spotka wypadek.

— To i nie trzeba im pozwalać — odrzekł ojciec Maryni i Stasia.

— Wybiegli zaraz po lekcjach, a w ogrodzie ich nie masz. Szukała ich właśnie panna Gervais i pan Wielicki, bo chcieli z niemi pójść na przechadzkę.

Tak rozmawiając, doszli państwo Siewniccy do wału, stanęli na nim, i otóż co zobaczyli: Staś i Marynia

siedzieli na darniowej ławce, a przed niemi przykucnął Wojtuś. Staś trzymał rozłożoną książkę i pospołu z nim sylabizował.

— Bawią się w szkołę! zaśmiał się pan Siewnicki — to i nie szkodzi.

Na głos ojca dzieci zadrgnęły i porwały się. Wojtuś odskoczył, błądy jak winowajca i drżał z przerażenia.

Państwo Siewniccy przystąpili.

— Bawicie się w szkołę, jak widzę — powtórzył ojciec.

— Tatko, my uczymy Wojtusia — odrzekł Staś śmiało, w przekonaniu własnem, że dobry spełnia uczynek.

— Uczycie go czytać? pan Siewnicki pogłaskał świeżą twarzą synka.

— Marynia pierwszych nauczyła go liter. On biedny, tak z całej duszy pragnie nauki — mówił Staś znowu — pojętnym jest bardzo. Już sylabizuje. A dzisiaj nauczyłem go kilku wakabuł łacińskich.

— Och, och! zaśmiał się ojciec.

Pani Siewnicka Marynię tuliła do siebie.

— Wojtusi, powtórz no, czegom cię nauczył — Staś wziął go za rękę.

Chłopak podniósł czoło i wygłosił:

Deus Bóg, cornus róg, divinitas bóstwo, multitudo mnóstwo, pater ojciec, mater matka.

Otóż tatko, tego wszystkiego nauczył się dzisiaj.

— Dobrze, mój synku, dobrze. A co chłopcze? pan Siewnicki ujął Wojtusia pod brodę — czy pragniesz nauki?

— Oj, wielmożny panie! pokłonił się chłopak — gdyby słońca! gdyby mszy ś. w naszym jedynym kościółku w świętą niedzielę!

— I uczyłbyś się pilnie?

— O Jezusieńku, istnie, że już o niczem nie myślałbym innem!

— Tatko, tatko drogi! pochwycił Staś rękę ojca, całował ją i tulił się do ramienia jego — tatko! niechajby pan Wielicki także uczył Wojtusia!

— O! mamcio kochana! Marynia objęła matkę i całowała ją pieśczołką. — Tatko jedyny, drogi, kochany tatko! całowała ojca w kolana, a wyglądała, jak proszący aniołek.

Rodzice spojrzeli na siebie porozumiewczo.

— No, Wojtusi, to już więcej nie będziesz pasał żrebacków — zagadał pan Siewnicki.

— Nie będę... — jakiś niby żal mignął w oczach chłopaka, i obejrzał się za skaczącym właśnie mleczno-białym faworytem.

— Żal ci ich? zapytał znowu dziadziec.

— Oj... boć to już drugie lato... — odrzekł Wojtuś — biegam za niemi... i patrzą się niekiedy na mnie, iście jakby przemówić chciały. I ta łączka tak śliczniutka, zielona...

— To może i wolisz przy żrebackach pozostać? uśmiechnął się pan Siewnicki.

— Oj, wielmożny panie! pokłonił się nagle przestraszony chłopak — nauka, to jakby największa szczęśliwość była daną od ojca niebieskiego... i mój Jezu, żrebacki wyrosną na konie...

— To i tak rozstałbyś się z niemi.

— A jużci, wielmożny panie — pokłonił się chłopak znowu.

— Tatko, więc Wojtuś będzie się uczył? szeptała Marynia ojcu do ucha.

— Wojtuś pewno pilnym będzie i wyjdzie na człowieka — dodał Staś poważnie.

— No chłopcze! pan Siewnicki położył rękę na ramieniu Wojtusia — zatem od jutra już nie będziesz za żrebackami gonił. Pomówię z panem Wielickim, nauczycielem dzieci moich, uproszę go, i będzie ciebie uczył.

Wojtuś rzucił się do kolan dobrodzieja swojego.

— A ja wyszukam ci ubranie pomiędzy rzeczami Stasia — wymówiła pani Siewnicka — ażebyś do tej nauki ubierał się porządnie.

— Wojtuś całował panią w kolana.

— Oporządził cię, będziesz pobierał naukę — wyrzekł jeszcze pan

Siewnicki — ale musisz być posłusznym, porządnym i pilnym.

— O wielmożny panie, gdyby przy pacierzu świętym! chłopak złożył ręce.

— I będziesz wdzięczny dzieciom moim, które tobie to wyjednały. Kochaj ich!

— Gdyby jasne niebo! Gdyby anioły Boże!... O panicz!... O panienko! I całował im rączki ze łzami.

— Chodźmyż teraz! Stasiu! Maryniu! zagadał znowu ojciec. — A ty, Wojtusi, przyjdź jutro rano do dworu. Ekonom dziś jeszcze innego w mieszkaniu twoje żrebięciarka wyznaczy.

III.

Na końcu wsi mieszkała w małym domku wdowa po słudze kościelnym, Łukasz Rempie, a matka Wojtusia. Była to uboga kobiecina, lecz poczciwa bardzo i pracowita. Dziedzic dał jej darmo pomieszkanie i parę zagonów na ziemniaki i kapustę, a zresztą to i pracowała jak mogła, pomagała ogrodnikowi w ogrodzie, prała i przedła.

Właśnie wniosła kołowrotek do izby, poprzędła przed domem dopóki na Anioł Pański nie zadzwoniono. Nad łóżkiem miała zawieszonych kilka obrazów świętych, ukłękła przed niemi i wieczorną zmówiła modlitwę. Potem powstała, roznieciła ogień w kominku i przystawiła garnek z ziemniakami na wieczere. W tej chwili wbiegł Wojtuś, szybko i hałaśliwie, wesół i szczęśliwy.

— Matulu! zawołał — matuleńko jedyna!... O Jezusie! Matko! przenajświętsza! *Deus Bóg, cornus róg, divinitas bóstwo...*

— Co ty pleciesz? zdziwiła się kobieta.

— Matulu *mater*, *Deus Bóg...*

— Co takiego?

— *Pater* ojciec, *mater* matka, *Deus Bóg...*

— Najśłodszy Jezu! Zwaryował czy co? przeraziła się Rempowa.

— Ej, matulu *mater*, bo ja będę nauczonym, będę księdzem...

— Chłopcze! Jezus Marya! Cóż tobie się stało? Istnie, jakby postrzelony!

— Matulu *mater*!... Ot, dziedzic, bo panicz i panienska uczyli mnie czytać, *Deus Bóg...* i ot, dziedzic dziś nadzedł i pani... O, matulu *mater*! A panicz uczył mnie właśnie i panienska... *Pater* ojciec, *mater* matka, *Deus Bóg...*

— Ależ co? gadajże po ludzku.

— Ot, matulu, już nie będę żrebięciarkiem.

— Chryste Jezu! Dziedzic ciebie odpędził! załamała ręce.

— Nie, przecie, nie matulu! Dziedzic każe mnie uczyć, już nie będę przy żrebakach, wielmożna pani da mi ładne suknie po panicz, będę się uczył, będę księdzem, matulu *mater*! Matula będzie przy mnie, nie będzie już *mater* matula pracowała, będzie miała schludne szaty, będzie kawę pijała, pieczeń jadła, matula będzie pania... O matuleńko, jakżeż będę się uczył! i Wojtuś skakał po izbie gdyby opętany.

(Ciąg d. nast.)

Xiądz Piotr Baudoain.

Brzmiała Warszawa zbytkami, a wśród rozpusty głuche było jęczenie ubóstwa i sierót. Słyszał je tylko ubogi kapłan Piotr Baudoain i poraz pierwszy uczuł swój niedostatek, bo widział dzieci rodziców, którzy nie pomarli, ale w rozpustach zatwardzili swe serca. Dom więc jego był domem sierót, ale zamożność nie odpowiadała cnotliwym chęciom. Ośmielił się więc wyjść na miasto i błagać liłości. Mijał bogate pałace, bo tam tylko wesół głos był słuchany; zebrał między uboższymi i był przyjmowany według możliwości. Ale widział, że ci ledwie własne dziatki żywili. „Ci już (mówił), dopełniają miłej powinności dla dzieci i płacą smutne daniny dla zbytkujących.“ Wziąwszy więc Boga na pomoc zaczął chodzić po pałacach, znosząc pogardę i żarty dowiecipnych dworzan. I widzi przed jednym gmachem pyszne pojazdy, hajduków i złotem strojnych pacholców; goreją w oknach rześiste światła, brzmia okrzyki i wesola muzyka. Wchodzi, pomija tłumy zabawą zajęte i widzi na jednej sali stoliki pełne złota, które los karty z rąk do rąk przeznacza, i

rzekł w sercu swoim: „o biedne, biedne sieroty moje!“ I zbliża się do tego, przed którym najwięcej złota; ale nie wiedział, że karta nieszcześliwa połowę tego złota ujęła. Ze drzeniem przemawia pokorne słowo, ale nie był słyszany. Mówi powtórę, ale widzi, że nie chciano go słyszeć. „Małą częśćkę dla sierót!“ ozwał się głośnie. Ale zapamiętały gniew ogarnął grającego i policzkiem znieważył cnotliwego kapłana! On zaś rzekł: „To dla mnie, a cóż dla sierót?“ Dopiero znieważony, — teraz wyższym był nad wszystkich; zdumieli się wszyscy i z miejsc powstali. Rzuca mu się na szyję ten, co go tak ciężko obraził i srebrną tacę ze wszystkim złotem oddaje: za nim wszyscy dorzucają swe złoto; ze czcią odprawiony kapłan niesie skarb sierotom, oblewając go łzami radości. — I był Boduen w wielkiej czci u wszystkich; znosili mu dary tak liczne, że wystawił wspaniały dom sierót, pod wezwaniem dzieciątka Jezus, a sierotki co rano za duszę jego ręce wznoszą do Boga. Działo się to za panowania Augusta III.

RUSTAN.

(Z ryciną).

Zobaczywszy napis Rustan, pomyslicie sobie, kochane dzieci, że może chcę wam opowiedzieć co o jakim piesku, który się Rustan nazy-

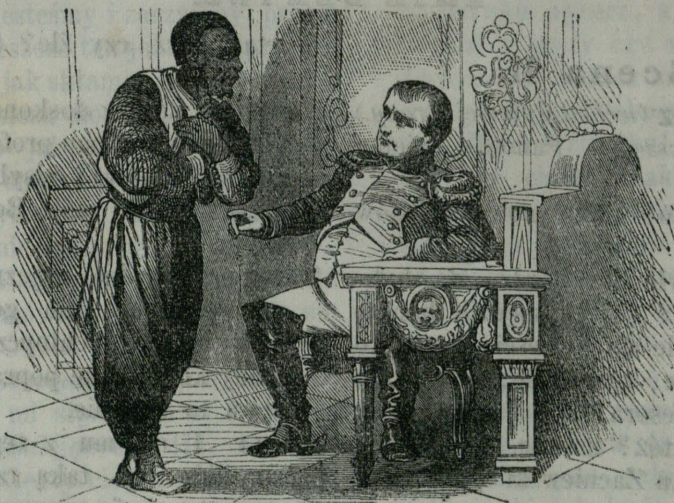
wał. Otóż nie o piesku, ale o człowieku tego nazwiska opowiem wam ciekawą historyjkę. Odznaczał się on przez długie lata nadzwyczajną wier-

nością i przywiązaniem do swego pana; dla tego też to może, tak często się u nas zdarza, że psy, których najpiękniejszym przymiotem jest właśnie wierność, tem często mianem nazywamy.

Może się wam zdarzyło już co słyszeć o wielkim cesarzu Francuzów, Napoleonie pierwszym, który przeszło przez dwadzieścia lat rozgłośną swoją sławą świat cały napełniał.

Jeszcze jako generał, wyprowadził

i miał w nim przez kilkanaście lat najwierniejszego sługę i towarzysza. W świetnym oryentalnym ubiorze, przy którym smagława jego twarz i czarne oczy bardzo pięknie odbijały, towarzyszył Rustan swemu panu, we wszystkich wojennych wyprawach; kiedy cesarz wyjeżdżał, Rustan towarzyszył mu w gronie licznej świty, kiedy cesarz kładł się na spoczynek Rustan czuwał nad snem jego. Zasłużył on też na wysokie zaufanie



Rustan i Napoleon.

się Napoleon w roku 1798 do Egiptu, aby tam panowaniu Anglików cios zadać stanowczy. Wówczas był tam jeszcze taki zwyczaj, że bogatsi zamiast sług, mieli niewolników, z którymi gorzej nieraz niż z bydłętami obchodzili się.

Miedzy takimi niewolnikami, zwrócił uwagę Napoleona na siebie młody chłopak z pokolenia mameluków, imieniem Rustan. Napoleon wziął go do swego boku, przywiózł do Europy,

monarchy swoją wiernością i sprytem, a w wielu trudnych wypadkach był bardzo Napoleonowi pożyteczny.

Tak n. p. podczas pobytu w Wiedniu, odkrył Rustan spisek uknuty na wolność cesarza przeszkodził jego wykonaniu. To też Napoleon oceniając to należycie, obsypywał go darami i dobrodziejstwami.

Mimo to jednak pokazało się, że człowiek nie zawsze jest w stanie

wytrwać w wierności do końca. Kiedy w roku 1814 Napoleon, przyciśnięty ze wszystkich stron przez swoich nieprzyjaciół, musiał się rzec korony francuskiej, Rustan jeden z pierwszych opuścił go, i udał się do

Londynu, gdzie jako towarzysz tak sławnego człowieka powszechną na siebie zwracał uwagę... Później, wróciwszy do Paryża, otworzył kawiarnię i schodząc co raz niżej, umarł w zapomnieniu.

Duch Hamleta.

Komedyjka w 1 akcie dla chłopczyków.

Napisał

EMIL DERYNG.

Scena II.

Ciż i Tadeusz (*wchodzi z lewej strony.*)

TADEUSZ (*wszedł*). Panowie wielka nowina.

WSZYSZY. Co? Jaka nowina? mów prędzej!

TADEUSZ. Było źle, bardzo źle, byliśmy całe święta spędzili bardzo smutno ale na szczęście wszystko już dobrze, zgadnijcie, kto jest u pana profesora?

WSZYSZY. Któż? mówże.

TADEUSZ. Pan Zacniewski ojciec Henryka.

HENRYK (*uradowany*) Mój ojciec.

TADEUSZ. Odwiozł Olesia, chłopczyk zdrów jak rybka.

HENRYK. Doprawdy! biegnę.

TADEUSZ. Właśnie przychodzę po ciebie.

ADOLF. A powracaj prędko.

WŁADYSŁAW. Może Kubusia spotkasz, to przysyłaj go tutaj.

HENRYK (*wybiega drzwiami na lewo*).

TADEUSZ. Ho, ho, Kubusiowi daj spokój.

WŁADYSŁAW. Dla czego? Muszę mu przecie zadedykować Ducha Ham-

leta. Patrz, czy źle? (*pokazuje na rysunek.*)

TADEUSZ. Rycerz doskonale się udał, ale Kubusiowi pan profesor rozkazał zbierać manatki i odsyła go na wieś.

WSZYSZY. Ach mój Boże! szkoda Kubusia!

TADEUSZ. Bardzo zręczny do usług, pan profesor sam go żałuje bo dobry z niego chłopczyzna, ale cóż kiedy kłamca nie poprawiony — co stąpi to skłamię.

ADOLF. I co mu z tego przyjdzie zmyślić n. p. taką rzecz, że ten rycerz z szafy spacerował po pokoju, że mówił do niego.

WŁADYSŁAW. I gotów sam w to uwierzyć, bo jak zaczął opowiadać, to mógłby kto myśleć że tak było rzeczywiście, nie więc dziwnego że dzieci takie jak Antoś, Gucio, Oleś obawiają się nawet przejść około tej szafy gdzie siedzi Omlet jak Kubus utrzymuje.

KUBUS (*za sceną*). Co ja biedny chłopiec teraz pocznę (*placze*).

WŁADYSŁAW Biedny chłopczyzna, żal mi szczerze nieboraka.

Scena III.

Ciż i Kubuś.

KUBUŚ (*placząc idzie do szafy i zabiera zbroję.*)

ALFONS. Gdzież to zabierasz?

KUBUŚ (*placze ciągle*) Pan mi kazał przynieść, żeby więcej ten przeklęty Omlet nie straszył nikogo... a potem... potem mam zabierać moje manatki i het, precz się wynosić z domu.

WŁADYSŁAW. Panowie, posłuchajcie! chodźmy do pana profesora wszyscy jak jesteśmy i zacznijmy prosić aby mu jeszcze ten jeden raz przebaczył, ale jak skłamię kiedykolwiek...

KUBUŚ. Paniczu kochany, jak skłamię kiedy, to jak matkę kocham! że pozwolę sobie...

ALFONS. Tylko się nie zaklinaj bo nikt ci nie uwierzy.

TADEUSZ. Zaklinałeś się przecież że Rycerz mówił do ciebie „że się nazywa Omlet.“

KUBUŚ (*zapominając się.*) A tak, tak zdawało mi się może.

WSZYSCY (*śmiejąc się*) Ha, ha, ha!

TADEUSZ. Ale ty ciotku niepoprawny, jak co skłamiesz to zawsze tém zakończasz „zdawało mi się.“

WŁADYSŁAW (*odbierając od Kubusia zbroję.*) Panowie! szkoda czasu z nim się rozprawiać korzystajmy z tego że wszyscy są zebrani, pan Dyonizy i pan Zacniewski dopomogą nam przebłagać pana profesora i Kubuś zostanie.

TADEUSZ. Dobrze chodźmy, a ty tu czekaj na nas i myśl o tém jak wykomponować nową jaką historję (*wszyscy odchodzą drzwiami na lewo.*)

Scena IV.

KUBUŚ (*sam*). Nie, jak ciocię kocham! już nigdy nie skłamię, choćby mi przyszło połknąć język, już nigdy kłamać nie będę. (*układając książki na stolikach*) Pan się gniewa, panicze się gniewają służba i tak i owak przeżywa, ale i cóż ja tak okropnego robię, że tam czasem coś powiem czego nie bywało... no ale być mogło. (*sposstrzegając rysunek Władysława*) Aj! wszakże to ten sam rycerz, a co? czy nie wylazł z szafy czy nie spaceruje? (*trwożnie*) Jednak naprawdę żeby mi się coś podobnego przytrafiło umarłbym ze strachu! no, a w teatrze czy nie chodził taki sam Omlet i nikt nie powiedział aktorom że kłamię a jak ja co wykomponuję to zaraz, wszyscy na mnie z góry „a ty kłamco! a ty taki, a ty, owaki!“ (*idzie do okna*) Nawet ta przekupka co tam siedzi z jabłkami na rogu ulicy złażała mnie wczoraj jak jęj opowiadałem: że u nas jest taki wielki pies, taki wielki jak koń! no wprawdzie Burek nie jest taki wielki jak koń, ale mógłby być kiedy wygląda jak małe ciele. (*patrząc w okno*) O! O! przekupce ktoś wywrócił koszyk. (*śmiejąc się*) Hi, hi, hi żeby tak cały stragan się wywrócił to dopiero byłby ambaras — opowiem to kucharzowi — będzie dopiero głową kręcić jak się dowie, że jego kumosze cały stragan wywrócono!!

(Ciąg dal. nast.)

CHORA DZIECINA.

Na łóżeczku chore dziecię leży,
Twarz bladziutka i ciężkie powieki...
Lekarz bada, bicie pulsów mierzy,
I przeróżne zapisuje leki.

A cóż matka? O! dziatki, czyż wiecie,
Jaka boleść w jej sercu zamknięta?
Ona Bogu oddaje swe dziecię:
„Maryo! — błaga, — o ratuj je święta!”

Zagadka.

Literka na literce.

Kształci umysł i serce.



Rozwiązanie zagadki z Nr. 4.

1/2 K. (półka.)

Ojciec trwożny o zdrowie dziecięcia,
Pieści się z niem i troska najczulój.
Niańka z płaczem do swego objęcia
Wykarmioną pieszczotkę swą tuli.

Ona ufa, że opieka Boża,
Czuwać nad niem będzie do ostatka.
A choć lekarz odstąpi od łoża,
Jeszcze przy niem zostanie się matka.

W. BRZA

OD REDAKCYI.

Szanownych rodziców i opiekunów dzieci, prenumerujących „Promyk“ uprzejmie prosimy o nadesłanie adresów małych naszych czytelników do księgarni F. H. RICHTERA we Lwowie i w Poznaniu.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą F. H. RICHTER. Z drukarni narodowej W. MANIECKIEGO.



ILLUSTROWANE CZASOPISMO DLA MŁODZIEŻY

Wychodzi co dni 10, pod kierownictwem WŁADYSŁAWA BEEŻY.

Kosztuje kwartalnie 1 zł. 50 ct. = 1 tal. — z przesyłką pocztową 1 zł. 70 ct. = 1 t. 4 srg.

WOJTUS-GREGORYANEK

POWIASTKA

PRZEZ PAULINĘ Z L. WILKOŃSKĄ.

Po chwili dopiero opowiedział co zaszło porządniej i zrozumiale. Rempowa zalewała się łzami wdzięczności, unosiła złożone ręce ku niebu i błogosławiła dobremu państwu, paniczowi i panience, aniołkom.

Tymczasem dogotowały się ziemniaki, ale ani Wojtuś ni też matka jego z wielkiej radości jeść ich nie mogli. A jakże gorącemi były następnie ich pacierze, gdy udawali się na spoczynek, bo wszakżeż dzień ubiegły należał do najszcześniejszych w ich życiu.

Wojtuś marzył przez noc całą o szczęściu swoim i przez sen powtarzał ciągle wyrazy *Deus* Bóg, *cor-nus* róg, *matka mater*, *ojciec pater*.

IV.

Już nazajutrz począł pan Wielicki uczyć Wojtusia. Uczył go przez całą jesień i zimę. Chłopak był pilny, zamięlowany w nauce, przy zdolności wrodzonej chciwie ją chwycił, to też, gdy pierwsze zaświegotały skowronki, umiał już czytać, pisać, cztery działania, nieco z geografii i historii. A przytém pouczył go Staś pocziwy mnóstwa wyrazów łacińskich.

Rzeczywista zdolność chłopca i to nieograniczone pragnienie wiedzy, zjednały mu wielkie współczucie pana Siewnickiego. Przyzywał proboszcza do narady — a ponieważ Wojtuś ciągle o tém marzył, ażeby zostać księdzem

postanowił zacy dziedzic oddać go do szkoły powiatowej a następnie do seminaryum duchownego.

Ulubieniec całej rodziny oddanym tedy został do szkoły. A w dniu, w którym to nastąpiło, pojechali państwo Siewniccy ze Stasiem i Marynią do miasta, i zabrali z sobą Rempową. Drugim zaś powozem jechał ksiądz proboszcz, pan Wielicki i Wojtuś. Wysłuchali pospołu mszy ś. i byli obecnymi przyjęciu do szkoły nowego Gregoryanka, jak go nazywał dziedzic i proboszcz.

Gregoryankiem zaś nazywano w czasach dawniejszych chłopców świeżo do szkoły oddanych, przez cześć dla pamięci ś. Grzegorza który jako mąż cnót wielkich i prawdziwie święty, skupował dzieci na targ przywożone iłożył na ich naukę. Św. Grzegorz zatem obrany został patronem rozpoczynających nauki w szkołach, a dawni Polacy wyznaczili dzień święta jego, dwunastego marca, na wprowadzenie dzieci pomiędzy dawniejszych uczniów.

Państwo Siewniccy pobłogosławili swojemu Gregoryankowi. Otrzymał nowe suknie od dziedzica, bieliznę od pani; książki potrzebne i torbę szkolną od Stasia, a skryptury, piórka stalowe, obsadki, ołówki, linję i kałamarzyk od panienki. Ksiądz proboszcz darował mu książkę do

nabożeństwa i medalik srebrny z wizerunkiem Chrystusa. Pan Wielicki Wieczory pod lipą. Chłopak nie posiadał się z szczęsnego uczucia. Wszystkim tylko ręce całował, bo słowa wdzięczności nie potrafił wymówić.

Pocziwa matka jego z rozrzewnienia płakała ciągle i modliła się w duszy.

Na święta przywożono zawsze Wojtusia Gregoryanka do Żytniewa. Ale, jakkolwiek że we dworze zostawał, to jednakże i wiele przebywał z matką. Działo się tak samo i następnie, gdy już był w seminaryum. A potrzeba dodać, że do najzdolniejszych i najpilniejszych należał uczniów. Nauczyciele nie znali dość pochwał dla niego. Wykształcił się zatem ku wielkiemu zadowoleniu dobrodziejów swoich, a przytém i potrzebnej nabrał ogłady. Opowiadano także o nim, że kolegom mniej uzdolnionym wielce był pomocnym zawsze, a z biedniejszymi to i kęssem dzielił się chleba. To wszystko nieskończenie cieszyło pana Siewnickiego i jego zaczął małżonkę, i błogosławili Stasiowi i Maryni którzy; jakby z natchnienia Bożego, pierwsi Wojtusia pouczać zaczęli. Bóg takim dobrym, szlachetnym chęciom błogosławi zawsze, a zdrowe i czyste ziarno na grunt dobry rzucone, to i plon błogi przynosi.

(Ciąg d. nast.)

W I C U Ś.

Na zamazniętej sadzawce w ogrodzie,
Ślizgał się Wicusz po lodzie,
A chociaż mu brat starszy ganił tę zabawkę,
Gdy sposobność upatrzył, dalej na ślizgawkę.

Zaufany w zręczności, mniej ważył przestroge,
O przypadek nie trudno... Wicusz złamał nogę.
Wtedy biedny chłopczyzna sam wyznał ze łzami,
Że się nie godzi starszych pogardzać radami.

Duch Hamleta.

Komedyjka w 1 akcie dla chłopczyków.

Napisał

EMIL DERYNG.

Scena V.

Tadeusz Kubuś.

TADEUSZ. No, Kubusiu — zostajesz — pan profesor ostatni raz ci przebaczył na nasze prośby, ale od tej chwili jeżeli skłamiesz na jedną jotę, bądź zdrów, pożegnamy się na zawsze.

KUBUŚ. Nigdy paniczu, nigdy! jak ciocię kocham!

TADEUSZ. Nie wytrzymasz — już tak przywykłeś — ale ja mam na to lekarstwo.

KUBUŚ (*zadziwiony*). Lekarstwo?

TADEUSZ (*tajemniczo*). Widzisz mój biedny Kubusiu — ja miałem taki sam nałóg.

KUBUŚ (*niedowierzająco*). Eh, panicz żartuje.

TADEUSZ. Nie żartuję, mówię na serio. Otóż, nasz doktor, znasz naszego doktora?

KUBUŚ. Znam, i teraz przecie jest u pana.

TADEUSZ. Otóż jak przyznałem się jemu, tak mi natychmiast dał Japońskie ziele, wiesz gdzie Japonia?

KUBUŚ. Wiem ci wiem, to chet za morzami! kraj Gapoński. Mnie to panicze dali do czytania z ortografii, tylko że ja jeszcze słabo czytam, tak wszystkiego nie wy-

czytałem, a młodzi panicze jak uczą mnie to...

TADEUSZ. Otóż tam rośnie takie ziele, (*pokazuje zawinięty w papierek kawałek aloesa*) trzeba to nosić przy sercu, najlepiej w kieszonce od kamizelki, a wtedy chociażbyś chciał skłamać, nigdy nie potrafiysz.

KUBUŚ. Och!...

TADEUSZ. Weź że to lekarstwo — i noś przy sobie, pożyczam ci na kilka godzin — tylko dobrze zawiń w kilka papierków — żeby nie wywietrzało i nie przyglądaj mu się bardzo — bo wtedy utracą swoją własność.

KUBUŚ (*odbiera papier który skwapliwie chowa do kieszonki od kamizelki*). Ach dziękuję paniczowi — i zaraz spróbuję — powiem kucharzowi że jego kumie cały stragan wywrócono — a patrz panicz — stragan stoi, tylko z koszyczka jabłka wyleciały. (*wybiega głównemi drzwiami*.)

Scena VI.

Alfons Tadeusz.

ALFONS (*wychylając głowę z drzwi, po lewej stronie*). A co uwierzył?...

TADEUSZ (*przy oknie*). Uwierzył, ale czemp prędzej poszlij kogo do przepki z jabłkami, co tam siedzi i niech pozwoli sobie wywrócić stragan, na masz, daj jej za to

parę złotych, a ja biegnę do pana Dyonizego, niech nam poradzi co dalej robić. *(odbiega na lewo)*

ALFONS *(przy oknie)*. Już my wszyscy mamy porozdawane role, nawet i młodzi będą nam pomagać, jak go porządnie nastraszymy, odzwyczajai się kłamstwa. *(do wchodzących)* Wiecie co macie robić, ja zaraz powrócę *(odbiega głębiej)*.

Scena VII.

Jan, Henryk, Józio, Antoś, Gucio, Oleś, Stefan.

JAN. A gdzie Kubuś?

STEFAN. Tylko panowie koledzy! uwaga — żeby nie bardzo chłopca obalamuwać, bo pan profesor mógłby się rozgniewać.

HENRYK. Jak nam się figiel uda i Kubuś nie będzie przez kilka dni kłamać, to pan profesor przyrzekł mojemu ojcu że nam pozwoli co niedziela pójść z panem Dyonizym do Teatru Rozmaitości, już mam pieniądze na trzy łoże.

OLEŚ. Ale i Kubuś pójdzie z nami?

JAN. A jakże pójdzie.

GUCIO. Ja będę znowu klaskać i krzy-
czeć brawo.

JÓZIO *(krzycząc)*. Ja będę wołał, pani Modrzejewska! Zółkowski! Królikowski!

STEFAN. Będiesz, będziesz tylko teraz nie krzycz.

JAN *(do Olesia)*. Ale ty Olesiu nie przelekniesz się, jak ten rycerz z szafy będzie naprawdę spacerować po pokoju?

OLEŚ. Ej nie, ja wiem przecie że to będzie Władzio przebrany.

STEFAN. A nie śmiecie się bardzo, i nie szeptajcie ze sobą po cichu jak przyjdzie Kubuś, bo mógłby figla się domyślić.

OLEŚ. Dobrze, dobrze.

JÓZIO *(do Stefana)*. Ja będę na ciebie tylko patrzeć.

GUCIO. Ani słówka nie mrukne.

JAN. Uważajcie tylko na starszych a wszystko pójdzie dobrze.

TADEUSZ *(wbiega prędko z lewej strony)*. Panowie baczość! Kubuś wraca.

Scena VIII.

Ciż, Tadeusz, później Kubuś.

STEFAN. Cóż mamy robić?

TADEUSZ. Wszyscy głowy do góry i stójmy zadziwieni. *(wszyscy stoją w osłupieniu rozrzucony po całej scenie, chwila milczenia)*

KUBUŚ *(stojąc w głębi, patrzy zdziwiony na wszystkich, a potem sam zadziera w górę głowę i patrzy na sufit)*. Co to?

TADEUSZ *(niby nie widząc Kubusia)*. A może Kubuś nie kłamał, bo kiedy ptaki nie żywe mogą latać, dla czegożby rycerz nie mógł chodzić?

WSZYSCY. Prawda, prawda,

KUBUŚ. Co to się stało?

TADEUSZ. Et, nic, głupstwo... to tak tylko nam się wszystkim zdawało... jakieśmy tu weszli.

JAN *(potakując)*. Tak nam się tylko zdawało...

(Ciąg d. nast.)

SOKRATES.

Podajemy wam kochane dzieci, wizerunek jednego z największych mędrców starożytności, Sokratesa, który żył w Atenach około r. 400 przed narodzeniem Chrystusa. Ojciec jego był snycerzem, i młody Sokrates trudnił się z początku tem rzemiosłem.

Dopiero po śmierci ojca, która go uczyniła wolnym w wyborze stanu, wsparty szczodłą dłonią Krytona bogatego ateńczyka, rzucił się do nauki. Nieraz w głębokiej pograżony zadumie, kilka godzin stał nieporuszony na jednym miejscu dumając o przeznaczeniu człowieka, o jego doczesnem i przyszłem życiu. On pierwszy z mędrców pogańskiego świata, nauczał o nieśmiertelności duszy...

Skromny i pełen prostoty, Sokrates dziwnie odbijał od zniechęcających ziomków swoich, którzy przesadzali się na wyścigi w zbytkach i strojach. Ubiór Sokratesa składał się z jednego płaszcza, pożywienie jego z najprostszych potraw i owoców. Pijał tylko wodę którą sam ze studni wiadrem wyciągał. Ta jego

prostota w zwyczajach i ubiorze znalazła naśladowcę w uczniu jego Antistenesie który chcąc jeszcze prześcignąć mistrza w pogardzie dóbr doczesnych, chodził w podartym płaszczu.

— Przyjacielu, rzekł spotkawszy go Sokrates, z każdej dziury twego płaszcza twoja próżność wygląda.

Miłość nauki nie tłumiała w nim gorliwości obywatela skoro ojczyzna potrzebowała obrony, rzucił ustron i ulubione nauki i wziął się z innemi do broni. „Nie dość jest mówić o obowiązkach, trzeba je samemu pełnić“ — mawiał.

Głównem zatrudnieniem Sokratesa było kształcenie młodzieży.

Nie miał on u siebie formalnej szkoły lecz nauczał wszędzie — na rynku, na przechadze, przy stole, nawet w obozie. Uczniowie słuchali go z ciekawością i porzucali nieraz zabawy aby usłyszeć ulubionego mistrza..

Euklides nadzwyczaj gorliwy młodzian, przychodził do Sokratesa z Megary, miasta cztery mile od Aten



Sokrates.

oddalonego. A gdy Ateńczykowie z nienawiści przeciw Megarze pod karą śmierci zakazali bywać jej mieszkańcom u siebie, Euklides przebrany w szaty niewieście, z narażeniem życia wślizgał się do miasta aby tylko posłyszeć Sokratesa.

Młody Eschines życzył sobie także zostać uczniem Sokratesa, ale będąc ubogim, nie śmiał zbliżyć się do niego. „Czemu stronisz odemnie?” zapytał go Sokrates, gdy go raz spotkał na ulicy. „Bo nic nie mam co bym ci dać mógł.” — „Cóżto odpowiedział Sokrates, także to mało cenisz samego siebie? Oddaj mi sie-

bie!” I tak Eschines został jego uczniem.

Sława Sokratesa była tak wielka, że go nawet wyrocznia w Delfach za najmędrszego z ludzi uznała. Lecz ludzie źli i zepsuci, nie mogli darować jej Sokratesowi; oskarżyli go przed sądem, a gdy Sokrates, zasłaniając się życiem całem, bronić się nawet nie chciał, skazano go na śmierć przez otrucie. Poniósł on ją ze spokojem godnym wielkiego mędrca.

Dopiero po zgonie jego, opamiętali się Ateńczykowie i wystawili Sokratesowi posąg, któremu niemal cześć boską oddawano.

BUDOWLE PALOWE.

(Z RYCINA.)

Nie prawdaż, kochane dziatki, jak to miło i wygodnie mieszkać w schludnych, bielutkich domkach na wsi, otoczonych zieleniejącymi się sadami i pnącą się na tyczkach winną lato-roślą, lub w pięknych, piętrowych kamienicach w mieście? Możecie nigdy nie pomyślały, mieszkając w waszych ciepłych i jasnych pokojach, czy też to zawsze ludzie mieli tak wspaniałe i wygodne domy, czy zawsze było im tak dobrze, jak nam w tej chwili?

Otóż z góry wam zaręczę, że nie; spojrzycie tylko na chatki biednych wieśniaków, a spostrzeżecie że i te już są o wiele mniej wygodne od domów, gdzie wy mieszkacie. A był czas, kiedy ludzie i takich nawet lepianek nie mieli.

Cofnijmy się myślą na kilka tysięcy lat przed narodzeniem Chrystusa.

O wielu ludach nie mamy z tych odległych wieków żadnych a żadnych wiadomości; nie tylko bowiem nie było wówczas książek i gazet, jakie dziś mamy, ale nawet nie mieli ludzie pisma i nie zostawili nam żadnych o sobie wiadomości: są to dzieje przedhistoryczne ludów.

Mimo to jednak możemy sobie wyrobić niejaki wyobrażenie o sposobie życia ówczesnych mieszkańców naszej ziemi. Spytaście, skąd? Oto w wielu krajach poodkrywano mogiły i groby z tych odległych czasów pochodzące; do tych grobów wkładano wraz z umarłymi ich najulubieńsze narzędzia i zbroje i oto z tych narzędzi możemy wymiarkować, jaki

też to wówczas był sposób życia. Podług różnorożności tych narzędzi dzielimy dzieje przedhistoryczne na trzy epoki: na epokę kamienną, w której używano narzędzi z kamieni wyrobionych; na epokę brązową, w której używano narzędzi z brązu t. j. mieszaniny z miedzi i cyny; a nareszcie na epokę żelazną, w której używano już narzędzi z żelaza wykutych.

Co więcej, wiemy nawet, jakie to mieszkania mieli ludzie w tej pierwszej t. j. kamiennej epoce. Jeszcze upłynionego stulecia odkryto w jednym jeziorze w Szwajcaryi mnóstwo palów w dno powbijanych. Z początku nie zwracano na to wielkiej uwagi i dopiero w roku 1854, zajęto się dokładnem zbadaniem tego ciekawego odkrycia. W tym roku bowiem znaleziono znowu w jeziorze Zurychskiem również w Szwajcaryi, mnóstwo takich palów, a między nimi naczynia i rozmaite narzędzia pochodzące z epoki kamiennej. Otóż na podstawie tego jeden uczony dr. Keller wpadł na pomysł, że na tych palach musieli ludzie z owej epoki budować sobie pomieszkania. Jego twierdzenie poparte jest tem, że najstarszy historyk Grecyi, Herodot wspomina, iż za jego jeszcze czasów w podobny sposób wielu mieszkańców Grecyi swe domy budowało.

Zdaje się, że ówczesni ludzie postępowali sobie przy tem w ten sposób. Z początku wypływali na łodziach na jezioro i wbijali nadpalone lub ostro zaciosane pale za pomocą drewnianych młotów w ziemię; następnie używając już tylko tych

powbijanych palów za podstawę, zagłębiali więcej palów; te pokrywali pomostem z drzewa, wypełniali dziury gliną i ziemią i budowali na tym pomoście niskie drewniane chatki. Dla ochronienia się od słońca pokrywali je dachem ze słomy lub oczeretu a drzwi zasłaniali plecionką z wikliny lub również z oczeretu, okien naturalnie w tych pierwotnych mieszkaniach ludzkich nie było. Wewnątrz prócz łuku z cisowego drzewa, strzał drewnianych zakończonych grotem z ostrego krzemienia, drewnianych nożów i kamiennych siekier, nie było nic, prócz wielkiego kamienia, na którym rozpalano ogień i gotowano sobie skromne swoje pożywienie. Z lądem były te wysepki zwykle połączone za pomocą podwójnego rzędu palów, pokrytego dla wygodnego przejścia ciosanymi kawałkami drzewa.

Spytacie teraz zapewne, moi młodzi przyjaciele, dlaczego to ludzie wówczas, mogąc sobie bez trudu budować swe chaty na stałym lądzie, czynili to z takim mozolem w pośród jezior? Były do tego dwa ważne powody: najprzód broń w owych czasach była bardzo niedoskonała, i ludzie nie mieli się czém zasłaniać przed napascią dzikich zwierząt, od których lasy wówczas się roili; powtórę, jak lasy wówczas były pełne zwierząt, tak jeziora były pełne ryb, że trzeba było tylko sieć zapuścić, aby sobie na dłuższy czas pożywienie zapewnić. W czasach, kiedy i rolnictwo i chów bydła były na bardzo niskim stopniu, była ta okoliczność nader pożądaną.

Później kiedy te drewniane wioski częste niszczyły pożary, (jak to widzicie na obrazku), a bardziej jeszcze, kiedy ludzie nauczyli się już z brązu wyrabiać lepszą broń, przenosili się na ląd stały, a ich obronne siedziby poznikały pod gładkiem zwierciadłem jezior.

Najwięcej takich palowych budowli odkryto w Szwajcaryi, później

także we Francyi, w Italii, w Niemczech, w Danii i w Irlandyi. Dopiero w najnowszych czasach, bo przed dwoma laty, odkryto i u nas w Wielkopolsce takie budowle nawodne, mianowicie we wsi Czeszewie, własności znakomitego naszego filozofa Dra. Karola *Libelta* i w jeziorze Bnin-skim.

K. G.



Budowle palowe.

Aforyzmy i myśli.

Pewien filozof zapytany, jakie ma wady, odparł: o tem dowiesz się od mego

sąsiada, gdyż ludzie zwykli bardziej na cudze niż na swoje wady uważać.

Szarada.

Trzecie, pierwsze, żyje w wodzie,
Różnie wiodą drugie, trzecie, —
Wszystko sławny król w narodzie:
Co za jeden? — zgadnij dziecię!

Rozwiązanie zagadki z Nr. 5.

K
U



ILLUSTROWANE CZASOPISMO DLA MŁODZIEŻY

Wychodzi co dni 10, pod kierownictwem WŁADYSŁAWA BEEŻY.

Kosztuje kwartalnie 1 zł. 50 ct. = 1 tal. — z przesyłką pocztową 1 zł. 70 ct. = 1 t. 4 srg.

WOJTUS-GREGORYANEK

POWIĄSTKA

PRZEZ PAULINĘ Z L. WILKOŃSKĄ.

V.

Plebanią w Sokołowie objął nowy proboszcz młody jeszcze, ale zacny, cnotliwy, uczony, którego szczególnie piękne odznaczały kazania. Tym proboszczem był dobrze nam znany ksiądz Wojciech Rempa. Sprowadził też zaraz pocziwą do siebie matule, uczuł się szczęśliwym po nad wszystko, dziękował Bogu gorąco i swoim dobrodziejom.

Domek miał porządnny ale szczupły, boć też i probostwo niedużem było. W koło ogród, także nierozległy, w nim grusz parę, śliwin i jabłoni. Sam zaś urządził sobie bliżej domku parę grządek kwiatowych, a pod ścianą, przy bzie rozłożystym,

ławkę własnej ustawił roboty, na której zwykł zasiadać do czytania brewiarza.

Pocziwa Rempowa, przemieniona dziś w panią Rempową, przez wzgląd na księdza proboszcza, od razu małe sobie urządziła gospodarstwo. Miała trzy krówki, gęsi, kaczkę i kury; psa Kurte i kotkę Misie, bo kobiecina bardzo kotki lubiła.

Dnia jednego niezwykła na plebanii krzątania powstała. Pani Rempowa rychluteńko kazała wszędzie podłogi poszorować. Sama wymyśla okna, a żona organisty świeże muślinowe zawiesiła firanki.

Kanapka i krzesła włosienią pokryte, stoliki, szafa z książkami, komoda aż lśniły się niby. A nad

kominkiem, obok zegara, postawiła Rempowa szklanki ze świeżemi kwiatami. Zaś w kuchni! W kuchni nie-dużej, leżały zabite kuraki i kaczki, wyłuskany groszek zielony na misce, marchewka i młode ziemniaki. W szafie, w słoju szklanym były jakieś ciasteczka, znać z miasta przywiezione. Kawa stała ugotowana w dużym kamiennym imbryku i gęsta śmietanka w pletkach, z dużym kożuskiem.

To i cóż to wszystko znaczyło? Otóż zapowiedział na dzisiaj swoje odwiedziny pan Siewnicki z synem Stanisławem, który co tylko z akademii agronomicznej z Pruszkowa powrócił. Z tąd więc wielka była radość, a ksiądz Wojciech aż niby miru nie mniał, ciągle w około domu drepciał i patrzył ku żwirówce rychło tam ukochani, upragnieni nadjadają goście.

Do Żytniewa było cztery mile. Ksiądz Wojciech zostawał dopiero od nie wielu miesięcy w Sokołowie, i pan Siewnicki dziś po raz pierwszy pod jego dach miał zawitać. Młody proboszcz był już dwa razy w Żytniewie, serdecznie powitany przez dziedziców i pannę Marynię. Przypominali sobie dawne czasy i pośmiali się wesoło, chociaż niby aż ze łzą na oku, kiedy to Wojtuś - Gregorjanek tak ucieszenie powtarzał: *Deus Bóg, cornus róg.*

Państwo Siewniccy zapraszali, by ich odwiedzał częściej, zwłaszcza też, gdy Staś do domu powróci.

Około godziny czwartej nakoniec zaturkotało przed bramą. Proboszcz

wybiegł. Zajechał lekki walant, a przybyli panowie uśmiechali się do gospodarza wesoło. Ksiądz Wojciech pomógł wysiąść sędziwemu panu i z uszanowaniem go uściśnął, gdy urodziwy młodzian rażno ze stopnia zeskoczył.

— Wojtusi kochany! krzyknął i rzucił się w objęcie młodego proboszcza.

— O Stasiu!... Panie Stanisławie! poprawił się proboszcz.

— Zawsze Stasiu! Zawsze Stasiu i zawsze Wojtusi! uściśnął go Stanisław raz wtóry.

— W drzwiach powitała ich pani Rempowa w świeżym czepecu i bielutkim fartuchu.

— O święty patronie! Święty Stanisławie męczenniku, patronie Polski! zawołała składając dłonie — co też to z paniczka za kawaler wyrósł! Iście jak topol, gdyby na rycerza stworzony! Niechże ojciec w niebie da szczęście!

— Dziękuję, dziękuję, matuleńko! — pan Stanisław objął ją za ramiona i pocałował w głowę.

Kobiecina rozplakała się znowu. Ale króciutko tylko, bo przecież było potrzeba poczęstować gości. To też stół nakryła bielutką serwetą i niebawem sutym zastawiła go podwieczorkiem.

Gawęda tymczasem potoczyła się zwawo. Pan Siewnicki mówił o różnych domowych sprawach. Stanisław prawił o Proszkowie, młody proboszcz o parafii swojej, i tak rozmowa nie ustawała wcale.

(Dokończ. nastąpi.)

Duch Hamleta.

Komedyjka w 1 akcie dla chłopczyków.

Napisał.

EMIL DERYNG.

KUBUŚ (*zaciekawiony*). Że co? proszę paniczów...

TADEUSZ. Że te ptaki, które teraz tak spokojnie stoją na szafie, wszystkie były tu na tym stole, i dziubały narysowanego Rycerza. Widziałem, to na własne oczy... prawdziwie a potem ja wchodzę, a one fru... fru... i już na szafie.

JAN. To dziwna historia! aż strach zbiera tam spojrzeć..

WSZYSCY. Aj prawda!

KUBUŚ (*niedowierzająco*). E... panicz chyba żartuje...

TADEUSZ (*niby obrażony*). Słyszeliście! żartuje! to niby że ja kłamię? Mogło mi się zdawać, ale ja nigdy nie kłamię, dawniej to co innego.

KUBUŚ (*nagle przypominając sobie o tem co mówił Tadeusz w poprzedniej scenie*). Aj! paniczu!

WSZYSCY. Co to?

KUBUŚ. Nie, ktoś mi na nogę nastąpił (*w tej chwili Jan stojący obok następuje mu na nogę*). Aj! aj!...

WSZYSCY. Co ci jest?

KUBUŚ (*pomieszany*). Nic... Coś mię w kark trąciło.

TADEUSZ (*dając mu szturchańca*). Doprawdy?

KUBUŚ. Aj! jak ciocię kocham! prawda.

TADEUSZ. Nie masz się czego zaklinać — teraz my ci wszyscy wierzymy — bo chociaż byś chciał skłamać to nie możesz.

KUBUŚ (*z cicha*). Ale za to panicz...

TADEUSZ (*także z cicha*). Prawda, oddaj mi moje ziółko bo mi język świerzbi.

KUBUŚ (*zawsze z cicha*). Paniczu kochany — jeszcze nie — to tak miło być pewnym że wszyscy mi wierzą.

Scena IX.

Ciż i Alfons.

ALFONS (*wchodząc głębią*). Kubusiu! czy ty znasz tę przekupkę która tam ma swój stragan na rogu ulicy.

KUBUŚ. Wiem... ta, której stragan wywrócili?

WSZYSCY. Biedna! jak to było? kto jej zrobił taką szkodę?

KUBUŚ. Okropną szkodę, wszystkie jabłka, ciastka, pierniki, słoiki z cukierkami, wszystko, wszystciuteńko powpadało do rynsztoka.

WSZYSCY. Aj! ach!

KUBUŚ. A nasz kucharz, to jej krewny, jak się o tem dowiedział upuścił rądel, oparzył sobie ręce i nogi teraz płacze biedny i narzeka.

ALFONS. Prawda, prawda, na szczęście że pan doktor był na górze

jak mu powiedzieli o tem wypadku, tak sam zeszedł do kuchni aby kucharzowi oparzeliznę opatrzyć.

KUBUŚ (*zdziwiony*). Pan Doktor poszedł do kuchni?

TADEUSZ. Poszedł — sam widziałem jak go kuchcik sprowadzał ze schodów.

KUBUŚ (*jeszcze bardziej zdziwiony*). I kucharz oparzony?

ALFONS. Okropnie! cały rądel z wrzącą wodą wylał sobie na nogę.

JAN. Jak to jeden wypadek pociąga za sobą drugi. Gdyby nie wywrócony stragan...

KUBUŚ. Ale stragan nie wywrócony, mnie się tylko tak zdawało...

TADEUSZ. Tobie nic się zdawać nie może — panowie! co Kubuś powie, to święta prawda (*idąc do okna*) przekonajcie się sami, stragan wywrócony, jeszcze leży na ziemi.

KUBUŚ (*biegnąc pierwszy do okna*). Jak ciocię kocham! prawda.

TADEUSZ. Na co masz się zaklinać, teraz wszyscy wierzą w to co mówisz i gdybyś powtórzył dzisiaj że widziałeś Hamleta jak wyłaził z szafy, tobyśmy pewnie ci uwierzyli.

ALFONS. Skoro pan Tadeusz tak rę-

czy za ciebie mój Kubusiu, to widać że się poprawiłeś, że już nigdy nie skłamiesz.

HENRYK. Wczoraj byłby już do tego czasu z dziesięć bajek utworzył.

JAN. A złapany na kłamstwie zakończył swoim ulubionem „To mi się tak zdawało.“

STEFAN. Teraz już by się nie zaklinał na ciocię! że widział ducha wychodzącego z szafy.

KUBUŚ (*zamyślony*). Więc panicze już teraz naprawdę nie uważacie mnie za kłamcę?

WSZYSCY. A bynajmniej.

KUBUŚ (*do Tadeusza*). I panicz także?

TADEUSZ. Ja tem więcej kiedy widziałem jak te ptaki latały...

KUBUŚ (*śmiejąc się*). Panicz żartuje, ptaki żywe mogą latać ale wypchane nigdy.

TADEUSZ. A rycerz z szafy?

KUBUŚ. To mi się tylko tak zdawało.

TADEUSZ. Skoro i dziś tak mówisz to nie mogło ci się zdawać, ale musiało tak być w istocie. (*idzie ku drzwiom na lewo i otwiera je a potem nagle udaje przestrah cofa się naprzód sceny, wszyscy gromadzą się obok Tadeusza, tak że Kubuś zostaje sam jeden.*)

Dokończenie nastąpi.)

PAJAC.

Dostał Bolesł pajaca,

Tak sztucznego aż dziwy!

Główką w koło obraca,

I tańczy jak żywy.

Za dotknięciem sprężynki,

Gnie się, skacze i słania...

Stroi figle i minki,

I rękami się kłania.

Lecz coś kusi chłopczyne,
Zajrzeć wewnątrz pudełka,
By zobaczyć sprężynę,
Co porusza djabełka.
Badał ze dwie godziny,
I tak zwinął się gracko;
Że nim doszedł przyczyny,
Już porzucił w kąć cacko...

W bajce świeci nauka
Jasno, niby na dłoni:
Chwała temu! kto szuka,
I za prawdą kto goni!
Lecz daremna tam praca,
Bezowocny trud w świecie:
Kto nim prawdę namaca,
Dzieło rzuca na śmiecie.

WŁ. BEEZA.

Struś.

Spojrzenie kochane dziatki, na ry-
cinę; macie przed sobą wizerunek naj-
większego z pta-
ków, jakie na zie-
mi żyją. Ptak ten
nazywa się *Struś*;
jak widzicie, ma
on bardzo długą
szyję, zakończoną
małą głową z płą-
skim dzióbem, wy-
sokie silne nogi,
opatrzone dwoma
palcami, wydłu-
żone ciało i krót-
kie skrzydła. Wy-
sokość dorosłego
strusia wynosi 8
stóp, długość naj-
mniej 6 stóp, wa-
ży zaś około 150



Struś.

funtów. Samiec jest brunatno czarny,
prócz piór w skrzydłach i ogonie;
samica jest cała popielata.

Struś żyje w ogromnych, pia-
szczystych pustyniach Afryki, zwykle
w licznych stadach; żywi się, jak
nasze kury ziarnami, trawą, robaka-
mi, często także połyka piasek, ka-
myki, blaszki i nic mu to nie szko-

dzi; pije jednak bardzo dużo wody
i zwykle też przebywa w takich oko-

licach gdzie ma
jój podostatkiem.
Jest on nadzwyc-
zaj przezornym
i czujnym, ale
przytem bardzo
bojaźliwym; by-
strem okiem ogar-
nia kilkomilową
przestrzeń pusty-
ni, a skoro jeden
z nich spostrzeże
coś podejrzliwe-
go, daje hasło,
i całe stado pę-
dem strzały ucho-
dzi; latać bowiem
nie może dla krót-
kich skrzydeł, bie-

ga jednak bardzo prędko, przycem
przez podniesienie tych małych skrzy-
deł sobie pomaga. Do tego stopnia
jednak jest ograniczony, że ucieka
przed najniewinniejszymi zwierzętami,
tylko rozgniewany bije je nogami,
wyrzucając nimi ku przodowi.

Gniazda wygrzebuje sobie struś
w piasku, i otacza je wałem. W je-

dnem takim gnieździe można znaleźć około 30 jaj, z których każde waży tyle, ile 24 jaj kurzych. Gdy wyklują się z nich pisklęta, prawie wielkości naszej kury, stare prowadzą je na żer i bardzo troskliwie przed niebezpieczeństwem ochraniają.

Struś od dawna był bardzo pożądaną zdobyczą dla myśliwych. Buszowanie polują na niego w ten sposób, że pierw otaczają całe stado, zapędzają je do wody i tam z łatwością je zabijają, lub też przebrawszy się za strusia, zdradliwie do stada

się zbliżają. Beduini, dostrzegłszy całe stado, upatrują najpiękniejszego samca, i gonią za nim na koniach; kiedy ten ze zmęczenia w biegu już ustaje, uderzają go po głowie lub szyi i powalają na ziemię.

Mięso i jaja strusiów są jadalne, ze skóry robią ubrania i pancerze, ze skorup jajowych kubki, miseczki i t. p. Najcenniejsze jednak u strusia są pióra ze skrzydeł i ogona, których i u nas używają do strojów, a które szczególnie książęta afrykańscy wysoko cenią.

List dziecka z 1582 r.

Leży przed nami kopia listu dziewięćioletniego Tomasza Zamojskiego, pisanego do ojca jego Jana Zamojskiego hetmana i kanclerza wielkiego koronnego, którą dla pouczenia dzisiejszej młodzieży, nad czem jej rówieśnicy, przed trzystu z górą laty czas przepędzali, podajemy.

„Jaśnie Wielmożny Mościwy Panie Ojczy Dobrodzieju! Za list który mam od Waszmości mego Miłościwego Pana, uniżenie dziękuję, w którym coś mi Waszmość rozkazać raczył wszystko gotów jestem czynić. Ja z łaski Bożej dobrze zdrów jestem. Z strony nauki oznajmuję Waszmo-

ści, iż już nauczyłem się z książki piątej Cyserona kwestyj tuskulańskich o zaleceniu filozofii i Anacharsysa tatarskiego, albo raczej scytyjskiego filozofa. Po grecku będę się uczył; teraz się uczę po łacinie jak Krassus z L. Helwiusza żartuje. Z gramatyki greckiej nauczyłem się *passivum verbum* (typtomai) *de verbo medio* uczę się. Zatem Pana Boga proszę, abym Waszmości mego Miłościwego Pana w dobrem zdrowiu oglądał. Z Zamościa, w dzień Św. Tomasza z Akwinu, A. D. 1582.

Waszeci mego Miłościwego Pana syn i sługa najniższy,

Tomasz Zamojski ręką swą.“

DZIECIĘ MOJŻESZ.

(Z RYCINĄ.)

Na obrazku widzicie maleńkie niemowlę w pleciance z sitowia, którą nurt wody wyrzucił na brzeg piaszczy-

sty. Nad twarzyczką dziecięcia, pochyła się młoda niewiasta, w ubiorze wcale różnym od otaczającego ją grona kobiet.

Kto jest tém dzieckiem, co takie budzi zajęcie? kto są te niewiasty? opowiem wam zaraz.

Z tych synów Izraela, którzy przybyli za Józefem i Jakóbem patriarchą ich rodu do ziemi Faraonów zrodziło się nowe pokolenie — liczne, o którym Bóg powiedział że „rozmnóży je jak gwiazdy na niebie, jak piasek w pustyni.“

Ten wzrost ludu wybranego, zaczął przerażać Egipcyan, którzy, zrazu gościnnie go przyjmawszy, obawiać się zaczęli, by Izraelici wzmógłszy się w potęgę nie chcieli zagarnąć władzy i nie opanowali ich kraju.

Obawa ich, do tego posunęła się stopnia, że wydali barbarzyński rozkaz, topienia każdego nowonarodzonego dziecka izraelskiego.

Pod te czasy, znajdowała się w Egipcie cnotliwa i pobożna Izraelitka którą Bóg właśnie obdarzył prześlicznym dziećciem. Chłopczyk był cudny jak cherubinek, buzię miał jak jabłuszko, oczka duże i czarne jak dwa węgielki. Żał było biednej matce rozstawać się ze swoim skarbem. Ukrywała go też jak mogła przez kilka miesięcy, — ale gdy dalsze przechowywanie okazało się niepodobnem, uwiła z sitowia kobiałkę wylała ją zewnątrz i wewnątrz żywicą aby nieprzemakała, i w tak przygotowaną kołyskę, złożyła pacholę i zleciwszy je opiece bożej, puściła na wody Nilu. Siostrze zaś swojej kazała zdaleka czuwać nad dzieckiem, a sama o zmroku przychodziła je karmić i pieścić.

Co się działo w sercu biednej

bobiety, jak drżała o los swego jedynaka, to tylko serce matki odczuć i wypowiedzieć zdoła... Codziennie błagała ona Boga, aby się zlitował nad niewinną istotą, i zesłał dla niej wybawcę.

I Bóg wysłuchał matkę.

Zdarzyło się niebawem, że piękna córka Faraona wraz ze swemi towarzyszami, udała się ku brzegom Nilu, do kąpieli, właśnie w tę stronę, gdzie był porzucony chłopczyzna. Z oczeretów doleciało ją kwilenie dziecięcia. Zatrzymała się zdziwiona i jednej za swoich służebnych kazała pójść na zwiady. Służebna w kilka chwil powróciła, donosząc o znalezieniu dzieciciu.

— Ach! to pewnie jaka biedna dziewczyna izraelska! zawołała królowna z współczuciem, — uratuję jej życie.

Na te słowa, wyszła z ukrycia dziewczeczka izraelska i oświadczyła się z gotowością wyszukania kobiety któraby się podjęła pielęgnowania chłopaczka.

— Sowiec jej to wynadgrodzę, zapewniła królowna, idź i przyprowadź ją do mnie.

Ma się rozumieć, że dziewczyna pobięła do matki dziecka, która odebrawszy skarb swój, nie posiadała się z radości.

Na pamiątkę wydarzenia tego, dano dzieciciu imię *Mojżesz* co znaczy: uratowany z wody.

* * *

I kobyby wówczas mógł myśleć, że to biedne, porzucone na wolę

rozszała jej rzeki dziecię, zaskynie w przyszłości jako jeden z największych mężów w izraelskim narodzie? Ktoby spodziewał się, że dziecię to, powołane zostanie do pośredniczenia pomiędzy ludem swoim, a Panem

Wszzechstworzenia, że lud Izraelski „wywiedzie z domu niewoli“, że przez niego Bóg cuda działać będzie i jego powoła do ogłoszenia praw swoich!

Tak jednak się stało, bo niezbadane są wyroki Boskie.

Wł. Bełza.



Mojżesz.

Myśli i zdania.

— Ten tylko chelpi się znakomitem pochodzeniem i starożytnym rodem, kto nie może szczycić się własnymi zaletami i zasługami.

— Od niewinnego żartu do obrazy jest tylko jeden krok.

— Lepiej sobie zatkać uszy cierniem, niż słuchać oszczercy.

— Wielu ludziom mogłoby być dobrze, jest im źle, bo zbyt pragną, aby im było bardzo dobrze.

— Zła książka jest największym złodziejem.

Rozwiązanie zagadki z Nr. 6.

BA — TO — RY.

Szarada

(do nagrody.)

Pierwsza, druga, różna czasem,
W grze, mniej albo więcej warta.

Burza z groźnym wrac hałasem
Drzewa: czwarta, trzecia, czwarta.

Wszystko gród, którego mury,

Pas odmierzył z zwierza skóry.

Niegdyś błyszcząc świetnym losem,

Pod Rzymianów upadł ciosem.

Za pierwsze, wyrozumowane rozwiązanie tej szarady Redakcyja przeznaczą w nagrodę **Złote Literki** przez Wł. Bełzę.



ILLUSTROWANE CZASOPISMO DLA MŁODZIEŻY

Wychodzi co dni 10, pod kierownictwem WŁADYSŁAWA BEEZY.

Kosztuje kwartalnie 1 zł. 50 ct. = 1 tal. — z przesyłką pocztową 1 zł. 70 ct. = 1 t. 4 srg.

DO POLSKICH DZIECI!

(Głos w sprawie oświaty ludowej.)

Jakżeście szczęsne o! lube dziatki!
Na łonie uciech, roskoszy!
Každy wasz smutek, wnet ręka matki,
Uściskiem swoim rozpłoszy.

O! wy nie znacie co głód, pragnienie,
Co jęk niedoli i nędzy!
By zisćić každye wasze zachcenie,
Tatko ma dosyć pieniędzy!

Jakże wam wszystko przychodzi łatwo,
Jakże wam w życiu wesoło!
Lecz pomyślałaś że o tem dziatwo,
Czy wszystkim tak jest w około?

Czy, goniąc wiosną motyle złote,
Które się rwały w obłoki;
Rzuciłaś okiem na tę sierotę,
Co łąą ścięgała twe kroki?

Na półkach twoich książek dostatek,
A w nich obrazków lśni krocie!
Lecz czy wiesz o tem, ile to dziatek,
W głuchej zostaje ciemnocie?

O! czas młodzieży! pomyśleć o tem!
Czas się rozejrzeć po świecie...
Dziecięce latka przemkną się lotem,
A wy na ludzi rośnięcie!

Czas wam poważnie myśleć jak ludzie,
O nędzy, trosce pobratniej;
I nieść swą pomoc w szlachetnym trudzie,
Do kropli potu ostatniej!

Ileż to biednych, *wiejskich* dziateczek,
Do książek garnie i rwie się!
Zaoszczędzony grosz od ciasteczek,
Biednym *oświatę* przyniesie!

Jakże wam błogo będzie o, dzieci!
Patrzeć na owoc swej cnoty:
Gdy tę naukę, co im zaświeci,
Z waszej mieć będą szczodroty!

Wam ta ofiara przyjdzie tak łatwo,
Dość się podzielić połową:
Grosz, co na ciastka miałaś dać dziatwo,
Złóż na *oświatę ludową*!

Władysław Beza.

Jeszcze słówko.

W poprzędzającym wierszu, Redakcyja nawołuje swoich czytelników, do składek na *oświatę ludową*, a pragnąc ofiarności ich przyjąć w pomoc, z niniejszym numerem „Promyka“ stawia **skarbonkę** do której najmniejszy datek z wdzięcznością przyjęty zostanie. Imiona zaś ofiarodawców drukiem ogłoszone będą.

Zapytasz mię zapewne, droga dziatwo! co za cel mają te składki?

Oto, z ofiar tych, zbieranych dziś hojnie po całej Polsce, urośnie z czasem dostatni fundusz, z którego kształcić się będą dzieci ubogich rodziców, sieroty i wiejskie pacholęta.

Cel to szlachetny, obowiązek obywatelski, od którego nikomu wyła-

mywać się niegodzi, a najmniej dzieciom, o których każdym kroku powinien świadczyć dobry uczynek.

Niech więc ten grosz, który miał iść na łakocie i zabawki — obróci dziatwa na cel zacny, a więcej on jej przyniesie słodczy i wewnętrznego zadowolenia, niż cukierek lub ciastko.

Pamiętaj dziatwo! że tylko szlachetne postęпки mają prawo do pamięci ludzkiej, pomnij i na to, że grosz dany ubogim wyjedna ci błogosławieństwo niebios!

Składki nadsyłać należy do Redakcyi Promyka w księgarni F. H. Richtera we Lwowie (i w Poznaniu) z wyraźnem wypisaniem summy i nazwiska.

WOJTUŚ-GREGORYANER

POWIASTKA

PRZEZ PAULINĘ Z L. WILKOŃSKĄ.

Nakoniec ozwał się pan Siewnicki, że panna Marynia, której ślub z panem Janem Godnickim, młodym sąsiadem z Żytniewa, ma odbyć się za trzy tygodnie, pragnie koniecznie, ażeby jej związkowi pobłogosławił przyjaciel z lat młodziutkich, ksiądz Wojciech Rempa.

— Zbyt wielki, a razej za wielki to dla mnie zaszczyt — zarumienił się skromny kapłan — są przecie o wiele godniejsi...

— Nie, nie! Marynia od tego nie odstąpi życzenia — przerwał mu pan

Siewnicki — i my tego pragniemy i prosimy ciebie.

— Marynia twierdzi — dodał Stanisław — że ty jej, przyjacielu nasz, przyjacielu z lat dzieciństwa, najprzedniejsze u Boga błogosławieństwo wyprosisz.

— To i niechże się stanie po jej woli i za pomocą Bożą — wymówił młody kapłan pobożnie i ze łzą na oku.

Pan Siewnicki bardzo przyszłego zięcia pochwalał, a Stanisław dodał:

— Znamy go przecie dobrze. Przez

lat kilka byliśmy razem w szkołach, a teraz jest sąsiadem Żytniewa.

Wyszli następnie przed dom i pod bzem usiedli. Po chwili powstał pan Siewnicki i odbiegł nieco od młodych, by coś tam przez okno do pani Rempowej zagadać.

— A czy wiesz — ozwał się Stanisław do księdza Wojciecha, korzystając z tego sam na sam, że mamy wielkie zmartwienie rodzinne.

— Cóż takiego? zafrasował się proboszcz.

— Słyszałeś, że ojciec przed dwoma laty poróżnił się z bratem, a stryjem naszym...

— Słyszałem, niestety!

— Stryj jest zawzięty, o pojednaniu słuchać nie chce, a Marynia pragnie koniecznie, by na jej był ślubie. Lęka się niebłogosławieństwa, płacze... — Stanisław urwał nagle, bo ojciec powrócił, a przy nim nie chciał mówić o tak smutnej okoliczności.

Panowie Siewniccy zanocowali i dopiero nazajutrz po śniadaniu odjechali.

VI.

Na trzeci dzień potem ksiądz Wojciech wybierał się w drogę na dzień cały.

— Dokądże jedziesz? pytała się matka.

— Z Bożem słowem w miejsce gdzie jest potrzebnem.

— To jedź ze z Bogiem i Matką najświętszą, mój synku!

— Przeżegnaj mnie, matko!

Rempowa przeżegnała syna i po bożnie westchnęła.

Ksiądz Wojciech wsiadł na bryczkę. Wóznica biczyskiem znak krzyżaś. zrobił — konie rącho z miejsca ruszyły.

W parę godzin później stanęli w Garbieńcu u pana Tytusa Siewnickiego, starszego brata dziedzica Żytniewa. Był to pan dumny, surowy, ale człowiek zacny. Wyjrzawszy przez okno, gdy bryczulka zaturkotała, zmarszczył się nieco, bo przewidywał w jakim to interesie ksiądz Wojciech przybywa. Ale wyciągnął rękę do wchodzącego do pokoju i powitał go przyjazno.

Po chwili zaczął ksiądz Wojciech przemawiać za zgodą pomiędzy braćmi. Pan Tytus rzucił się niecierpliwie, ale tamten nie dał się zbić z toru: błagał w imię Boga, by gniewu zaniechał. Wskazał na znikomość wszelkich rzeczy ziemskich, i z podniesionym duchem o przyszłym mówił życiu.

— Nie wchodzę, który z panów ma słuszość — ciągnął dalej — lecz najpewniej obadwaj macie słuszość i niesłuszość...

— Jakto! Cóż chcesz przez to powiedzieć? — zżymał się pan Tytus.

— Panie! Słabość ludzka, rzecz prosta: każdemu się zdaje, że ma słuszość, a każdy błądzi, boć taką jest ułomność natury naszej.

Ksiądz Wojciech mówił dalej w duchu religijnym, mówił z namaszczeniem. Wskazał na żal głęboki całej rodziny w Żytniewie, na boleść panny Maryni, która stryja kocha i pragnie jego błogosławieństwa przy akcie, który o jej całej będzie stanowił przyszłości. Przemówił za zgodą bra-

terską gorąco — ze łzami. Pan Tytus milczał i ust przygryzał. Potem powstał, przeszedł się po pokoju, zadzwonił i obiad podać kazał. O całej tej przykrej sprawie już mowy nie było więcej.

W dzień ślubu panny Maryni pojechał ksiądz Wojciech do Żytnevia. Zebrała się tamże cała bliższa rodzina, prócz jednego pana Tytusa, co bardzo przykre czyniło wrażenie.

O godzinie czwartej z południa udał się orszak ślubny do kościoła. Świątynia pańska była pięknie przybrana i liczne paliły się światła.

Przy ławce kolatorskiej ujrzeli wyniosłą postać, poważną, pana Tytusa i zdumieli wszyscy. Brat młodszy nie śmiał przystąpić do niego.

Z zakrystyi wyszedł ksiądz Wojciech w całym do ceremonii należnym przyborze.

Panna Marynia na narzeczonego skinęła. Przystąpili do pana Tytusa i przyklekli.

— Stryju najdroższy! prosiła oblubienica — daj nam swoje błogosławieństwo!

Pan Tytus położył dłonie na ich głowach pochylonych, a miał łzę na źrenicy. W tem przystąpił Stanisław z ojcem. Bracia zagniewani padli sobie w objęcie. W koło uroczyste trwało milczenie. Ksiądz Wojciech ze złożonemi dłońmi stał przed ołtarzem i wznosił dziękczynny wzrok ku niebu.

Nastąpił obrzęd ślubny. Poczem orszak weselny, przy odgłosie dobrej muzyki, do dworu pociągnął.

Panowie Siewniccy tylko zawrócili od drzwi kościelnych i udali się do zakrystyi, gdzie pojednani z sobą, księdza Wojciecha uścisnęli serdecznie.

— KONIEC. —

ADRYJAN FLORENT.

W połowie XV. wieku, w gronie studentów uniwersytetu w Luvain (w Belgii) odznaczał się szczególnie Adryjan Florent, syn biednego tkacza z Utrechtu.

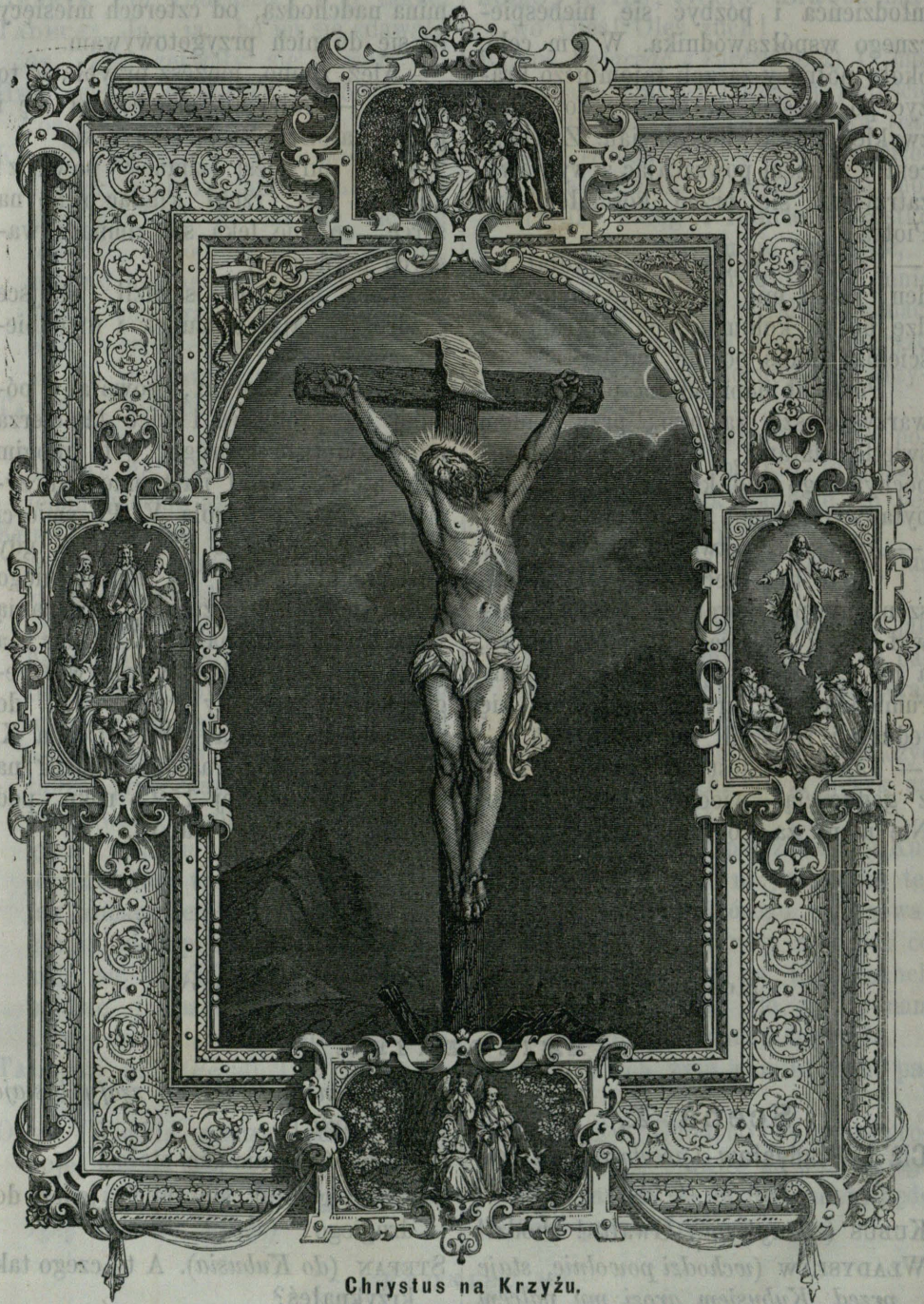
Adryjan uczył się z niezmordowaną wytrwałością. Niekiedy, z oczyma krwią zabiegłymi, wycieńczony, zmordowany, upuszczał książkę i zasypiał mimowolnie, lecz miłość nauki brała górę nad słabością ciała, chciwy wiedzy, czerpał ją bez wytchnienia.

Zadziwiające postępy młodego studenta, wzbudzały zazdrość niektórych

kolegów, mianowicie też bogatych a opieszających w nauce.

Spostrzegli, że wieczorną porą, po ukończeniu prelekcji w uniwersytecie, Adryjan wysuwał się potajemnie z gmachu akademickiego, udawał się w jakieś kręte zaułki i dopiero nad ranem wracał do mieszkania. Zauważano także, że unikał starannie w czasie tych wycieczek wszelkiego towarzystwa. Złe języki zaczęły rozsiewać różne gorszące z tego powodu domysły.

Kilku zawziętszych kolegów, postanowiło dociec tajemnicy, zgubić



Chrystus na Krzyżu.

młodzieńca i pozbyć się niebezpiecznego współzawodnika. W tym celu, około północy zaczęli tajemniczo krążyć po mieście, w okolicy do której zwykle udawał się Adryjan. Zniechęceni i znużeni powracając z wyprawy, zatrzymali się przed kościołem św. Piotra.

— Patrzcie! patrzcie, — zawołał jeden, jeżeli mię wzrok nie myli, widzę po za kolumną pod latarnią kościelną, jakąś postać ludzką.

Postąpił naprzód na palcach, towarzysze szli za nim; przy bładem świetle latarni, ujrzeli młodzieńca pochylonego nad księgą. Twarz jego była wycieńczona, blada.

— Adryjan!... zawołali wszyscy.

On to był rzeczywiście. Przestraszony niespodziewanem najściem, zerwał się z miejsca, podniósł głowę, a na czoło wystąpił mu gwałtowny rumieniec. W krótkce, uspokoił się jednak i podszedł ku przybyłym.

— Tajemnica jest wyjaśniona, rzekł z godnością, wiecie o wszystkim. Nie mam za co kupić świecy, exa-

mina nadchodzą, od czterech miesięcy tu się do nich przygotowywam.

— Ależ zimno, możesz przypłacić to życiem. — Adryjan uśmiechnął się i podał najbliższemu stojącemu rękę.

— Czy mi jest zimno? powiedz! Jest tu coś, rzekł kładąc rękę na serce, co nie lęka się zimna i wazszych szyderstw.

Lecz nikt nie szydził. Miejsce zazdrości, zajął szacunek i uwielbienie.

Adryjan Florent, powołany później na profesora i wice kanclerza uniwersytetu, którego był ubogim studentem, został następnie nauczycielem cesarza Karola V. Po śmierci króla hiszpańskiego Ferdynanda, gdy korona przypadła na małoletniego jego ucznia, zarządzał Hiszpanią wspólnie z kardynałem Ximenes, a w końcu sam jeden wykonywał regencyę. Wyniesiony roku 1517 do godności kardynała, przez Leona X. po śmierci tego Papieża zasiadł na stolicy Apostolskiej 1522 roku, pod imieniem Adryjana VI.

Buch Hamleta.

Komedyjka w 1 akcie dla chłopczyków.

Napisał.

EMIL DERYNG.

Scena X.

Ciż i Władysław (*przebrany za ducha w zbroi.*)

KUBUŚ (*z krzykiem.*) Gwałtu! chodzi!

WŁADYSŁAW (*wchodzi powolnie, staje przed Kubusiem grozi mu palcem*

a potem wchodzi do szafy i staje spokojnie.)

ALFONS. Co wam się stało?

JAN. Czego tak się tulicie jeden do drugiego?

STEFAN (*do Kubusia*). A ty czego tak krzyknałeś?

HENRYK (*do Tadeusza.*) I ty także.
TADEUSZ. Ja... ja... bo mi się zdawało

że ptaki zerwały się z szafy i...

HENRYK (*do Kubusia.*) I tobie także
coś się zdawało?

KUBUŚ (*patrząc po wszystkich.*) Moi
dobrzy, moi kochani panicze! ja
wam powiem, że mi się nic nie
zdawało, że odtąd już mi się nic
zdawać nie będzie, tylko niech ten
panicz przebrany za Omleta wy-
lezie z szafy — bo doprawdy już
mi się w głowie zaczyna mącić.

TADEUSZ. Co ci się zdaje, tam ni-
kogo nie ma w szafie, prawda pa-
nowie? że tylko ptaki fruwały o!
jeden wleciał aż na globus.

KUBUŚ. Figlarz z panicza; (*oddając
aloes*) masz panicz na powrót swoje
ziółko Gapońskie już go więcej
nie potrzebuję, bo odtąd zawsze
będę mówił prawdę, poznałem jak
to miło człowiekowi kiedy mu
wszyscy wierzą, kiedy żyje Bogiem
a prawdą. (*do Olesia*) Paniczyka
także przepraszam że mu mojemi
głupstwami, moim brzydkim nałó-
giem strachu napędziłem, mnie
jeszcze nogi trzęsą się ze strachu
jak zobaczyłem naprawdę to, com
głupio skomponował i nie uspo-
koję się dopóki paniczyk sam nie
pójdzie do szafy i nie wyciągnie
z niej tego pana Omleta.

TADEUSZ (*do Olesia*) Cóż ty na to
Olesiu?

OLEŚ. Wielkie rzeczy, albo ja się
boję, czy ja taki tchórz! (*idzie do
szafy i prowadzi Władysława za
rękę naprzód sceny.*)

JÓZIO, ANTOŚ, GUCIO. Brawo! bra-
wo Oleś! Oleś zuch!

KUBUŚ (*placząc z rozczulenia*) O moi
kochani panicze! jakże wy jesteście
dobrzy dla biednego chłopaka (*ca-
łując Władysława w rękę*) nie chce-
cie aby mnie wypędzono za mój
brzydki nałóg i robicie wszystko
co możecie aby mnie poprawić, i
poprawię się, poprawię; jak mnie
napadnie chęćka co zmyślić, skłamać,
wykomponować to wprzód ugryzę
się w język tak mocno że aż krzy-
knę z bólu.

TADEUSZ. Oh! Wierzmy ci mój po-
czciwy Kubusiu bo kto przyznaje
się do winy tak szczerze, to pe-
wnie i chce się poprawić.

WSZYSCY. Uspokój się Kubusiu już
nie płacz.

WŁADYSŁAW. Tak nie płacz, ale jak
jesteśmy, chodźmy wszyscy do pa-
na profesora i opowiemy że teraz
już ręczymy za Kubusia.

KUBUŚ (*wesół*). Możecie panicze ręczyć
a potem będę tak gryzł język aż
mi spuchnie.

TADEUSZ. Tego nie potrzeba mój Ku-
busiu, ale weź na pamiątkę tej
chwili rycerza którego wyrysował
Władysław a ile razy zechcesz co
skłamać spojrzysz na ten rysunek
i wspomnij sobie ile by to nam
wszystkim przykrości sprawiło.

KUBUŚ. Niech żyją moi kochani pa-
nicze!

WŁADYSŁAW. Chodźmy do pana pro-
fesora zdać sprawę ze wszystkiego
co tu zaszło, ja, duch Hamleta będę
wam przewodniczył.

MYŚLI I ZDANIA.

— Najnieszcześniejszym jest ten, kto nie umie znieść nieszczęść i przeciwność losu.

— Szczęście innych niech będzie radością i pociechą twoją w nieszczęściu.

— Prędko i dobrze rzadko chodzą w parze.

— Słuchaj najwięcej, mów jak najmniej.

— Chleb jest pokarmem ciała, nauka pokarmem umysłu.

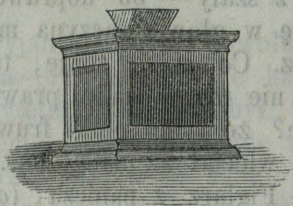
— Majątek i zdrowie temu tylko służą, kto ich nie nadużywa.

Zagadka.

Literę w literze,
Chowają pasterze.

Najtrafniejsze rozwiązanie szarady z Nr. 7., która oznacza miasto **Kartaginę** nadesłali: Józef Pok... Jania Chojcka, Eugenia Bobownikówna, Zosia Wiktorówna i Kazia w Zmienicy.

Na oświatę ludową.



Redakcja *Promyka* składa 1 złr.

OD REDAKCYI.

Z przyszłym numerem „*Promyka*” dobiegamy do końca pierwszego kwartału naszego istnienia.

Śmiało powiedzieć możemy, że wypełniliśmy wszystkie zobowiązania zawarte w programie naszego pisma, i że o ile sił nam starczyło, staraliśmy się odpowiedzieć wymaganiom naszych czytelników, tak pod względem treści jak i formy artystycznej.

Wziąwszy sobie za zadanie kształcenie młodego pokolenia, mimo wszelkich trudności z jakimi walczyć nam przychodzi, pójdziemy naprzód z tą wiarą, jaka ożywia tych, którzy obywatelskiej służą sprawie.

W następnym więc kwartale *Promyk* wychodzić będzie na tych samych co dotąd warunkach.

Z prac znaczniejszych, przygotowane mamy do druku *Powieści* Wołodego Skiby, *Franciszka* Waligórskiego, *Wincentego* Sarneckiego, *Obrazki historyczne* Kazimierza Gorskiego, *Komedyjkę* pióra Emila Derynga, *Gawędy Naukowe* Romualda Starkla i w. i. Nadto, postaraliśmy się o ilustracye do *Bajek* Ignacego Krasickiego których druk rozpoczniemy z pierwszym numerem przyszłego kwartału.

Z takim zasobem nagromadzonych artykułów, stawamy przed małymi naszymi przyjaciółmi, pewni że ich zdołamy pouczyć i zaciekawić.

Główna ekspedycja *Promyka* w księgarni **F. H. Richtera** we Lwowie i w Poznaniu. Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie krajowe i zagraniczne.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą **F. H. Richter**. Z drukarni narodowej **W. Manieckiego**.



ILLUSTROWANE CZASOPISMO DLA MŁODZIEŻY

Wychodzi co dni 10, pod kierownictwem WŁADYSŁAWA BEEZY.

Kosztuje kwartalnie 1 zł. 50 ct. — 1 tal. — z przesyłką pocztową 1 zł. 70 ct. — 1 t. 4 srg.

ŻYCIE ASTRONOMA

PRZEZ

WŁADYSŁAWA BEEŻE.

Było to już późnym zimowym wieczorem, — gdy na rynku krakowskim pojawił się ośmioletni chłopczyzna upadający ze znużenia i głodu, i trwożnymi oczyma upatrywał kogoś w pustych zaułkach ulic... Długo tak czekał i błakał się po mieście, aż wreszcie na szczęście dziecka, z ulicy Grodzkiej ukazała się jakaś postać niewieścia z latarką w ręku. Chłopczyzna plasnął w ręczęta, już miał biedz ku owej kobiecie, kiedy nagle z bojaźni czy z nieśmiałości zatrzymał się na miejscu. Spojrzała to kobieta, a widząc drżące i onieśmiałe dziecko, przystąpiła ku niemu i zapytała łagodnie:

— Co tu robisz chłopczyku?

— Ja, proszę wielmożnej pani... ja przyszedłem tu... ja przyszedłem...

I zamilkł, jak gdyby obawiał się powiedzieć więcej. Spojrzawszy nieśmiałość dziecka, dobra kobieta, pogłaskała je po głowie, ujęła za zziębnięte ręczyny i wpatrując się z rozrzewnieniem w smutną twarz chłopczyka, zapytała:

— Tyś pewnie sierotą, moje dziecko?

— Tak jest, odparł chłopiec, matka i ojciec odumarli mnie dawno, bardzo dawno... I zalał się rzewnymi łzami.

— Lecz co tu robisz?... możesz się zabłąkać po ulicach, powiedz, gdzie mieszkasz, ja cię odprowadzę. Musisz mieć pewnie opiekuna...

— Ja nie zabłąkałem się, ja tu przyszedłem dziś, od Karpat...

— Jezus, Marya! Ty, od Karpat... z tak daleka, toć mil piętnaście bez mała... Lecz że cię samego w drogę puszczono...

— Ja uciekłem proszę pani, odrzekł z determinacją chłopak, myśląc zapewne w duchu: przecież piętnaście mil odprowadzać mię nie będzie...

— Uciekłeś?... Czemuż było uciekać, od kogo?

— Od złych ludzi, odparł krótko chłopczyzna.

Zdumiona mieszcza, patrzała długo na dziecko, które ledwie wyszedłszy z niemowlęcych latek, już miało powód uskarżać się i uciekać od złych ludzi...

— Lecz biedne dziecię, cóż tu zamysłasz począć? Zginiesz z głodu i chłodu...

— Co będę robił? sam niewiem jeszcze. Ale wolę już umrzeć aniżeli wracać do domu.

— Bóg dobry, i dobrzy ludzie nie dadzą ci umierać tak wcześnie... Chodź ze mną, zawołała nagle jak gdyby jej myśl szczęśliwa przysłała do głowy, chodź ze mną, zaprowadzę cię do księdza Hieronima, opowiesz mu swoją historję, on cię przytuli i przyjmie u siebie.

Chłopczyk podał, choć nie bez pewnego niedowierzania rękę kobiecie, i dwie te postacie znikły w krótkie na skręcie ulicy sto Jańskiejskiej.

II.

Ojciec Hieronim, był to starzec pochylony brzemieniem lat sześćdziesięciu, pełen słodyczy i wyrozumie-

nia dla innych a surowy sędzia własnych postępów. Nasi znajomi zastali go przy kłęczniku z brewiarzem w rękę, odmawiającego wieczorne modlitwy. Ta postać szanowna, korząca się przed krzyżem, ta pokora chrześcijańska i podniesienie ducha malujące się na twarzy kapłana, wielkie zrobiły wrażenie na naszym Franusiu. Wszedł on, a raczej w śliznął się pocichutku za swoją opiekunką i ukląkł w progu łącząc swój paciorek z modłami służki bożego. Ksiądz Hieronim, tak był zatopiony w gorącej modlitwie że niesłyszał nawet wchodzących. Dopiero gdy wstał z kłęcznika, spostrzegł swoich gości.

— A! wszelki duch Pana Boga chwali, zawołał zdziwiony, wy tu pani Marto, o tej porze... niewiedziałem... przepraszam... tłómaczył się zakłopotany. Lecz cóż was do mnie sprowadza?..

Mieszcza opowiedziała spotkanie z chłopczykiem

— A moje dziecko, witaj mi! — I przypatrywał się chłopczyni i głaszał go po jasnej główce.

Chłopczyk ścisnął kolana księdza.

— Powiedz mi, zapytał ksiądz Hieronim co cię sprowadza... jak się nazywasz?.. Tylko mów prawdę, dodał, patrząc surowiej na chłopca.

— I czemużbym prawdy nie miał powiedzieć? odparł, przecie pan taki dobry, lepszy aniżeli tamci, pan mię bić nie będzie...

— A któż tu myśli o biciu, mój chłopczyku, mów śmiało, ja kocham dzieci.

— Nazywam się Franciszak Armiński, rozpoczął opowiadanie chłopiec Od lat pięciu straciłem już rodziców

i zostałem na łasce krewnych, którzy mnie bili... potem wygnali do czeladnicy... a wreszcie kazali być pastuchem... Pasałem bydełko, ale mię nudno jakoś było, i wziąłem się do książki. Pan Michniewski, ekonom u moich krewnych nauczył mię liter, a potem sam wyuczyłem się czytać na tym elementarzu co mi go przywiózł z jarmarku. I chłopczyk wydobyl z kieszonki podartą książczynę, jakby na świadectwo prawdziwości słów swoich.

Ksiądz Hieronim patrzył z zadziwieniem na to biedactwo, które zaledwie że odrósłszy od ziemi, już przeszło tyle bolesnych kolei. Zastanawiała go i skromność dziecka i gładkość z jaką się tłumaczył. Lecz nie dziw! dzieci wzrosłe w cierpieniu, pierwiej dojrzewają umysłem aniżeli bogatsze... Jakże często, zdarza się nieraz usłyszeć trafią uwagę, dowcipne słówko z ust małego, wiejskiego pacholecia. Ja sam, widziałem ośmioletniego druciarczyka, który z Tatr, bez przewodnika, do Warszawy przywędrował i na własne zarabiał utrzymanie.

— A masz ty ochotę dalej się uczyć? zapytał kapłan Franusia, po chwili milczenia.

— O mój dobroczyńco, o mój ojczu! wołał chłopak, toż to jest moim najgorętszem życzeniem.

— A więc, dziej się wola Boska, śnać inszą przyszłość zgotowała ci Opatrzność aniżeli los pastuszka — zostań u mnie!

Franuś rzucił się do nóg księdzu.

— Oddamy cię do szkółki, będziemy wspólnie opiekować się tobą... Nie-

prawdaż pani Marto? dodał zwracając się do kobiety.

— A jakże, a jakże, dorzuciła zagadnięta. Ksiądz kanonik dasz mu wikt i stancję — a ja wystaram się dla niego o ubranie i bieliznę...

Chłopak kolejno dziękował obojgu.

— No moje dziecię, a teraz pomódł się, i wypocznij z utrudzenia. I wskazał mu pobliski pokoi.

Franuś oddał „dobra-noc“ swoim opiekunom i udał się na spoczynek.

Długo jeszcze gawędził sędziwy kapłan z przybyłą matroną, o losie Frania aż wreszcie późna noc ich rozdzieliła.

III.

Zapewne ciekawe jesteście dowiedzieć się moje dzieci, co dalej stało się z Franusiem?

Przechodząc różne koleje, po śmierci księdza Hieronima która jakoś w rok po tym wypadku nastąpiła, czyszcząc obuwie zamożniejszym studentom i posługując u nich, Franuś każdą wolną chwilę poświęcał nauce. Z Krakowa udał się do Warszawy gdzie ukończył chlubnie szkoły a następnie wyjechał za granicę. Jego skromność wykształcenie i zadziwiająca zdolność do wyższej matematyki, zwróciły na się uwagę znakomitego francuskiego uczonego Arago. Jako pomocnik tego genialnego męża, pracował Franciszek Armiński przy obserwatorium paryskim. Szybko przechodząc szczeble godności naukowych, został w lat parę powołany na posadę dyrektora obserwatorium astronomicznego na *Isle de France*. W tym czasie, uniwersytet

warszawski ofiarował mu katedrę nauk ścisłych. Przenosząc uznanie ziomków nad obce zaszczyty, powrócił Armiński do kraju, i pracując około jego dobra lat kilkadziesiąt, zasłużył sobie na chlubną pamięć, szczególnie jako

założyciel i pierwszy dyrektor warszawskiego obserwatorium astronomicznego.

Franciszek Armiński ur. 1789 w Tymbarku w dzisiejszym powiecie Bocheńskim, umarł 1848 r.

KOGO KOCHAĆ?

Kogo masz kochać dziecino droga?
Pytasz mię, patrząc ciekawie;
Oto nasamprzód dobrego Boga,
Który cię stworzył łaskawie.

Kochaj Go w gwiazdce co z niebios świeci,
W całym tym świecie widomym;
W zielonej wiośnie, w śnieżnej zamieci,
W każdym robaczku znikomym.

Kochaj serdecznie mamę i tatka,
Najgłębszą dziecka miłością.
Oni nad tobą w dziecięce latka,
Z taką czuwali tkliwością.

Nieraz dziecino! kiedyś w niemocy,
Taka bledziutka leżała;
Przy twej kołysce przez tyle nocy,
Dobra mateczka czuwała.

O! za wylane te łzy matczyne,
Przy twej pościółce dziecięcej...
Rodzicom swoim dziecko jedyne,
Winność miłości najwięcej!

Kochaj rodzeństwo — siostry i braci,
I tych co sercu są bliżcy.
A czy ubodzy, czy to bogaci,
Wszak braćmi sobie my wszyscy.

Tego nędzarza co stoi w progu,
I tę sierotkę znędzniałą:
Kochaj miłością pierwszą po Bogu,
I braćmi nazwij ich śmiało.

Lecz nie tu koniec, kochane dziatki,
Jeszcze zostało wam jedno:
Nad miłość ojca, wdzięczność dla matki:
Kochać ojczyznę swą biedną!

O! najserdeczniej ukochaj dziecię
Tę świętą twoją spuściznę!
Bo nic droższego nie masz na świecie,
Nad Boga — braci — ojczyznę!

Wł. Betza.

U L.

Na Ukrainie, bogaty jeden dziedzic
znaczące posiadał włości; wielkie miał
dochody z licznych stad, z żywnych
obszarów; lecz nie mniejszą mu

pszczoły czyniły intratę. Chodował
je starannie a miód podbierany tak
był czysty i biały, że ze wszech stron
przyjeżdżano go kupować. Dziedzic

ten był ojcem kilkorga dzieci. Jaś, syn najstarszy, kończył już rok 12., miał serce dobre, głowę otwartą, pojęcie bystre; był zwinny zręczny, usłużny; ale za nadto żywy i nie- uważny; przyzwyczał się od dzieciń- stwa wszystkim figle płać, rozma- ite szkody wyrządzać i był doskona-

placisz ty drogo te swawole!“ Jaś jednym uchem słuchał ojca, a drugie, nadstawiał, czy mu się jaka sposo- bność zrobienia komu figla nie zda- rzy. Czynił to nie ze złego serca, bo dobrym był w gruncie; ale ze zbytnej wesołości i z tej niebezpie- cznej chętki, którą mają często dzieci,



Obsiadła go rzesza rozjątrzonych pszczoł. (Str. 70).

łym psotnikiem. Wybierał gniazda biednym ptaszkom, trząsał niedojrzałe owoce, łamał drzewa, tłukł szyby w oknach, psuł wszystko, co napo- tkał, darł i plamił suknie. Wszędzie go było pełno, każdemu dękuczył, wszystko ruszył i psuł. Nie raz mu ojciec mówił: „Ej Jasiu, Jasiu! przy-

żeby wszędzie zajrzeć, wszystko ru- szyć, do wszystkiego się wtrącić.

Każdemu wiadomo, że ze wszyst- kich miodów naszych, najpiękniejszy i najlepszy jest Lipiec; biały jak śnieg, słodki jak cukier, zapach i smak ma wyborny. Zowią go Lipcem dla tego, iż w tym miesiącu podbierany

bywa i że go szukają pszczoły na lipach, okrytych wtedy wonnym kwiatem. Jaś słyszał już nie raz o tym przedziwnym miodzie—i jeszcze w Maju pomyślał sobie: jak Lipiec nadejdzie, nie będę ja czekał, aż bartnik mego ojca miód podbierać zacznie, sam sobie poradzę! Jeszczem też nigdy ula wewnątrz nie widział, a tam ładnie być musi! Opodał od domu był wielki pszczelnik; w nim stało kilkakaset pni pszczoł. Najstarszy bartnik miał klucz od pszczelnika, parkan wysoki otaczał go w około. Jak Lipiec nadszedł, Jaś myślał długo, jakimby się sposobem dostać do pasieki? Parkan był gładki, wniknąć po nim nie można było; ale nareszcie postarał się kryjomo o drabinę. Dnia jednego wstał bardzo rano, kiedy jeszcze wszyscy spali, i z trudnością przyciągnął ją pod pasiekę; przystawił do parkanu, wszedł po niej na sam wierzch, stanął mocno i z wielką biedą udało mu się przełożyć ją na drugą stronę. Kontent, że mu wszystko szło szczęśliwie jak z płatka, zszedł po niej na dół, a gdy się ujrzał w pasiece, podskoczył z radości. Wziął rękawiczki na ręce, zarzucił chustkę na głowę; potem włożył kapelusz, ażeby się choć cokolwiek od pszczoł osłonić. Zbliża się do pierwszego ula: zalepiony! w środku tylko był mały otwór, ale dla pszczoły, nie dla niego. Nosił on zawsze przy sobie nóż spory, który mu do wszystkich szkód służył; dobył go i pótý dłuwał, majstrował, wyrzynał, próbował, póki ula nie otworzył. Śmiało wyciągnął Jaś rękę i chciał wyjąć plaster miodu. Pszczoły, które wtedy

najgorsze, kiedy się im ich ciężka praca zabiera, wysypały się pod chustkę. Chcąc się od nich uwolnić przez nieostrożność zrzucił kapelusz i chustkę, a tak całą twarz i głowę odsłonił. Obsiadła go rozjątrzona rzesza pszczoł; na próżno się oganiał, uciekał; wszędzie go ściagały, koląc żądlami w twarz, w głowę i w szyję szkodnika, tak, że naostatek ze strachu i z bólu co miał gardła krzyczeć zaczął. Usłyszał krzyk ten bartnik, który wtedy szedł do pasieki; nie chciał jednak wierzyć, żeby ten głos ztamtąd pochodził, bo nie pojmował, jakim sposobem mógł by się kto dostać do niej bez klucza. Otworzył jednak drzwi i z zdziwieniem i przestachem zobaczył Jasia leżącego na ziemi i prawie w konwulsjach z krzyku, bóleści i przestachu. Znali wszyscy domowi, jaki z niego był szkodnik; domyślił się więc bartnik, co go tam sprowadziło. Przełękniiony, widząc chłopczyne w tak okropnym stanie, porwał go co tchu na ręce, okrył połą sukmany i pobiegł do domu. Twarz Jasia tak strasznie spuchła i zaogniła się, oczy tak mu na wierzch wyszły, iż rodzony ojciec ledwie go poznał; a on ani jego napomnień i pożałowań, ani płaczu rodzeństwa i domowych słyszeć nie mógł, bo zupełnie od zmysłów odszedł. Rozebrano go najprzód, bo kilka pszczoł zakradło się aż pod suknie; powyjmowano żądła, obłożono mu twarz całą i głowę ziemią, niezmierny ból cierpiał, a przez kilka dni taką miał gorączkę, że z łóżka nie mógł się ruszyć; Kilka tygodni minęło, nim do siebie zupełnie przyszedł, a na całe życie

jedno oko zrobiło mu się od drugiego odmienne, bo powieka długo zagoić się nie chciała. Tak srogą i okropną naukę dostał Jaś; pokazał czas, że wyszła mu na dobre. Tyle wycierpiał, tak długo chorował, że po tym przy-padku odzwyczaił się zupełnie od robienia szkody; z roztrzępanego stał się uważnym, powolniejszym: słuchał ojca i starszych, nie mieszał się już

nigdy do tego, co do niego nie na-leżało, i odtąd już ani sobie, ani drugim nie czynił przykrości. Już wyrósł, a ile razy spojrzy w zwier-ciadło i zobaczy krzywe oko swoje, tyle razy dziękuje Bogu, że mu dał taką naukę i że tak szpetny nakóg, który mógł nawet zepsuć serce jego i charakter tak mały mu tylko ślad zostawił.

S A M U E L.

(Z DZIEJÓW BIBLIJNYCH).

Elkan i Anna, cnotliwi małżon-kowie w Izraelu, mieli małego syn-ka jedynaka, któremu na imie było Samuel. Było to dziecko dziwnie cnotliwe skromne i pobożne. Jakkol-wiek rodzice pieścili Samuelka i ota-czali go całą troskliwością, to go jednak nie wbiło w krnąbrność lub nieposłuszeństwo, jak to zwykle dzieje się u innych dzieci gdy je rodzice nazbyt pieszczą, ale owszem, natchnęło chłopczyka tém większą miłością sy-nowską, i wdzięcznością ku Bogu, który mu dał tak dobrych rodziców.

Widząc te cnoty w dziecku, ura-dzili rodzice, przygotować je do do-stojności kapłańskiej i dni jego pa-choleńce poświęcić Bogu.

W tym zamiarze, udali się do Silo, gdzie znajdowała się świątnica pańska wraz z arką przymierza, przy przy której arcykapłanem był Heli, sędziwy i bogobojny starzec.

Opiece jego i mądrym radom powierzono małego Samuela, a uszczę-śliwieni rodzice ze życzeniu ich za-

dość się stało, pobłogosławiwszy chłopczyka wrócili do domu.

Samuel rósł w cnotę i naukę pod światłem przewodnictwem swojego mi-strza, którego serce w krótcie poży-skał dla siebie.

Dnie całe i część nocy przepędzał chłopczyk na usługach przed ołtarzem Boga, rósł w pokorę, w rozum i do-świadczenie i coraz miłszym stawał się w obliczu Pana zastępów.

Zdarzyło się razu pewnego, że gdy snem zmorzony spoczywał u drzwi świątyni, posłyszał głos, który go nazwał po imieniu. Przekonany, że to Heli wzywa go do siebie, zerwał się i pobiegł do niego. Ale arcyka-płan kazał mu udać się na spoczynek, sądząc, że się przysłyszało chłopczynie.

Wołanie jednak powtórzyło się jeszcze dwukrotnie. I teraz, udał się Samuel do Helego z zapytaniem czego by żądał od niego? Zadumał się arcykapłan i rzekł do Samuela.

— Widocznie głos to Boga, idź i połóż się, a gdybyś usłyszał wołanie,

odrzeknij: „mów Panie! sługa Twój słucha cię!”

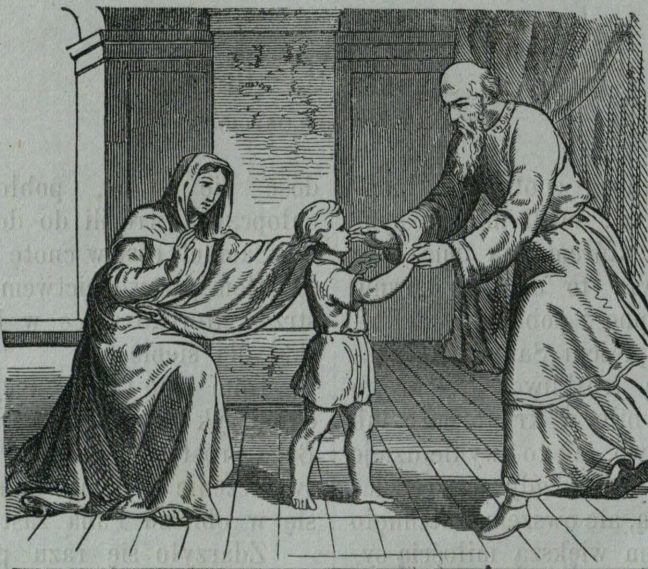
Istotnie głos się powtórzył, a gdy młody lewita z pokorą odpowiedział słowami Helego, Bóg oznajmił Samuelowi śmierć bliską Helego i wywyższenie jego.

Nazajutrz, dopytywał Heli ucznia swego o rozmowę z Panem. A gdy

mu treść jej Samuel odkrył, Heli pochylił z poddaniem się głowę, a złożwszy ręce na skroń Samuela błogosławił go i zdał w ręce jego władzę arcykapłana.

Po śmierci Helego, pierwszym kapłanem i prorokiem ludu izraelskiego obwołany został Samuel.

W. B.



Samuel.

Zagadka.

Co to za ptak wśród innych stada,
Co sam o sobie ciągle gada?

Rozwiązanie zagadki z Nr. 8.

OWCE.

Ciągle odbieramy jeszcze rozwiązania szarady z Nr. 7. i tak nadesłali: Wandzia i Zygmunt Lanc, — Michalinka Świeżawska, — Marynia Tchórzewska, — Jadwiga Romanowska i Helunia Osmolska.

Odpowiedzi redakcyi.

Maryni Tchórzewskiej. Prośbie twojej drogą dziecię! zadość uczyniliśmy.

Uczniowi z Tarnowa. Kartaginę założyła królowa fenicka Didona na VIII. wieków przed Chr. a w czasie trzeciej wojny punickiej zburzył ją Scypio zwany Afrykański r. 147 przed Chr.

Jadwidze Romanowskiej. Dla siedmioletniej Feluni zamieścimy w krótkiej szaradzie do nagrody.

Michalinco. Pierwszy odgadł szaradę Józio Pokutyński.

Koniec 1^{go} kwartału.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą F. H. RICHTER. Z drukarni narodowej W. MANIECKIEGO.



ILLUSTROWANE CZASOPISMO DLA MŁODZIEŻY

Wychodzi co dni 10, pod redakcją WŁADYSŁAWA BEEZY.

Kosztuje kwartalnie 1 zł. 50 ct. = 1 tal. — z przesyłką pocztową 1 zł. 70 ct. = 1 t. 4 srg.

PUDEŁECZKO.

POWIASTKA

przez Wołodego Skibę.

I.

Wujaszek Cyprjan powrócił nareszcie ze Lwowa. Oles i Staś już od dni kilku niecierpliwie oczekiwali jego powrotu. Bo trzeba wiedzieć, że każdy powrót wujaszka Cyprjana z podróży był dla Olesia i dla Stasia nie małą uroczystością. Wujaszek kochał dzieci swojej siostry jak swoje własne i ile razy wyjechał, a wyjeżdżał z powodu rozmaitych interesów co parę miesięcy, zawsze powracając, przywoził im najrozmaitszych podarunków co niemiara.

Wujaszek Cyprjan był bardzo sprawiedliwy, kochał obu swoich siostrzeńców zarówno, i nigdy się nie zdarzyło, żeby jednego obdarzył czem

takiem, czegoby zaraz nie dostał i drugi. Wszystkiego zawsze kupował parę; jedno dawał Stasiowi, Olesowi drugie, nigdy też sporu między nimi nie było, i obaj jednakowo kochali wujaszka.

Tym razem, było to jakoś ze szłego lata, wujaszek także po parze różnych rzeczy przywiózł swoim siostrzeńcom. Oles i Staś wiedzieli o jego przyjeździe, bo telegrafem prosił ich rodziców, żeby po niego przysłano konie na stację kolei, to też wybiegli naprzeciw niemu o jakie ćwierć mili za wieś i tam pod laskiem oczekiwali na jego przybycie. Wujaszek Cyprjan uściskał ich obu, zabrał z sobą na bryczkę, rozpytywał o wszystko co się działo w domu

podczas jego nieobecności, żartował, śmiał się, i cieszył, i tak przyjechali do dworu.

A chłopcom serca tańczyły z radości, a oczy mało im nie powyskakiwały z głowy takby radzi byli zajrzeć do waliz i tłumoków wujaszka, domyślając się i odgadując jakie też to tam dla nich jadą podarunki.

Po przywitaniu się z rodzicami, po obiedzie, po czarnej kawie i fajeczce, wreszcie po drzemce, którą zawsze w godzinie poobiedniej odbywać miał zwyczaj, wujaszek Cyprjan zawołał chłopców do swojego pokoju.

Oleś i Staś wiedzieli doskonale po co ich woła, bo to tak zwykle bywało, ile razy wujaszek ze Lwowa przyjechał. Łatwo się domyślić, że ich szukać nie było trzeba i w gnieniu oka byli w pokoju wujaszka.

Tutaj przyjemny widok uderzył ich oczy. Wujaszek Cyprjan powymawiał już przywiezione podarunki, poukładał je na stole bardzo systematycznie, tak że miło było popatrzyć. I było też czemu się przypatrywać... Były tam koniki, szabelki, biczyki, były książki z obrazkami, były trąbki, bębny i najróżniejsze różności, a wszystkiego było po dwoje. We środku tylko stało niezbyt wielkie tajemnicze pudełeczko, samo jedno.

Rozpoczęło się rozdawanie. Wujaszek Cyprjan brał po kolei różne rzeczy ze stołu i oddawał co Stasiowemu Stasiowi, a co Olesiowemu Olesiovi, powtarzając co chwila „pomaleńku, powoli,” bo nadzwyczaj lubił te dwa wyrazy, w których się ma-

lował cały jego charakter: był to człowiek, który się nigdy w życiu nie spieszył i nikomu też z niczem spieszyć się nie radził.

Chłopców korciło trochę, że się całe to rozdawanie tak „pomaleńku, powoli” odbywa, ale nic nie mówili, bo wiedzieli, że to już taka natura pocziwego wujaszka Cyprjana.

Podostawali nareszcie obaj wszystko; na stole już tylko samo pudełeczko zostało. Wujaszekowi jakoś się nie spieszyło z daniem im tego pudełeczka, stał i patrzył na nie tak, jakby się namyślał któremu ma je dać.

Chłopcy spoglądali po sobie, to rzucali okiem na wujaszka a ciekawość ich paliła dowiedzieć się co też jest w tem pudełeczku. Oprócz ciekawości inne jeszcze uczucie, brzydsze daleko od niej, odzywało się w nich po cichu. Brzydsze od ciekawości, tak jest, bo ciekawość tam tylko brzydka gdzie jest niepotrzebna, a pierwszym stopniem do piekła jest tylko wtedy, gdy kto ciekawki tego co do niego nie należy.

Uczucie to zdradziło się prędko.

— A pudełeczko dla kogo, wujaszku? — zapytali prawie razem obydwaj.

— Powoli, pomaleńku, moi chłopcy, odpowiedział wujaszek, właśnie w tem sęk, że nie wiem któremu z was je dać, a mam tylko jedno...

Mówiąc to wujaszek uśmiechał się pod wąsem i przypatrywał się Olesiovi i Stasiowi, jakby chciał wyczytać jakie też na nich słowa jego zrobią wrażenie.

— A to mnie, wujaszku, mnie, zawołali znów razem Staś i Oleś.

— Pomaleńku, powoli!... dla czegoż tobie? — rzekł zwracając się do Stasia.

— Bom starszy... ksiądz na nauce mówił, że pierworodni mają większe prawa... a pierworodny znaczy najstarszy, proszę wujaszka — odpowiedział Staś rezolutnie.

— Hm! hm!... to prawda... masz słuszość, — odpowiedział wujaszek Cyprjan.

Staś już wyciągał rękę po pudełeczko, a Olesiu aż się w oczach łzy zakręciły.

— Pomaleńku, powoli! — rzekł wujaszek Cyprjan, usuwając rękę Stasia od pudełeczka, powiedzże mi ty Olesiu, dla czego ci się zdaje, że ci dać powinien to pudełeczko?

— Bom młodszy, — odpowiedział Oleś na wpół z płaczem, — mama nieraz mówiła, że im dziecko młodsze, tem więcej potrzebuje zabawek.

— I to racja, odrzekł wujaszek Cyprjan.

Twarz Olesia wypogodziła się i z kolei wyciągnął rękę.

— Powoli, pomaleńku, zatrzymał go wujaszek, racja racji równa... widzicie, że tym sposobem teraz także nie wiem któremu dać powinienem.

Chłopcy posmutnieli obydwaj, a wujaszek pokręcił wąsa i myślał sobie:

— Hm! hm! źle... chłopcy się przyzwyczaili dostawać zabawki dla każdego osobno i tak powoli pomaleńku wyrobiła się w nich najszykaradniejsza wada, zazdrość... Trzeba tu coś na to poradzić.

Chciał się jeszcze lepiej przekonać czy jego domysł jest trafny, i rzekł do nich:

— Ot wiecie co, niech to pudełeczko nie będzie własnością żadnego z was, niech będzie i Olesia i Stasia, a jak będziecie chcieli, to się pomaleńku powoli bawić niem będziecie obydwaj.

Oleś i Staś zrobili kwaśne miny.

— Jabym wolał, żeby to było moje... rzekł jeden.

— Naturalnie, że i jabym wolał, dodał drugi.

Mówiąc to rumienili się i spuszczały oczy. Sumienie ich widać ostrzegało, że nie tak odpowiedzieć byli powinni.

— Hm! hm! mruczał wujaszek, — to źle!... Ale pomaleńku, powoli, jakoś się to wszystko pogodzi. Czy wy wiecie co jest w tem pudełeczku?...

(Ciąg dal. nast.)

ROZMOWA Z GOŁĄBKIEM.

Jedz, jedz gołąbku mały,
Z mej ręki groszek biały!

Dajże mi główką znak:

Tak, tak.

Co mam, to ci przynoszę;
No jedz, kiedy cię proszę!

Czyś głodny? daj mi znak:

Tak, tak.

Może nie lubisz groszku,
I chleba chcesz pieścioszku?

Dajże mi główką znak:

Tak, tak.

Poczekaj że mój panie,
Własne ci dam śniadanie...

Smakuje? daj mi znak:

Tak, tak.

Gruchasz, trzepoczesz w skrzydła,
Bo cię złapano w sidła..

To przykro! dajże znak:

Tak, tak.

No, czekaj że niebożę,
Ja klatkę ci otworzę;

Chcesz tego? daj mi znak:

Tak, tak.

Ja krzywdy ci nie zrobię!

No leć gołąbku sobie,

Bujaj, jak wolny ptak!

Tak, tak.

Próżno ścigam oczyma,

Frunął... i już go niema!

A to niewdzięczny ptak!

Tak, tak!

Wł. Bełza.

KSIĘŻYC I SŁOŃCE.

(Z przypowieści wschodnich.)

Długo spoczywała ziemia nasza w śnie letargicznym, żadnej trawki, żadnego drzewa i kwiecia nie było na niej, a ponura ciemność otaczała ją do koła.

Aż Przedwieczny, ulitował się jej niedoli, i razu pewnego, od tronu Stwórcy wszechstworzenia głos wyszedł: „niech dwa światła zabłyśną na firmamencie niebieskim, jako dobroczyńcy ziemi, sędziowie szybko toczących się wieków!” Rzekł i stało się.

Na lazuruwej przestrzeni nieba, zajaśniało ogniste słońce pierwsze światło, otoczone aureolą złotych promieni, niby bohater na polu zwycięstwa. I zaraz, na powierzchni ziemi, zabłysło krocie kwiatów, strzeliły smukłe palmy — a rozkute z lodowatych więzów zagrały rzeki i strumienie.

Na ten widok, zawiść zrodziła się w drugim, mniejszem świetle, w księżycu.

Za dużo, mruczał zazdrośnik, dwóch królów na jednym tronie! Dla czegoż ja mam być światłem drugiego

rzędu, dla czego słońcu a nie mnie zawdzięcza ziemia swoje wesele? To niesprawiedliwość wielka, której ja przeżyć nie zdołam!

I raptem oblicze księżycy, zaczęło szpetnieć i gasnąć. Promienie otaczające skroń jego rozprysły się na drobne kawałeczki, zasiewając cały przestwór nieba milionem białych gwiazd...

Aż raz nocą, wypłynąwszy nad ziemię przejrzał się księżyc w lustrzanej szybie jeziora. „Stwórczo mój, zadrzał, gdzież podział się blask mój świetny, gdzie podziały się te promienie co mnie otaczały?”

I zaczął płakać rzewnie...

W tem, stanął przed nim anioł, posłaniec boski i rzekł mu:

„Posłyszał Przedwieczny jęk twój i rozpacz, i dalej karać cię nie chce. Utraciłeś twój blask którym cię Stwórca przyodział, bo zazdrościłeś słońcu jego promieni; za to będziesz już nadal, tylko odbiciem jego światła. Odtąd słońce królować będzie we dnie, a ty rozjaśniać będziesz jego bładem odbłaskiem pomrokę nocy.

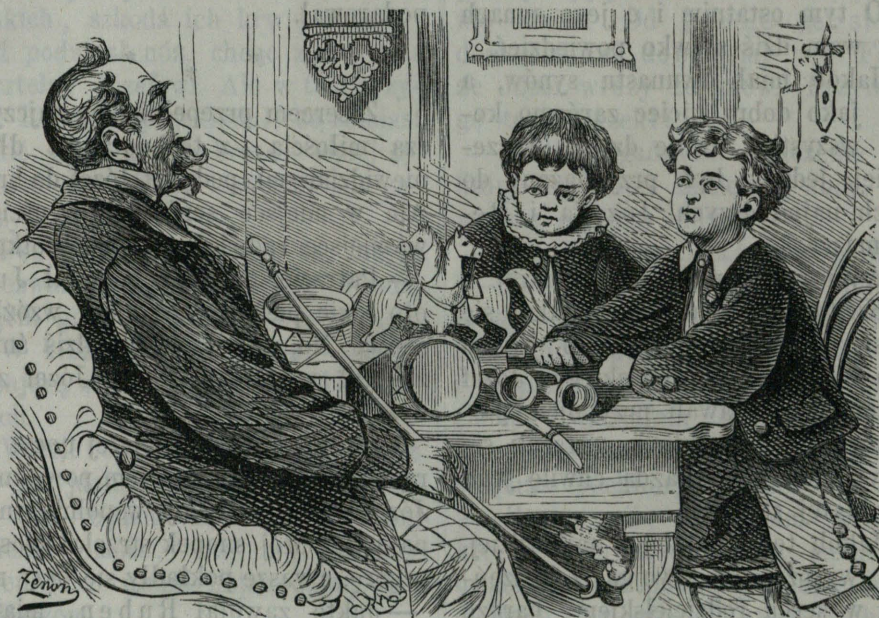
Lecz i w tém Stwórca nie chce cię zbyt karać; łyż twoje, przynoszą ziemi i kwiatom rosę, która je odżywi i podniesie w skwar słoneczny!“ Otdąd księżyc z poddaniem się wy-

pełnia wolę Przedwiecznego, lecz jako ślad dawnej zawiści pozostały dotąd na jego tarczy czarne plamy, które łatwo gołym okiem dostrzedz można.

Zazdrości, dziatki strzedz się potrzeba!

Zazdrość Aniołów strąciła z nieba!

Al. H.



We środku stało tajemnicze pudeleczko. (Str. 74.)

Młodość Józefa.

Z dziejów biblijnych.

Pięknaż to ziemia ta Chanaan! Ziemia obiecana, mlekiem i miodem płynąca! Jak daleko zasiągniesz okiem, ciągną się obszerne łąny, usłane bujną trawą, przerzniete licznymi zdrojami, które biją w cieniu palm i drzew oliwnych.

Liczne stada owiec pasą się na łąkach a ich białą i puszczytą wełnę zaledwie że widać wśród wybujałej

zieleni... Pasterze, opierając się na wysokich laskach strzegą swego dobytku i przygrywiają sobie na multitankach. I dnie im płyną za dniami, błogo, spokojnie, nie straszy ich zima bo w kraju tym wieczna panuje wiosna, nie nęka ich głód i pragnienie bo chleba i mleka mają podostatkiem.

W takim to rozkoszonym zakątku

ziemi mieszkał pierwotnie pasterski lud Izraelitów, który nie znał innych Bogów, nad Boga na niebie, a innych rządów nad patryarchalne zwierzchnictwo swojej starszyny.

Pierwszym ich patryarchą, był powołany przez Boga Abraham, drugim Izaak, a trzecim Jakób.

O tym ostatnim i o jego synach chcę wam dziś słówko powiedzieć.

Jakób miał dwunastu synów, a choć jako dobry ojciec zarówno kochał wszystkie swoje dzieci, szczególnie jednak był przywiązany do dwóch najmłodszych Józefa i Beniamina.

A! i jakże mogło być inaczej.

Kiedy inni synowie, oddalali się ze swymi trzodami, często o mil kilka od domu rodzicielskiego, Józef i Benjamin zostawali przy ojcu, pielęgnowali go troskliwie, starali się uprzyjemniać mu każdą chwilę jego zgrzybiałej starości.

Jakób też kochał ich najbardziej, a to wyróżnienie dwojga z rodzeństwa w sercu rodzicielskiem, bardzo niepodobało się starszym braciom.

— To pochlebca, mówił na Józefa, jeden.

— To gagatek ojca, szydził drugi.

— Trzeba się zemścić nad nim, pomysleli wszyscy.

O zemście nad Beniaminem, żaden z braci niemyślał jeszcze, bo było to pacholę lat siedmiu dopiero, ale przywiązanie ojca do Józefa już szesnastoletniego wyrostka, bardzo ich miłość własną dotykało.

Pewnego poranku, ojciec wezwał do siebie Józefka, a gdy ten nadzedł, rzekł mu:

— Od dni trzech bracia twoi w polu, idź weź dla nich napoju i jadła i zanieś im i ich dobytkowi błogosławieństwo moje.

Józef spełnił rozkaz ojca, a wybierając się w podróż przywdział piękną wzorzystą szatę, którą mu ojciec przed paru właśnie dniami podarował.

* * *

Z sercem przepełnionem najczystsza miłością, z tęsknotą za długo niewidzianymi, podążał Józef do braci. Ale w miejsce serdecznego uścisku, w miejsce radości, cóż go spotkało?

— Patrzcie, patrzcie! zawołał Juda oto idzie pieczoszek ojca! wzóźbita snów! No, i cóż ci się dziś śniło? zapytał szydlerczo, skoro Józef zbliżył się do niego.

— Śniło mi się dzisiejszej nocy, odrzekł zdziwiony nieco tem powitaniem Józef, że wiązaliśmy wspólnie snopy na polu. Mój snopek strzelał kłosami w górę, a wasze pokładły się przy nim.

— Jaktó zawołał Ruben, miałżebyś ty być panem naszym a my twemi służalcami? O, nie doczekasz tego!

— I tego też niepragnę, odpowiedział z pokorą Józef, ciekawi byliście snu mego więc go wam opowiedziałem.

— Nie ziści on się nigdy, odparł ponuro jeden z braci, bo oto dziś powzięliśmy zamiar pozbycia się tego, który swemi pochlebstwami wygania nas ze serca ojca. Musisz zginąć!

— Zlitujcie się! błagał składając ręce Józef, za cóż mię macie zabijać? Czyż ja wam co złego uczynilem,

czym oskarżał was przed ojcem? Owszem, zawsze za wami przemawiałem do niego i dziś oto, przynoszę wam ojcowskie błogosławieństwo i pozdrowienie!

— Dosyć, dosć tych udawań, ofuknął Józefa jeden z braci, dalej, rozdzielaj się ze swoich szat królewskich, szkoda ich krwią plamić.

I podniósł nóż, chcąc zadać cios śmiertelny Józefowi. Ale w tem przypadł Ruben, i przekładał, że zamiast plamić ręce krwią brata, lepiej go wrzucić do studni, i w niej go zamorzyć.

Podobała się uwaga ta innym i niezważając na łyzy i jęki Józefa, wtrącili go do głębokiej cysterny.

W kilka godzin potem, zoczyli zbliżającą się karawanę kupców egipskich.

— Wiecie co, zawołał Juda; cóż nam przyjdzie ze śmierci brata, ociężać ona będzie zawsze wyrzutem sumienia nasze, oto wydobędźmy go lepiej ze studni i sprzedajmy tym handlarzom.

W niespełną godzinę, po krótkim wypoczynku, wyruszyła z tego miejsca karawana, lecz jej orszak powiększył się o jednego młodzieńca: tym młodzieńcem był Józef, którego bracia za kilka srebrników zaprowadzi do niewoli.

Po powrocie do domu, opowiadali niegodziwcy ojcu, że dziki zwierz poszarpał Józefa w pustyni.

A biedny ojciec łkał i rozdarł szaty swoje na znak niezmiernej boleści.

* * *

Sprzedany w niewolę Józef, różne przechodził koleje. W końcu dostał się na dwór Faraona, króla Egiptu i zyskiwał sobie co raz to większe jego zaufanie. Zdarzyło się, że nowy pan jego, miał sen dziwny którego znaczenia, żaden z mędrców przebywających na dworze, dojść nie umiał. Od jednego ze swoich domowników, dowiedział się Farao że Józef wróży ze snów. Przywołał go tedy i rzekł:

— Jeśli odgadniesz znaczenie snu który mię trapił dzisiejszej nocy, wywyższę cię nad innych.

— W Bogu nadzieja! mów panie.

— Śniło mi się, mówił Farao, jakoby wyszło naprzód siedm krów tłustych a potem siedm chudych i i te pierwsze zostały pożarte przez chude; widziałem następnie siedm kłosów pełnych i siedm pustych, a te puste pochłonęły pełne.

— Panie mój, te siedm krów i kłosów pełnych oznaczają siedm lat urodzaju, lecz potem przyjdzie siedm ciężkich lat głodu, które pochłoną zbiory z lat urodzajnych. Każ więc wszędzie budować szpichlerze, aby się zabezpieczyć na złą chwilę.

Farao poszedł za radą Józefa, a stało się tak jak on przepowiedział.

Skoro nadeszły lata nieurodzaju, głód opanował i ziemię Chanaan. Słyszeli Izraelici o bogatych szpichlerzach i nagromadzonych zasobach ziarna w Egipcie, a Jakób, wysłał synów swoich by zakupili zboża, bo chleba już zabrakło.

Wybrali się w podróż synowie patriarchy, a skoro przybyli na miej-

sce, przyprowadzono ich przed oblicze rządcy Faraonowego. I któż wypowie ich zadziwienie, gdy w tym człowieku, wzgardzonym i zaprzędanym przez nich w haniebną niewolę, a dziś stojącym u szczytu władzy, poznali brata swego, Józefa...

Rzucili się do nóg jego, prosząc

o przebaczenie i litość.

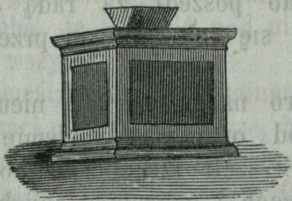
Lecz Józef mścić się nie umiał. Przebaczył braciom i sprowadził ich wraz z sędziwym ojcem na dwór swój, gdzie ich troskliwą otaczał opieką.

Tak to, moje dzieci, złe dobrem płacić należy. W. B.



Za kilka srebrników zaprzędano go w niewolę. (Str. 79.)

Na oświatę ludową.



Nadesłali: Eugeniusz i Anulka Dworscy 40 ent., Wandzia Kozicka z Kolendzian 1 zlr., Hela i Zdzisio Dziubińscy 1 zlr., Jadwiga Starzyńska z Derewni 1 zlr., Dziodzio, Mino, Wincia i Lunio Bogdanowiczowie 2 zlr., Kazia Kozłowska z Miennicy 1 zlr., razem z poprzedniami 7 zlr. 40 ent. w. a.

Zagadka

(do nagrody).

W trzech literach, choć różnych lecz jednego brzmienia,
Mieści się rzeka, drzewo i władca stworzenia.

Za rozwiązanie tej zagadki, redakcyja przeznaczaja dwie nagrody, dla miejscowych i zamiejscowych prenumeratorów „Promyka” — Abecadlnik w wierszykach.

Znaczenie zagadki z Nr. 9.

KUKUŁKA.



ILLUSTROWANE CZASOPISMO DLA MŁODZIEŻY

Wychodzi co dni 10, pod redakcją WŁADYSŁAWA BEEZY.

Kosztuje kwartalnie 1 zł. 50 ct. — 1 tal. — z przesyłką pocztową 1 zł. 70 ct. — 1 t. 4 srg.

PUDEŁECZKO.

POWIASTKA

przez Wołodego Skibę.

— Nie wiemy.

— No, to ja wam powiem, tylko pozwoli, pomaleńku. Jest tu coś takiego, co się niegrzecznym dzieciom daje za karę, ot tak na przykład jak ośła czapka w szkole. Komuż mam to dać?

Staś i Oleś zarumienili się jeszcze bardziej i milczeli. Wujaszek powtórzył zapytanie.

— Naturalnie Olesiowi — odpowiedział Staś nieśmiało — bo mi zazdrościł pudełeczka, chociaż wie żem przecież starszy.

— Właśnie — przerwał Oleś z kwaśną miną — właśnie Stasiowi, bo mi zazdrościł, chociażem młodszy.

— I znów słuszność macie obydwaj — uśmiechnął się wujaszek — weźcież

sobie tę ośłą czapkę i ubierajcie się w nią po kolei.

Żaden nie wyciągnął ręki, stali powarzeni ze spuszczonei oczyma, jak się to jeszcze nigdy nie trafiło w dniu przyjazdu wujaszka Cyprjana ze Lwowa.

A wujaszek trzymał pudełeczko, i podawał to jednemu to drugiemu, przygryzając sobie wargi.

Nareszcie twarz Olesia zaczęła się krzywić, krzywić coraz bardziej, z dużych niebieskich jego oczu popłynęły łzy. Staś zawtórował mu szlochaniem.

Obaj jednakże jakby nie wiedzieli o swoim płaczu, bo Oleś powiedział:

— Stasiowi, bo się maze...

A Staś zanosząc się prawie od łez, mówił:

— Ole... Olesiowi, bo be... bo beczy.

Wujaszek Cyprjan pomyślał znowu: — Hm! źle, bardzo źle... gorzej niż myślałem... brzydka wada, szkaradna wada... ale powoli, pomaleńku trzeba będzie na to poradzić.

I odezwał się do siostrzeńców:

— Ej! ej! chłopaki moje, nie macie czego płakać... ja tylko tak pomaleńku, powoli zażartowałem sobie z was... gdzieżby wam ośłą czapkę przywoził ze Lwowa?... nibyto niegrzeczni jesteście?...

— Ja nie, tylko Staś... rzekł Oleś.

— Ja nie, tylko Oleś... zapierał się i oskarżał brata Staś.

Wujaszek Cyprjan był łagodny bardzo, zgromił ich jednak za to oskarżanie się wzajemne. Dwaj bracia zawstydzili się raz jeszcze i byłoby znowu przyszło do płaczu, ale wujaszek się odezwał:

— Wolałbym żebyście się zgodzili, żeby to pudełeczko było wam wspólne, ale kiedy nie chcecie, to powoli, pomaleńku i na to znajdzie się sposób. Przywiozłem dla was z miasta po dwanaście moreli, u nas tu na wsi nie ma ani jednej. Weźcie je i idźcie się bawić. Który z was nie zje tych morel i jutro rano, jak się obudzę, do łóżka mi je wszystkie przyniesie, ten dostanie pudełeczko. Czy zgoda?..

— Zgoda! zgoda! wujaszku! — zawołali Staś i Oleś rozweseleni i ucałowawszy wujaszka wyszli z jego pokoju.

II.

Myślałby kto, że Staś i Oleś doskonale się bawili tego dnia, mając tyle świeżych zabawek. Gdzietam! Nie zdarzyło się jeszcze nigdy, żeby w dniu powrotu wujaszka Cyprjana ze Lwowa tak mało było wesołości w Książkowieckim dworze — bo nie powiedzieliśmy dotąd, że wieś państwa Wróżnickich, rodziców Stasia i Olesia nazywała się Książkowce. Koniki, szabelki, bębenki, trąbki, biczyki nie bawiły dwóch braci, obrazki ich nie zajmowały, obaj czuli tylko nadzwyczajny apetyt na morele. Ślinka im szła do ust na ten smaczny owoc, którego od zeszłej jesieni nie kosztowali, każdy radby oddał z ochotą nie jedną ze swych zabawek, gdyby mógł chociaż jednej skosztować; obaj mieli po całym tuzinie, a żaden żadnej ruszyć nie śmiał. Pudełeczko stało im ciągle przed oczyma i nie ustępowało ani na chwilę z ich pamięci. Nie wiedzieli co było w tym pudełeczku, ale mogły być przecież rzeczy smaczniejsze jeszcze niż morele!... Zatapiali się w domysłach co tam być mogło, na żaden sposób jednak nie mogli wpaść na domysł, któryby im samym mógł się wydać prawdziwym. A morele wabiły ich do siebie, zdawały się namawiać, żeby je położyć na języku i przycisnąć podniebieniem... chociaż ze dwie, chociaż jedną... Daremnie!.. trzeba było czekać do jutra, a jutro było tak daleko!...

(Ciąg d. nast.)

LISTY DO MŁODYCH PRZYJACIÓŁ

I.

DO JANUSZKA G.

Mój najdroższy Januszkule!

Dzisiaj uczysz się już czytać i pisać, lubisz naukę jak słyszę, i pilnym a gorliwym jesteś uczniem. Napisałeś liścik malutki do mnie i ucieszyłeś się, gdy Tobie nań odpowiedziałam.

Z zamiłowaniem czytujesz Przyjaciela dzieci pana Chociszewskiego i Promyk Twojego przyjaciela dobrego, pana Władysława Bełzy, z czego cieszę się prawdziwie. Ucz się więc i nadal tak pilnie, moje złote chłopię, kochaj opowiadania polskie i język polski — bo to jest dzisiaj prawie jedyna spuścizna, która nam z naszych narodowych pozostała bogactw. Język, mój Januszkule, to część Ojczyzny naszej, to jakby drugi ojciec i matka druga, jakby urodzony z nami i wzrosły nam w duszę, a kto swojego nie miłuje języka, ten i nie wart nim mówić. Że zaś język rodzimy, jak gdyby w naszą był wcielony istotę, poświadcza duch jego, który my sami tylko rozumiemy jedynie. Opowiem Ci drobny przykład, na tem twierdzeniu oparty, z chwili, gdy zaledwo dwa lata liczyłeś.

Niańka Twoja przychodziła z Tobą często do mojego pokoju, a ja zwykle zatrzymywałam Ciebie i dla zabawy Twojej, pokazywałam Tobie różne, przeróżne obrazki. Ty je polubiłeś od razu, a co więcej, dzieciną, młodziutką wyobraźnią począ-

łeś ich znaczenie rozumieć. Żądałeś, by ci tłómaczyć, na co patrzyłeś, wołając zaraz przy każdym przestanku: „Opowiadaj! Opowiadaj!”

Na jednym z obrazków, które przekładałam Ci z kolei, jeden po drugim, byli płatnerze, kujący zbroje młotami dużymi.

— Co to lobią? — pytałeś ciekawo — opowiadaj! opowiadaj!

— Oni kują — odpowiedziałam — kują żelazo, robią pałasze, siekiery...

Ty popatrzyłeś, przytrzymując obrazek rączką, i zamyśliłeś się niby.

Nazajutrz niańka znowu przysłała z Tobą. Uścisnęłam moje złote chłopię, i wzięłam Ciebie na kolana.

— Oblazki! Oblazki! zawołałeś niebawem — opowiadaj! opowiadaj!

Rozłożyłam zatem na biurku wczorajsze obrazki i poczęliśmy je przeglądać. Gdy powyżej wspomnianą rozłożyła rycinę, zadrzałeś z lekka, odwróciłeś się i poszepnąłeś:

— Janusiet boi się.

— Czegoż się boisz? przycisnęłam Cię do siebie.

— Tego kujania!

Zatem instynktowo stworzyłeś sobie ten wyraz: kujanie od kują. Dziecię dwuletnie! — To czyliż i nie zaprawdę język rodzimy, dany nam od Boga, rodzi się z nami? Uczułeś potrzebę powyższego wyrazu, a jam zdumiała — i podziwiam dotąd ono kujanie.

Raz więc jeszcze powtórzę: kochaj ten dar boży, wykształcaj się w nim, o ile potrafisz, a pójdziesz za świętą wolą Boga, uczcisz drogą po ojcach spuściznę i miłości swojego kraju dowiedziesz.

Piśmiennictwo nasze jest bogate, piękne, a co więcej: zaczął niesie naukę. Ucz się dziejów Polski u historyków naszych; prawdy od naszych

myślicieli; a wieszczowie nasi niechaj ducha swojego tchną w Ciebie.

Módl się po polsku!

Czytaj polskie książki, — i polskie śpiewaj piosenki!

Kochaj braci tym mówiących językiem — i kochaj lud pocziwy, który innym nie mówi.

Bóg z Tobą, moje złote chłopię!

PAULINA WILKOŃSKA.

Rzetelność Piotrusia.

Pewien wieśniak imieniem Jan, nie mogąc się wywiązać z małego długu pieniężnego, zaciągniętego u sąsiada, oddał mu na pokrycie tej należności kilka swych kur. Ponieważ nie trzymano ich pod zamknięciem, a niosły wówczas jaja, wróciły więc do Jana i złożyły jaja w dawnym swym kojcu. Synek Jana siedmioletni Piotruś znajdował się właśnie sam jeden w chacie. Usłyszawszy gdakanie kur zajrzał do kojca i znalazł kury, oraz świeżo zniesione jaja. „A to zabawne zawołał, kury przyniosły nam podarunek, dopieroż to się ucieszy matka jak zobaczy jajka — wyrzekała wczoraj cały wieczór, że jej zabierają kury wówczas właśnie, gdy niosą. No, trzeba zbiegów odnieść do sąsiada; jajka ugotujemy i będziemy mieli przynajmniej raz jeszcze jajecznice.“ Po chwili jednak namysł dodał: „Ale mi się zdaje że ponieważ biedne kurki są

już własnością sąsiada, do niego też należą i jaja które one znoszą. Mówiono mi w szkole: znaną własność oddaj natychmiast jeżeli znasz jej właściciela. Nie ma co mówić, jaja należą się sąsiadom!“ Zabrał więc kury i jajka i pobiegł do sąsiada.

— Odnoszę wam kury i jaja, które zniosły w naszym kojcu.

— A któż cię to przysyła? zapytał sąsiad.

— Nikt.

— Jakto, nikt ci nie mówił żebyś mi odniósł jaja?

— Powiadam wam że nikt. Ojciec i matka są w polu, wiem że gdyby byli w domu, pewnieby kazali mi zrobić toż samo.

— Dla czegoż nie czekałeś ich powrotu?

— Przyjdą do chaty dopiero na południe, nie śmiałem tak długo przetrzymywać cudzej własności.



ZAJĄCZEK.

Już pora miła,
Wiosny wschodziła,
Młode gałązki,
Szły na zawiązki;
Trawki bujały.
Zajączek mały,
Cieszył się wiosną:

Mruczał jednak na trawki, że tak prędko rosną!

Bo dla takiej odmiany,
I widzieć nie mógł i nie był widziany.
Gdy je więc wydeptywał po łące igrając,
Rzekł stary zając:

„Zetną trawki, ty wzrośniesz i gdy czas się zmieni,
Na, to co w wiosnie pragniesz, zapłaczesz w jesieni.“

IGNACY KRASICKI.

NIESPODZIANKA

KOMEDYJKA W 1 AKCIE DLA DZIECI

NAPISZE

EMIL DERYNG.

OSOBY.

Pani Dobrzyńska

Aniela	} jej córki.
Ludwika	
Jadwiga	
Adam	} synowie.
Juljan	

Kasia (*dziewczynka wiejska do usług*).

Wawrzyniec (*strzelec*).

Rzecz dzieje się w mieszkaniu pani Dobrzyńskiej na wsi.

Scena I.

(*Obszerny pokój, stoliki, krzesła, krosienka, sztalugi, na nich krajobraz, okno z balkonem, drzwi środkowe, drzwi z boku i z prawej strony.*)

Strona lewa i prawa uważa się od aktorów.)

Aniela, Ludwika, Jadwiga, Kasia.

KASIA (*mazurując*). A to proszę panienek, w głowie człowiekowi się przekręci, ja nie spamiętam wszystkiego.

WSZYSTKIE. Mówiłam ci przecie!

KASIA. Ale niech panienki mówią każda z osobna.

ANIELA. Słuchaj że...

LUDWIKA. Mówiłam ci...

JADWIGA. Dajcie spokój, niech na-przód wykona moje zlecenie.

ANIELA (*z gniewem*). Dobrze, dobrze, bardzo dobrze, ale nie moja wina

jeżeli w sali wszystko mama zastanie przewrócone do góry nogami.

LUDWIKA. Gorzej, jak nikt nie powita, nawet ze służby nikogo w domu nie zastanie!

JADWIGA. A podobno będzie najgorzej jak i mama i goście zaproszeni pozostaną głodni aż do obiadu, dla tego Kasiu biegnij czym prędzej do kuchni i powiedz kucharzowi aby wszystko co potrzeba do śniadania...

ANIELA. Ach! mój Boże — pierwszej wyszukaj Walentego — niech czym prędzej pozaciąga firanki.

LUDWIKA. To zrobi Antoni, Józef, ktokolwiek wreszcie. Walenty pojechał po muzykę.

ANIELA. Doskonale! On jeden mógłby tylko tak prędko pozawieszać firanki, cóż pocznę nieszczęśliwa? (*odbiega do gabinetu na drugą stronę.*)

JADWIGA (*do Kasi*). I czego stoisz z założonemi rękami, już pójde sama do kuchni, ty przynajmniej pobiegnij do gosposi, aby już wszystko zносиła do stołowego pokoju. (*odbiega środkowemi drzwiami.*)

LUDWIKA (*tupiąc nóżką*). Ach! ten niegodziwy Julek! ten mazgaj Adaś ani ich widać, niedopomagają nam

w niczem; wiem co zrobię, wsiadę w pierwszy lepszy wózek i sprowadzę kogo nam brakuje. (*wybiega głębią.*)

Scena II.

KASIA (*sama*) Otóż macie! znowu nie wiem co robić? Nie, z panienkami mojemi dziś nie wytrzymam... Czy oni myślą że pani o niczem nie wie, niczego się nie domyśla, a przecież... a może... bo kiedy dzisiaj ani żywa dusza nie powinszowała, to może myśli że to nie są jej imieniny.

ANIELA (*za sceną.*) Kasiu! Kasiu!

KASIA (*biegnąc na prawo.*) Biegnę! leczę!

JADWIGA (*za sceną.*) Kasiu!

KASIA (*zwraca się do drzwi środkowych.*) Idę!

LUDWIKA (*za oknem.*) Kasiu!

KASIA (*biegnąc do okna.*) A co panienka chce?

LUDWIKA (*za oknem.*) Jada! już jada! powiedz Anielce że już jada.

KASIA (*klasnąwszy w ręce.*) Oh! dla Boga reta! już jada! (*biegnie do drzwi na prawo*) panienko już jada.

ANIELA (*w gabinecie.*) Jada? ale kto, czy mama?

KASIA (*biegnie do okna.*) Panienczko! czy to pani jedzie?

LUDWIKA (*za sceną.*) Nie, to goście zaproszeni.

KASIA (*biegnie do drzwi prawych.*) Nie, to goście zaproszeni.

ANIELA (*w gabinecie.*) A niech sobie jada, to należy do Ludwisi!

KASIA (*wraca na środek sceny.*) Ha, kiedy to należy do panny Ludwisi to ja mogę sobie odpocząć (*siada*) zmęczyłam się okropnie (*naśladując panny*) Kasiu tu! Kasiu tam! a ja ani tu ani tam, tylko sobie usiadłam i siedzę. Hi! hi! hi! to tak dobrze siedzieć i nic nie robić; żebym była panią to siedziałabym tylko na kanapie i ciągle piła kawę z kożuszkiem i ze sucharkami.

Scena III.

Kasia, Wawrzyniec.

WAWRZYNIEC (*wnosząc girlandy i małą lampkę.*) A gdzie panny?

KASIA. Jedna tu, druga tam, trzecia owdzie.

WAWRZYNIEC. A ty tu sobie siedzisz i nic nie robisz? oj dziewczyno z ciebie straszny próżniak — a pabcza tu niema.

KASIA. Którego?

WAWRZYNIEC. A wstańże leniuchu kiedy starszy do ciebie mówi. (*Kasia wstaje*) Ja pytam się o pana Adama?

KASIA. My jego na oczy nie widziały, ot, jak zawsze poszedł się włóczyć, nawet może nie przyjdzie jak pani przyjedzie.

WAWRZYNIEC (*przedrzezniając ją*). Doprawdy? jaka mi domyślna... Na, zanieś te liście pannie Anieli, bo to ona podobno będzie ich potrzebować i powiedz że panicz mówi, że niemi słup ma być okręcony przed portretem, a na tym słupie postawić tę tam paczkę nalaną spirytusem.

(Ciąg dal. nastąpi.)

PIEŚŃ NAD KOŁYSKĄ.

Zmróz oczęta, zmróż!
Jasną główkę złóż,
Na sen matka nuci śpiew,
Zdala słyhać szelest drzew...
Gwiazdki błyszczą, słowik kwili,
Kwiatek barwną główkę chyli,
Ciebie strzeże Anioł stróż!
Zmróz oczęta, zmróż!

Spij, do koła cień,
Znikł za chmurą dzień,
Oj, śnieg padał, wicher dał,
Szczęk na dworze... brat twój drgnął!

Wpadli, pędzą konie chyże...
Brat twój zginął na Sybirze!
Bez matczynych skołał tchnień!
Spij do koła cień.

Miej o szczęściu sny!
Matka słumi łyzy,
Na cmentarzu jękiem dzwon,
Przypomina ojca skon...
A z pod śniegów i zamieci,
Duch starszego brata leci,
I w niebiańskie zdąża mgły:
Miej o szczęściu sny!

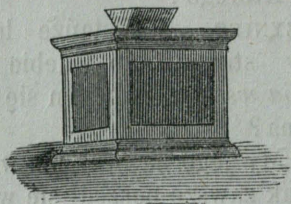
KAROL PIEŃKOWSKI.

MYŚLI I ZDANIA.

— Przebaczaj wszystkim, wyjąwszy siebie.
— Niech twe usta będą więzieniem języka.

— Jeśli ci kto dobrze zrobił oddaj wet za wet, — jeśli cię pokrzywdził, — przebacz!
— Nie ciesz się jutrem, nie wiesz bowiem co ci przyniesie.

Na oświatę ludową.



Nadesłali: J. J. M. w P. w Wielkopolsce 16 sr. gr., Antoś Siemaszko 6 ct., Jania i Dziunia Chojeckie 1 zlr., Romcio Kwoczyński 50 ct., Malwina i Bronia Ederówny 1 zlr., Eugenia Bobownikówna 1 zlr., razem z poprzednimi 10 zlr. 96 ct. i 16 sr. gr.

Szara da.

Pierwsza — we Włoskiej krainie,
Płynie...
Druga — tajemnic strzeże,
Na papierze...
Wszystko dziatwo,
Zgadnąć łatwo!

Znaczenie zagadki z Nr. 10.

Bóg, — **Bug** (rzeka), — **Buk** (drzewo).

Z miejscowych prenumeratorów „Promyka” pierwszy nadesłał rozwiązanie Antoś Hol-lauer, z zamiejscowych Jania Chojecka z Zarzeczca.

OD REDAKCYI.

Komplety „Promyka” za ubiegły kwartał, zbroszurowane, są do nabycia u F. H. Richtera i we wszystkich księgarniach po cenie prenumeracyjnej.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą F. H. RICHTER. Z drukarni narodowej W. MANIECKIEGO.



ILLUSTROWANE CZASOPISMO DLA MŁODZIEŻY

Wychodzi co dni 10, pod redakcyą WEADYSŁAWA BEEZY.

Kosztuje kwartalnie 1 zł. 50 ct. = 1 tal. — z przesyłką pocztową 1 zł. 70 ct. = 1 t. 4 srg.

PUDEŁECZKO.

POWIASTKA

przez Wołodego Skibę.

Nwiesoło przeszedł im wieczór, smutniejsza noc ich czekała, kładąc się spać, jeden i drugi wiedział, że brat ma wszystkie dwanaście moreli. Jakież będzie tego następstwo? Oto nazajutrz rano obaj jak się pobudzą, pójdą do wujaszka Cyprjana z morelami, wujaszek powoli, pomaleńku policzy że każdy ma dwanaście i znowu nie będzie wiedział komu ma dać to utrapione, tajemnicze pudełeczko — i powoli, pomaleńku znowu wymyśli jaką próbę, jaką męczarnię, jakie tortury!

I co tu było począć na takie nieszczęście?

Medytowali nad tem obaj, a kiedy człowiek, choćby taki mały

jak Staś i Oleś, bardzo czem sobie głowę zaprzątnie, to już darmo... o śnie ani myśleć!... Bezsenność, to jeszcze okropniejsza tortura jak apetyt na morele. Dwaj bracia przewracali się w łódeczkach, zamykali oczy gwałtem, wszystko to się na nic nie zdało. W myśli obydwóch ciągle stało pytanie:

— Co tu na to począć?

Jak człowiek, choćby taki mały jak Staś i Oleś bardzo nad czem myśli, to nie tylko spać nie może ale zawsze coś wymyśli, jeżeli tylko coś wymyślić podobna. To co wymyśli może być jednak dobre albo złe, uczciwe albo nieuczciwe. Dobrem i uczciwem bywa wtenczas, kiedy sam zamiar którego chce dopiąć jest ucz-

ciwy i dobry. Zamiar Stasia i Olesia nie był bardzo chwalebny; każdy z nich myślał tylko o tem, jakby tu dostać pudełeczko, to jest jakby to zrobić, żeby się ono czasem bratu jego nie dostało. Powodowała niemi brzydka zazdrość, więc też nie dziwota, że coś bardzo, bardzo brzydkiego wymyślili.

— Doskonale! pudełeczko będzie moje... a przytem... — pomyślał Staś i nawet w myśli nie domówił co miało być przytem, bo się tego pomimo ciemności nocnej rumienił.

Prawie tak samo co do słowa myślał Oleś.

Pewność zwycięstwa powróciła sen na znużone bezsennością powieki obaj usnęli, spali jednakże niespokojnie i budzili się dosyć często.

Gdy dzień zaczął świtać, Staś obudził się pierwszy, wstał cichutko, poszedł do łóżka Olesia, przekonał się że spi, skradł się potem na palcach do jego moreli, wziął z nich dwie, zjadł szybko, powrócił znów na posłanie i w kilka minut spał, marząc zapewne o tajemniczem wnętrzu pudełeczka.

W kwadrans może potem, obudził się Oleś. Dzień już był prawie zupełny. Przetarł oczy, przyjrzał się Stasiowi, potem cichaczem zabrał się do jego moreli i także dwie spałaszowawszy, napowrót do łóżka powrócił, mówiąc do siebie:

— Zobaczmy teraz czyje będzie pudełeczko.

Mało spali obaj przez noc, nie więc dziwnego że z rana zasnęli twardo, aż ich o wpół do ósmej służący musiał obudzić.

O wpół do ósmej wujaszek Cyprjan już nigdy nie spał, ubrali się tedy bardzo prędko i nie licząc swoich moreli, pobiegli do jego pokoju.

Obaj mieli miny tryumfujące.

— Mnie ani jednej nie brakuje wujaszku, — wołał Staś, — oto są, proszę o pudełeczko.

Oleś stał na boku, milcząc.

— Powoli, pomaleńku, — rzekł wujaszek Cyprjan, — daj, niech policzę.

Rachunek naturalnie pokazał, że brakuje dwóch sztuk.

Staś się zmieszał, nie pojmując co się stać mogło. Oczy Olesia pałały radością.

— No, a ty Olesiu, pokaż powoli, pomaleńku, czy masz wszystkie?...

— Nie brakuje mi ani jednej, odpowiedział chłopiec śmiało.

— Dobrze, dobrze... pomaleńku, powoli, policzymy.

I znów wujaszek Cyprjan zaczął rachować i znów wypadło tylko dziesięć.

Oleś osłupiał.

— Otóż powoli, pomaleńku, wydało się, żeście zjedli po dwie... nie spodziewałem się, żeście tacy łakomi... no, ale kiedy tak, to pomaleńku, powoli możecie zjeść resztę... pudełeczka żaden z was nie dostanie... Odeślę je napowrót do Lwowa, bo dla niegrzecznych, łakomych i zazdrośnych chłopców nie warto go było kupować.

Czyż trzeba mówić, że płacz był odpowiedzią na surowe ale tak sprawiedliwe słowa wujaszka Cyprjana?... Staś i Oleś uwiesili się u jego rąk, zaczęli przeproszać, zaklinać, żeby

nie odsyłał pudełeczka; obiecywali że się poprawią, a nareszcie zaproponowali, żeby im jeszcze zadał co do robienia, a oni już z pewnością dotrzymają warunku.

— No, to słuchajcie, — rzekł wuja-

szek Cyprjan — żeby was nie mordować długo, zrobię tak. Każdy z was ma dziesięć moreli, pudełeczko oddam temu, który dwie swoje morele powoli, pomaleńku da drugiemu, żeby choć u jednego było dwanaście.

(Ciąg dal. nast.)

Koncert nocny w naturze.

Mrok zapadł... Młody Dawid usiadł wśród niw Betleemskich, i chciał zaśpiewać Panu hymn pochwalny; lecz oto, rozwarły się zmysły jego na dźwięk nocnej kapeli. Niebiosa głosiły cześć Pana, a wszystkie gwiazdy wtórowały im w chórze. Ziemia brzmiała czystym dźwiękiem cichej, wzniosłej pieśni!

Zachodzące słońce, rzucając ostatni blask światła na ziemię, śpiewało: „Światłość obliczem Jehowy“ a wschodząca zorza odpowiadała mu: „ja rąbkem szaty Jego.“

Ciągnące z daleka obłoki i piętrzące się wśród nieba chmury wtórowały: „namiotem jesteśmy dla Pana a głos Jehowy słyszać w naszym gromie.“

Wiatr szeptał „Duch Pański, na moich skrzydłach ulata“ a powietrze mówiło „jam jest technieniem bożem, które ożywia ludzi.“

„Słyszę pieśń pochwalną, zajękła ziemia a jam milcząca i głucha?“ Lecz spadająca rosa w smutku ją pociesza: „ja cię pokrzepię, rzecze, by się twe dzieci rozradowały i zakwitły kwiaty na twych łąkach.“

„My bujnie kwitniemy“ wesoło

gwarzyły kwiaty; a uginające się pod ciężarem ziarna faliste kłosa, mówiły: „my jesteśmy błogosławieństwem bożem, i osłoda ludzkiej niedoli.“

„Błogosławieństwo wam“ rzekł księżyc, „błogosławimy was z góry“ dorzuciły gwiazdy.

Konik polny świergotał: „Bóg pobłogosławił i mnie kropelką rosy.“

— „I ugasił moje pragnienie“ łania odparła.

— „Bóg żywi nas“ zaśpiewały ptaszki w gaju i zagruchały gołębie współsenne.

— „Ja ludziom pokój niosę“ noc się odezwała...

W tem zapał kur poranny: otwierajcie bramy, nadciąga król chwały! Wstawajcie ludzie, i chwalcie moc Pana; słońce już wschodzi na niebie.“

Ocknął się Dawid i rzekł: czemuż jest pieśń moja w obec dźwięków całej przyrody? Wszystko stworzenie chwali Pana!

Odtąd przez całe życie brzmiały w duszy jego te harmonijne tony natury, a on je przelewał co dzień na harfę swoją.

AL. H.

GAWĘDA O GWIAZDCE.

Widzisz to niebo, kochana dziatwo!
Gdzie srebrne gwiazdki migocą,
A które myśląc że to tak łatwo,
Zliczyć kusiłaś się nocą.

A gdyś poznała że wzrok nie może
Objąć ich w żadnym sposobie;
Myślałaś, że je zliczysz w jeziorze,
Co odbijało je w sobie.

Ale w ich roju, pełen zdumienia
Wzrok się twój błakał i korzył,
I Temu niosłaś hymn uwielbienia,
Kto je policzył i stworzył.

Główka niezwykłą zajęta pracą,
W której się myśli gubily,
Dumała nieraz: — „Gwiazd tyle! na co?
Czy po to, by nam świeciły?

Czy Pan Bóg na to, w niebios oddali,
Mlecznym je rozlał ruczajem:
Aby się ludzie im przyglądali,
A one ludziom nawzajem?”

Może!... Bo wszakże dziatwie mej milój,
Dotąd w pamięci zostanie,
Jakie to o nich cuda prawily,
Stare klucznice i nianie.

Pomnisz o dziatwo! te długie noce,
Gdy wzrok twój gwiazdy przezierał,
Myśląc, że lży tak błyszczą sieroce,
Które Bóg z ziemi pozbierał.

I tak słuchają, o! moj mili!

O naszej ziemi ciekawie, —
Jak ty mię dziatwo słuchasz w tej chwili,
Kiedy o gwiazdkach ci prawię.

Podrósłszy nieco, pytałaś taty
Znów, o te gwiazdki złociste,
A tatko odrzekł że to są światy,
Jak księżyc, słońce ogniste...

I nowa bieda!... „Jakim sposobem?“
Sama pytałaś u siebie...
Boś tylko z ziemskim znała się globem,
Obcym ci świat był na niebie.

A jednak dziatwo! tak jest w istocie,
Choć cię myśl o tem przestrasza;
Ten błady księżyc i gwiazd tych krocie,
To wszystko ziemie jak nasza.

Jakże by człowiek był próżny, mały,
Gdyby przypuszczał choć chwilę,
Że li dla niego ten świat wspaniały,
I gwiazdek stworzył Bóg tyle...

A każda gwiazda, o! to świat wielki,
I trudno zliczyć ich końca...
Choć błyszczą niby rosy kropelki,
Są gwiazdy większe od słońca!

Nieprawdaż, że to na baśń zarywa,
Którą rój nianiek układał?
A przecież w słowach tych prawda żywa,
Której się rozum dobała.

A co on zdobył w wiekowym trudzie
To nam przyswoić potrzeba...
Może i na nas patrzą się ludzie,
Z jakiej tam gwiazdki wśród nieba!...

WEADYSŁAW BEEZA.

KOT I MYSZ.

BAJKA

IGNACEGO KRASICKIEGO.

Mysz dla tego, że niegdyś całą książkę zjadła,
Sądziła, że już wszystkie rozumy posiadała.
Rzekła więc towarzyszkom: nędzę waszą skrócę,



Spuście się tylko na mnie, ja kota nawrócę!
Posłano więc po kota; kot zawsze gotowy,
Nie uchybił minuty, stanął do rozmowy.
Zaczęła mysz egzortę, kot jej pilnie słuchał,
Wzdychał, płakał... Ta widząc, iż się udobruchał,
Jeszcze bardziej wpadała w kaznodziejski zapał,
Wysunęła się z nory, a w tem kot ją złapał.

NIESPODZIANKA

KOMEDYJKA W 1 AKCIE DLA DZIECI

NAPISZE

EMIL DERYNG

KASIA. A to niech Wawrzyniec idzie sam do tego pokoju, panienka w sali, bo ja nie potrafię tak dokumentnie wszystkiego rozpowiedzieć.

WAWRZYNIEC. Ty zawsze ani Be ani Me, zawsze takie same trusiątko jak było tak i jest.

KASIA. Oho! ja teraz już umiem abecadło na pamięć.

WAWRZYNIEC. Straszna mi sztuka! już pół roku panny ją uczą i le-dwie wyuczyły abecadła. Żeby to, ale prawda, *(zatyka sobie usta)*, sekret! o stary Wawrzyniec umie dochować sekretu! *(idzie do gabi-netu)*.

KASIA *(sama)*. Może to i prawda że ja taki leniuszek, ale kiedy to tak głupio siedzieć nad książką i składać bo, be, bi, bo, i czy ja będę umiała czytać czy nie będę umiała, to zawsze będę tylko taką samą Kasią.

Scena IV.

Juljan, Kasia.

JULJAN *(wbiega prędko)*. Kasiu! Na, weź tę karteczkę i biegnij żywo do gospodyni, spisałem wszystko czego mi potrzeba.

KASIA. A kiedy gospodyni nie umie czytać?

JULJAN. No to ty jej przeczytaj i

wytłumacz czego potrzebujemy. *(odbiega do pokoju na prawo)*.

KASIA *(sama)*. Masz tobie! przeczytaj *(patrzy na kartkę)* albo ja umiem... a! nieszczęsna moja godzina! co tu robić? pobiegnę do panny Ludwiki, ba! a czy ją znajdę tak prędko? Eh! wiem, pobiegnę do kuchni, kucharz umie czytać! Tak, to on zacznie się ze mnie naśmiewać jak zwykle, a za nim i pomywaczka i kuchciiki i wszystka cze-ladź będą powtarzać, „O! to nie-zdara! od kiedy ją uczą, a jeszcze czytać nie umie!” *(ociiera łzy fartuszkciem)*. Już od dziś jak Bożę kocham! będę się uczyć, ale tak pilnie, pilnie, że...

WAWRZYNIEC *(wchodzi z prawej stro-ny)*. Ha! ha! ha! a to doskonałe, a to niezgorzej wyszli, no teraz my pokażemy co umiemy.

KASIA. Ah jegomościulku kochany, proszę pięknie przeczytaj tę kar-teczkę.

WAWRZYNIEC. A widzisz? a wstyd! ot przydało by się teraz umieć czytać, ale asińdzka wolisz biegać po sadzie, próżnować kiedy masz czas wolny albo dopomagać panienkom w zabawkach, w uśmieszkach, a do nauki nie zapędzić, któż ci dał tę karteczkę?

KASIA. Panicz.

WAWRZYNIEC. Ale który?

KASIA. Julian.

WAWRZYNIEC (*wdziewa okulary*). Ten także dobry chłopiec, ale w głowie to Boże odpuść! ani go porównać z Adasiem. (*spojrzawszy na kartkę*). O, czego chcą, to Adaś dawno przygotował.

KASIA. O wa! wielki filozof ten panicz Adaś, panienki go przezywają ślimakiem.

WAWRZYNIEC (*oburzony*). Co? ślimak, ślimak! On mój ukochany panicz ślimak! Oj! poczekajcie on was wszystkich zawstydzi, zobaczylibyśmy coby wasze panienki zrobiły bez jego pomocy.

Scena V.

Ciż, Julian i Aniela (*wchodzą razem z prawej*).

JULJAN. Bez czyjej pomocy?

WAWRZYNIEC. Et to nie, to ja tak sobie powiedziałem proszę pani-cza...

ANIELA (*śmiejąc się*). Wawrzyniec pewnie mówił o Adasiu, bo o nim więcej nie myśli tylko o nim.

JULJAN. Prawdziwie że to rzecz szczególna, Stary strzelec poko-chał filozofa, bo Adaś filozof, ogromny filozof! Strzelby do ręki wziąć nie umie, już jak sobie chcesz mój Wawrzyńcze, ale ja mam większe prawa do twojego serca.

WAWRZYNIEC. O ja i paniczka serdecznie kocham.

JULJAN. Wierzę, już nie raz przekonałeś mię o tem, ale Adasia daleko więcej.

ANIELA. Wawrzyniec nas tylko nie cierpi.

(Ciąg dal. nastąpi.)

MAŁA GOSPOSIA.

Gdy się zbudzę, wnet biegnę,
Na podwórko z koszykiem,
Tam gołębie i kurki,
Opadają mię z krzykiem!

Ja im sypię perłowe
Ziarna, albo też groszek,
Bo dostałam od mamy
Parę białych kokoszek.

Potem mleko na spodku
Dla mych kociąt zanoszę,
One wszystkie tak ładne,
Że aż widzieć je proszę;

Potem kwiatki na grzędzie
Pilnie z chwastu opieleę.
Potem... jeszcze zostaje,
Do zrobienia mi wiele!

Muszę pobiedz i dojrzyć
Ogrodnika za bramą.
To znów nosić kluczyki
Od spiżarni za mamą...

Aż mateczka, na czole
Nieraz całus mi składa,
Mówiąc, że ja choć mała,
Lecz gosposia nielada!

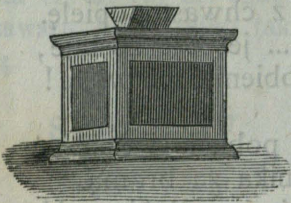
WŁ. BEEZA.

Rozmaitości.

Postrzyżyny. Postrzyżyny obrządek pogański w siódmym roku odbywany. Postrzygano dziecięciu włosy i nadawano mu imię. Uroczystości tej obecni bywali kumowie; spraszano i innych gości i częstowano ich hojnie. U Huculów, to jest Górali w Karpatach dochowuje się dotychczas ślad postrzyżyn; staje chłopak nieulekniony i prosi, żeby mu wolno było wniknąć do rzędu parobków. Zezwalają starzy i zabierają się do postrzyżenia włosów, czego mu dotąd nie było wolno. Prowadzą go pod sosnę, opierają plecami o drzewo i każą mu włosy w garść zebrane w górę wyciągnąć. Natenczas odważny i w rzucaniu pocisków niezawodny góral chwytą toporek, a mierząc bacznie

między głowę i rękę, ciska pewną dłonią i przecina włosy młodzieńca, który kiedyś podobną uroczystość sam dopełni śmieje, jak teraz przy jej spełnieniu nie zadrżał. Ta nieustraszona odwaga na łonie natury żyjącego Górala podobną jest do owej zręcznej zuchwałości, gdy podochoceni przodkowie nasi do korków u trzewika na stole stawionych żon i corek swoich kulą z pistoletu strzelali. Truchleje teraz na takie barbarzyństwo pieśczone i niemężki młodzian; ale baczny historyk ważne ztąd o przyszłości i obecności wyprowadza wnioski. Po tym obrządku chłopak staje się parobkiem, tańczyć mu i pić w karczmie wolno, a on przez wdzięczność raczy starszych i siebie

Na oświatę ludową.



Nadesłali: Leoncia Truskolawska 1 złr.
Jaś Tatomir 20 cnt. Tadzio i Marynia Szóldrzyńscy 2 tal. Razem z poprzedniami 12 złr. 16 ct. — i 2 tal. 16 sr. gr.

MYŚLI I ZDANIA.

- Lepiej późno jak nigdy.
- Nikt jeszcze nie żałował ранnego wstawania, ale przespany dzień nie jeden opłakał.
- Co masz zrobić jutro zrób dziś, a co masz zjeść dziś zjedz jutro.
- Spiesz się — powoli.
- Głupi w jednej godzinie więcej nieдорzecznosci powie, aniżeli mądry w ciągu życia ich przetrawi.
- Łakomy nigdy nie syty!

Znaczenie szarady z Nr. 11.

POLAK.



ILLUSTROWANE CZASOPISMO DLA MŁODZIEŻY

Wychodzi co dni 10, pod redakcją WŁADYSŁAWA BEŻY.

Kosztuje kwartalnie 1 zł. 50 ct. = 1 tal. — z przesyłką pocztową 1 zł. 70 ct. = 1 t. 4 srg.

PUDEŁECZKO.

POWIASTKA

przez Wołodego Skibę.

Jeszcze tych słów nie domówił, gdy Staś porwał dwie morele i dorzucił je do morel Olesia. Ale Oles w tym samym czasie zrobił toż samo ze swemi dwiema morelami, i znów obaj mieli po dziesięć!...

— I to zatem na nic się nie zdało — roześmiał się wujaszek Cyprjan, — widzę, że to jakieś zakłęte pudełeczko... Poczekajcie... powoli, pomaleńku, wymyślę jeszcze coś innego.

I wujaszek Cyprjan zaczął powoli pomaleńku chodzić po pokoju, pukając palcem w czoło, jak to miał zwyczaj robić, kiedy się namyślał.

Staś i Oles stali, spoglądając od czasu do czasu to na siebie z wyrzutem, bo się domyślili nareszcie, że

brzydkiego figla spłatali sobie wzajemnie, to na wujaszka Cyprjana z obawą, czy im jakiej bardzo trudnej próby nie zada.

Wujaszek Cyprjan, namyśliwszy się, rzekł:

— Powoli, pomaleńku wymyśliłem nareszcie coś, tak, że teraz z pewnością jednemu z was pudełeczko się dostanie. Macie tu na karteczkach jedno zdanie, a tutaj po kilka arkuszy papieru. Każdy z was pójdzie powoli, pomaleńku do innego pokoju. Ty Stasiu tu na prawo, a ty Olesiu na lewo. Drzwi będą zamknięte, a ja będę tutaj. Który z was pierwszy drzwi od siebie otworzy, to straci pudełeczko, a gdybyście razem drzwi

otworzyli, to pudełeczko będzie tego kto więcej razy to zdanie przepisał, drugiemu nawet nie wolno będzie dotknąć się tego co jest w pudełeczku, zwycięzca sam tylko powoli pomaleńku bawić się tem będzie. Czy zgoda?

Staś i Oleś przystali, każdy pewny, że drugiego przetrzyma.

Poszli, nie domyślając się bynajmniej, że ich czekała męczarnia straszliwsza daleko jak apetyt na morele.

W samotności i ciszy takiej, że tylko bieg pióra po papierze słychać było, jeden i drugi pisał ciągle i wiecznie jedno i toż samo, zdanie krótkie ale prawdziwe: „Zazdrość jest najbrzydszą wadą i na największe wystawia nas męczarnie.“

Gdyby byli uważali na to co piszą, byliby łatwo spostrzegli, że wujaszek Cyprjan z nich żartował, a raczej postanowił powoli, pomaleńku dać im naukę, na jaką obaj zasłużyli. Ale gdzie im tam było w głowie zastanawiać się nad tem co który pisał! Obaj nastawiali uszu, bo każdy sądził, że usłyszy skrzypnięcie drzwi od przeciwnego pokoju, dowodzące, że przeciwnikowie zabrakło już cierpliwości. Takie skrzypnięcie byłoby dla niego hasłem poprzestania mozolnej i nudnej roboty, a co większa byłoby oznaką zwycięstwa. Czy jednak to skrzypnięcie da się usłyszeć w zamkniętym pokoju?... Obaj wątpili o tem. I jeden i drugi radby był rzucić pióro i pójść pod drzwi podsłuchiwać... do złego i brzydkiego celu najczęściej służą złe i brzydkie środki... ale niepodobna było przestać pisać ani na chwilę, bo obaj wiedzieli, że w przysądzeniu pudełeczka będzie

także miało znaczenie i to kto więcej razy zdanie zadane przepisał. Siedzieli zatem i pisali, pisali, pisali prawie bez końca.

Nareszcie siły ich i cierpliwość wyczerpywać się zaczęły... Staś czuł, że mu mdleje ręka i pióra już utrzymać nie może; Olesiowi zdawało się, że się tak już zasiedział, że chyba nigdy nie będzie się mógł wyprostować.

Tymczasem wujaszek Cyprjan siedział sobie w swoim pokoju, palił fajkę powoli, pomaleńku, i od czasu do czasu spoglądał na zegar ścienny, którego wachadło również powoli pomaleńku wybijało sekundę za sekundą.

Wielka wskazówka tego zegara dwa razy obiegała jego tarczę do koła, a Staś i Oleś nie pokazywali się jeszcze. Było już wpół do jedenastej.

— Zacięte chłopcy — pomyślał wujaszek — męcziliby się tak powoli, pomaleńku aż do objadu, a może i dłużej... a dosyć już mają tej nauki, trzeba ich tu sprowadzić.

I to pomyślawszy, figlarz wujaszek Cyprjan, poślknął sobie palec, a potem powoli pomaleńku pociągnął nim po gładkim stole.

Z pod palca dał się słyszeć świst głośny, podobny jak dwie krople wody do skrzypnięcia drzwi.

Na to hasło Staś i Oleś, którzy je usłyszeć musieli, wybiegli w mgnieniu oka z przeciwległych pokoi.

Każdy z nich wbiegając zawołał:

— On wszedł pierwszy... proszę o pudełeczko.

— Powoli pomaleńku — rzekł wujaszek Cyprjan — policzę ile razy który przepisał, bo obaj weszliście jednocześnie.

Zaczął się znów rachunek, a szedł powoli, pomaleńku, jak wszystko u wujaszka Cyprjana. Była to nowa zwłoka, nowa niepewność, nowa męczarnia.

Okazało się, że Staś przepisał owo zdanie 127 razy, a Oleś tylko 122.

— Winszuję ci, Stasiu, — rzekł z uśmiechem wujaszek Cyprjan — zwyciężyłeś powoli, pomaleńku... masz

oto pudełeczko z tem co w niem jest, a ty Olesiu pamiętaj, że ci się do tego nawet dotykać nie wolno, bo to wyłączna własność Stasia.

Oleś z płaczem, powoli, pomaleńku, poszedł do kącika, a Staś z tryumfującą miną otworzył pudełeczko i znalazł w niem...

Za pozwoleniem, kochani czytelnicy, Staś tyle się nacierpiał, nim się nareszcie dowiedział co stanowiło skarb jego, bądźmy i my cierpliwi na jego intencję, i odłożmy do następnego rozdziału wiadomość o tem co też Staś znalazł w pudełeczku...

(Dokończenie nastąpi)

NIESPODZIANKA

KOMEDYJKA W 1 AKCIE DLA DZIECI

NAPISZAŁ

EMIL DERYNG.

WAWRZYNIEC (*zadąsany.*) Et, panienka także Bóg wie co wygaduje, posądzać tak biednego staroego Wawrzyńca że wam nie sprzyja, to się nie godzi, ja was wszystkich serdecznie kocham, bez obrazy państwa jak własne dzieci! ale mnie boli że wszyscy napadacie na Adasia, a nikt nie jest bez grzechu, panienki mają swoje wady, panicze swoje.

ANIELA. Naprzykład cóż mnie Wawrzyniec ma do zarzucenia?

WAWRZYNIEC. O i bardzo wiele, panienka jako najstarsza, powinnaś już wyręczać panią, ale gdzie tam! panience tylko w głowie fatalaszki, zabawki...

Scena VI.

Ciż i Jadwiga (*wchodzi środkiem*)

JADWIGA. Oho! stary nasz przyjaciel Wawrzyniec swoim zwyczajem już gderać zaczyna.

WAWRZYNIEC. A może nie mam powodu? kiedy panienki do tego czasu jeszcze mojej krewniaczki Kasi czytać nie wyuczyłyście.

JADWIGA. To do Ludwisi należy, do mnie nauka ręcznych robotek, jako to szyć, haftować.

WAWRZYNIEC (*do Kasi.*) A czy dużo już umiesz?

KASIA (*zakłopotana.*) Z przeproszeniem, toć nie wiele, nic.

WAWRZYNIEC. Oh! bo leniuch z ciebie potężny.

JULJAN. Oho! to widzę każdemu coś się dostaje. Jegomość Wawrzyniec nie przebacza nikomu, tylko jeden mój braciszek bez zarzutu, nawet jeszcze i wtenczas kiedy z prawej nogi siada na konia, ha! ha! ha! Wyobraźcie sobie, dziś rano mieliśmy z Wawrzyńcem pojechać konno do Leśniówki i wrócić zanim mama się przebudzi, Adaś także po coś się wybierał do Leśniówki, kazałem więc przyprowadzić trzy konie, Adaś siada pierwszy, i o zgrozo! widzę jak włożył prawą nogę w strzemień, a dalej ani rusz, bo musiał by chyba zamiast cugli trzymać się ogona; ha, ha, ha, myślałem że umrę ze śmiechu.

WAWRZYNIEC. Widzisz panicz, a czy to było ładnie z panicza strony? jak panicz śmiać się zacząłeś tak i forys i ja i kto tylko był, to musiał zwrócić uwagę na panicza Adama, który naturalnie że nie wiedział co począć ze wstydu.

ANIELA. Dobrze mu tak, bo wstyd żeby mężczyzna nie umiał konia dosiąść.

JULJAN. A zwłaszcza młodzian polski, ale Adaś woli się włóczyć od wioski do wioski, gawędzić z wieśniakami, zamiast wziąć strzelbę na plecy, poprosić Wawrzyńca żeby raz i drugi i trzeci pohulał z nim po lesie albo też przyuczyć się do robienia szabłą, dosiadać konia.

WAWRZYNIEC. No co prawda, to nie grzech; chłopiec nie panienka, ani ognia, ani wody bać się nie powinien; tylko że to na świecie różne są ludzkie natury. Nasz panicz nie jest tchórzem podszyty, próżniakiem także nie jest, tylko że woli spokojne zatrudnienie.

ANIELA (*z przekąsem*). Tak sam padał myśl, w miejsce zwykłego powinszowania urządzić niespodziankę. Sprosić gości, urządzić teatr i z muzyką powinszować mamie. Myśmy się już wszystkiego wyuczyły, co nam popisał, a teraz ani się pokaże ażeby nam dopomódz.

JADWIGA. A my głowę tracimy, bo mama zaraz może nadjechać.

JULJAN. Tego się nie obawiam. Wąska guwernantka, przyrzekła nam przecie zatrzymać mamę, jak tylko będzie można najdłużej, po kościele u księdza proboszcza.

Scena VII.

Ciż i Ludwika.

LUDWISIA (*do Kasi*). Biegnij do gości, wszyscy już są w kancelaryi i tam oczekiwać będę na przyjazd mamy, z tamtąd najlepszy widok na drogę, jak ujrzysz powóz, przybiegaj tu i daj nam znać. Ale, ale, Walenty z niczem powrócił, muzyki nie ma.

(*Kasia odchodzi*).

WSZYSZY. Ah!

LUDWIGA. A u was czy już wszystko gotowe?

(*Ciąg dal. nast.*)

DESZCZ.

Nieraz zapewne, kochane dziatki zdarzyło się wam bawić się przed południem w ogrodzie, cieszyć się piękną pogodą, gdy za małą chwilę na niebie zaczęły się powoli przesuwąć małe obłoczki, których fantastyczne, a często i dziwne kształty,

tywałyście się nieraz mamy, dla czego deszcz pada, i skąd się biorą obłoki na niebie?

W odpowiedzi, usłyszaliście cudną legendę, że duchy matek, które pozostawiły na ziemi biedne swe dzieci sierotami, płaczą tam w górze nad



Legiendą o deszczu.

bawiły oko wasze, i zatrudniały myśli, a które łącząc się w coraz to większy obłok tworzyły jedną wielką chmurę z której polały na ziemię rzęsiste krople deszczu.

To wszystko, zdarzało wam się często już widzieć i zapewne dopy-

ich dołą a łzy ich deszczem spadają na ziemię.

Tak wam mama mówiła, gdyście jeszcze były mniejsze, i inaczej wam tego wytłómaczyć nie było można; dziś atoli, postąpiwszy w lata i rozum, pojmiecie łatwo prawdziwą przyczynę,

dla czego deszcz pada, jeżeli tylko cokolwiek uwagi temu! co wam teraz powiem, poświęcić zechcecie.

Deszcz pada z chmury, to pewna, bo w dzień pogodny, gdy żadna chmura, ani obłok nie zasępi nieba, deszczu nigdy nie ma, ale nie myślcie bynajmniej, żeby te chmury były niejako rezerwoarem mieszczącym w sobie deszcz; bynajmniej, chmura niczem innym nie jest, tylko mgłą wysoko zawieszoną.

Dość jest zwrócić uwagę na siebie samych, ażeby to zjawisko powstawania chmur i padania deszczu pojąć należycie.

Każdy, kto zimową porą choć raz pochuchał sobie w ręce dla rozgrzania ich, dostrzegł niezawodnie, że się od tego chuchania ręce zwilżają. Pochodzi to stąd, że powietrze które wydychamy z siebie zawiera cząstki wody, z krwi naszej pochodzące, których wprawdzie w ciepłym powietrzu nie widzimy, gdyż są lotne ale skoro tylko powietrze się oziębi, natychmiast stają się widzialnymi, i osiadają na przedmiotach zimnych w postaci kropel, jak to na szybie widzimy, gdy na nią chuchamy; a przy większym zimnie marzną i zamieniają się w śnieg, lub w sople lodu.

Otoż i macie przykład, jakim sposobem cząstki wodne naszego oddechu ukazują się w kształcie mgły, małych kropelek, a przy większym zimnie, w kształcie śniegu i lodu.

Przy namyśle, dojdziecie do tego wniosku, że i powietrze które nas otacza musi w sobie zawierać cząstki wodne, gdyż z mórz rzek i wszelakich wód, nasycą się nią o czem

łatwo się przekonać, gdy wodę w szklance, przez dłuższy czas przy otwartem oknie zostawicie; powoli coraz więcej wody ubywać będzie, aż wreszcie zupełnie zniknie. Nikt inny tylko wiatr ją wypił i może, za chwilę ta sama woda w kroplach deszczu, tuż przed waszem oknem spadnie...

Powietrze wywiązuje się tu tylko z roli jaką mu Stwórca w harmonii wszechświata przeznaczył.

Powietrze więc przesiąknięte czyli zwilżone wodą ulatuje w górę, a zetknąwszy się z warstwą powietrza zimniejszą, zgęszcza się i tworzy mgłę, którą my nazywamy chmurą. Ale z chmury w ten sposób powstałej niekoniecznie jeszcze deszcz musi padać. Na to potrzeba większego oziębienia temperatury i zetknięcia się obłoków z warstwą jeszcze zimniejszą, a wówczas zgęszczają się cząstki wodne, i zamieniają się w kropelki wody, które nie mogąc się dłużej unosić w powietrzu spadają na ziemię w postaci deszczu.

Otoż macie i deszcz, który wam nieraz tyle przykrości sprawia; podczas gdy go rolnik za największy dar boski uważa, cieszy się i dziękuje Bogu gdy majowy deszczyk zrosi rolę jego. Ale nie tylko rolnikowi, ale i nam wszystkim deszcz bardzo jest potrzebny, i pożyteczny, gdyż on czyści powietrze nie tylko ze szkodliwych wyziewów, ale i z pyłu i rozmaitych drobnych ciałek unoszących się nad nami i dla tego to, szczególnie po wiosennym deszczu, każdy zdrowszym i rzeświejszym się czuje, a cała natura jakby nowo odrodzona, bujną, okrywa się zielenią.

Polska mowa.

O! kochaj dziatwo, słowo rodzinne,
Skarb twej ojczyzny wspaniały:
Tem słowem usta twoje niewinne,
Pierwszy paciorek szeptały!

A co najdroższe po Bogu, — dziatki!
Dla duszy tkliwej i czystej:
Słodkie imiona ojca i matki,
Brałyście z mowy ojczystej.

Pierwsze wrażenia, pierwsze pojęcia:
Pieśń ptaszka, kwiatki w dąbrowie,
Co zajmowały umysł dziecięcia,
W tej tłumaczono wam mowie!

A jakież czary mowa ta mieści:
Raz gromem huczy i błyska,
To znów się w takiej tarza boleści,
Aż łączy wam z oczu wyciska!

Nie tylko kraj ten w którym życiecie,
Ojczyzną waszą się zowie;
Bo jest i druga ojczyzna, dziecię!
Co w polskim mieści się słowie.

Niby krynica, nurty żywemi,
W piersiach nam kipi — wspaniała:
To mowa ojców, co naszej ziemi,
Nazwisko Polski nadała...

To polskie słowo, co się u świata,
Okryło zasług wawrzynem,
A kto niem gardzi albo pomiata;
Tem złym ojczyzny jest synem!

Wiem, że i w obcych języków sztuce
Ćwiczyć się dziatwie przychodzi;
Lecz pragnę tylko, niech tej nauce,
Ojczyste słowo przewodzi!

WŁADYSŁAW BEEZA.

OFIAROWANIE IZAAKA.

Bóg przepowiedział cnotliwemu
Abrahamowi przyjście syna. Skoro
ten się narodził, ojciec dał mu imię
Izaak. Starzec strzegł go jak oka
w głowie i kochał go nad życie.

Skoro *Izaak* nieco podrośł, rzekł
raz w nocy Bóg do *Abrahama*:
„*Abrahamie!* weź syna twojego i udaj
się z nim na górę *Morya*, a tam
z niego uczyni mi ofiarę całopalną.“
Bez sprzeciwiania się, wstał ojciec
bardzo rano, narąbał drewek na ca-
łopalenie, włożył na swojego osła,
a wzięwszy z sobą dwóch sług i
swojego syna *Izaaka*, udał się na
miejsce przeznaczenia. Dnia trzeciego

przybyli pod górę; tedy rzekł ojciec
do sług: „Zostańcie tu z osłami, ja
i chłopiec pójdziemy na górę pomo-
dlić się.“ Potem zdjawszy drewka
z osła, włożył je na barki syna
swojego *Izaaka*, sam zaś niósł w rękę
żar i nóż. Tak obadwaj wstępowali
na górę. Podczas drogi odezwał się
Izaak: „Ojcze mój!“ *Abraham* odpo-
wiedział: „Czegoż chcesz, mój synu?“
Izaak rzekł: „Mamy ogień i drewka,
ale gdzież jest ofiara całopalenia?“
Abraham rzekł: „Synu mój! Bóg
się postara o ofiarę na całopalenie.“
Izaak tego nie wiedział że sam nią
był. O jakże te dziecinne zapytania

musiały ranić i przeszywać serce dobrego ojca! Postępowali jednak obadwaj dalej.

Gdy już przyszedli, na wierzchołek góry wystawił Abraham ołtarz, ułożył na nim drewka, związał swego syna i położył go na ołtarzu na wierzchu drzewek. Izaak dał z sobą to wszystko czynić, bez szemrania. Abraham podniósł rękę swoją z nożem

z miłości ku Niemu, nawet swojemu jedynemu synowi byłbyś nie przepuścił. A żeś to uczynił, więc rozmnożę twoje potomstwo jak gwiazdy na niebie, i przez jednego z twoich potomków mają być wszystkie narody ziemskie błogosławione.“ Co za radość i ukontentowanie uczuł Abraham, kiedy znowu swojego kochanego syna w podarunku odebrał i to wiel-



dla zadania śmierci synowi. Wtém zawołał Anioł Pański z Nieba: „Zatrzymaj swoją rękę Abrahamie, teraz poznałem, że się Boga boisz i że

kie przyrzeczenie usłyszałeś. Tak doświadcza i tak nagradza Bóg posłuszeństwo.

MYŚLI I ZDANIA.

— Jeśli jesteś przywiązany do życia, nie marnuj czasu z którego życie się składa.
— Szlachetne czyny — to najpiękniejsze szlachectwo.

— Chcesz mieć majątek, chwytaj go za obie ręce — prawą jest *praca* a lewą *oszczędność*.
— Myślmy o przyszłości — bo teraźniejszości nie ma nigdy a przeszłość nie wraca.



ILLUSTROWANE CZASOPISMO DLA MŁODZIEŻY

Wychodzi co dni 10, pod redakcją WEADYSEAWA BEEZY.

Kosztuje kwartalnie 1 zł. 50 ct. = 1 tal. — z przesyłką pocztową 1 zł. 70 ct. = 1 t. 4 srg.

PUDEŁECZKO.

POWIASTKA

przez Wołodego Skibę.

III.

Pudełeczko otwierało się tak, że utworzone stanowiło dosyć duży kwadrat, podzielony na 64 mniejsze kwadraty, na przemiany czarne i białe. Było w niem oprócz tego dwanaście małych kólek drewnianych czarnych i także dwanaście białych.

Z tego opisu domyślmy się łatwo, że to były warcaby i warcabnica. Oleś i Staś widzieli w sąsiedztwie tę grę, nauczyli się jej i podobała im się bardzo, to też Staś nie posiadał się w pierwszej chwili ze szczęścia, a Oleś z załości, jeden że dostał taki skarb, a drugi, że mu się do niego dotknąć nawet nie wolno.

Krótkiem jednakże było szczęście Stasia; trwało tylko dopóty, dopóki nie skończyło się oglądanie. Obejrzawszy i nacieszywszy się widokiem otrzymanego подарunku, Staś ustawił warcaby w szyku bojowym i rzekł do Olesia:

— Chodź, Olesiu zagramy...

Oleś rad z zaproszenia, zapominając o zakazie, obtarł łyzy i chciał iść na wezwanie.

— Powoli, pomaleńku — rzekł na to wujaszek Cyprjan. — Oleś nie dostanie leguminy, jeżeli się dotknie do warcabów.

Staś posmutniał trochę, a jak

w sercu Olesia było boleśniej tego pióro wypowiedzieć nie zdoła.

Po jakimś czasie, Staś zaczął się coraz bardziej przekonywać, że tajemnicze pudełeczko miało pewien przymiot tajemniczy: posiadane na wyłączną własność, traciło wszelką wartość i powab; żeby było coś warte, musiało koniecznie należeć do obu braci.

Proponował partję warcabów wujaszki. Wujaszek powoli, pomaleńku odpowiedział, że grywa czasem w warcaby, ale tylko w takie co są wspólną całego domu własnością, że te warcaby w pudełeczku są jakby dobra dziedziczne Stasia, i gdyby chciał je brać w dzierżawę, toby musiał powoli, pomaleńku wydać na to wszystkie kapitały, jakie sobie przez całe życie zaoszczędził.

Staś zrozumiał, że wujaszek Cyprjan z niego powoli, pomaleńku żartuje. Poszedł do ojca i matki, ojciec i matka innemi wyrazami odpowiedzieli mu toż samo. Toż samo także usłyszał od innych domowników, — nikt z nim grać nie chciał, oczywiście wszystkich powoli, pomaleńku wujaszek Cyprjan pobuntował.

A tu jak na złość inne zabawki mu nie smakowały, chciało mu się warcabów, tak jak poprzedniego dnia moreli, a nawet jeszcze bardziej jak onych moreli. Oleś doznawał podobnego cierpienia i przez kilka godzin uśmiech ani razu nie powstał na jego twarzy, nie rozpogodził jego czoła.

Przy objedzie nie mieli obaj apetytu.

Tak powoli, pomaleńku zaczęło im się wyjaśniać że byłoby najlepiej,

gdyby byli obaj przystali na wspólne prawo do zabawki, której drugiego egzemplarza wujaszek Cyprjan nie przywiózł ze Lwowa. Zaczęło im się wyjaśniać, że tyle słinki się napożykali na morele, tyle nudów przecierpieli podczas nocy bezsennej, tyle obawy gdy jeden skradał się po owoce drugiego, tyle przykrości gdy podczas rachowania moreli obaj spostrzegli, że byli dowcipniejsi i złośliwsi, tyle wstydu, gdy im wujaszek wypalił ostre kazanie, tyle się napracowali nad przepisywaniem zadanego zadania, i mimo to wszystko ani ten co zwyciężył, ani ten co został zwyciężonym nie doznał przyjemności, owszem tylko na nową przykrość był wystawiony. Zrozumieli, że do tego wszystkiego byłoby nie przyszło, gdyby byli od razu poszli za radą wujaszka Cyprjana, gdyby jeden drugiemu nie zazdrościł.

Skutkiem takich rozmyślań, Stasiowi przyszła nareszcie do głowy myśl rozsądna.

— Jestem starszy — rzekł do siebie, powinienem ustąpić i pierwszy przeprosić brata.

Poszedł do Olesia i rzucił mu się na szyję.

— Ja to właśnie chciałem zrobić, — rzekł do niego Oleś — wiem teraz, że powinienem ciebie przeprosić, bom młodszy.

— No, no — odrzekł bardzo rozsądnie Staś — nie ma co długo gadać, obaj zawiniliśmy, więc obaj sobie wybaczymy, a przeprosić chcemy wujaszka, to nam może pozwoli grać w warcaby.

Poszli. — Wujaszek ich wysłuchał,

pokiwał głową i po krótkim namyśle tak odpowiedział, cedząc z wolna słówko po słowie:

— Otóż powoli, pomaleńku, moi chłopcy, przysłiście do przekonania, żeście obaj brzydko postępowali, byliście zazdrośni...

— To prawda, wielka prawda, wujaszku.

— Obiecujecie się z tej szkaradnej wady powoli, pomaleńku poprawić?..

— Obiecujemy, przyrzekamy, wujaszku.

— Dobrze... a zatem zadam wam maleńką pokutę, odbędziecie ją zaraz, a potem już warcaby nie będą ani Stasia ani Olesia, ale wasze wspólne i będziecie mogli bawić się niemi obydwaj.

Przychodziło chłopcom na myśl, że już dużo, bardzo dużo za swoją zazdrość odpokutowali i chcieli prosić wujaszka, żeby im tę ostatnią pokutę darował, ale jakoś żaden nie śmiał się z tem pierwszy odezwać, a zresztą sami sobie winni byli doznanym przykrości, więc im wujaszek Cyprjan mógł odpowiedzieć, że przykrość, którą kto sam sobie przez nierozsądne i naganne postępowanie wyrządza, za pokutę się nie liczy.

Tymczasem wujaszek Cyprjan wyjął z szufladki kilka arkuszy zapisanego papieru i podał je Stasiowi.

— Za pokutę — rzekł — przeczytasz mi to powoli, pomaleńku, mój Stasiu, a ty Olesiu będziesz słuchał uważnie, bo to jest wielka i święta prawda co tam napisano, moje dzieci, i powinniście o niej zawsze pamiętać.

Staś zarumieniony jak wiśnia poznał swe własne pismo. Zaczął czytać, z początku z wolna, potem coraz prędzej, żeby długo nie mitrężyć z pokutą. Ale wujaszek Cyprjan, nie lubił żeby się śpieszono, więc ile razy Staś się rozpędził, powstrzymywał go zaraz swoim ulubionem:

— Powoli, pomaleńku, mój Stasiu.

W taki sposób wolno i wyraźnie, Staś odczytał a Oleś usłyszał 127 razy jedno i to samo zdanie:

„Zazdrość jest najbrzydszą wadą i na największe wystawia nas męczarnie.“

Musieli też to obaj dobrze zapamiętać, bo odtąd nikt nie słyszał o nich, żeby jeden drugiemu albo innym osobom czego zazdrościli kiedykolwiek.

KONIEC.

LISTY DO MŁODYCH PRZYJACIOŁ.

II.

DO MARYNI BR.

Moja droga Maryniu!

Rozmawialiśmy niedawno z mamą Twoją. Ty kręciłaś się po pokoju, a ja ani przypuszczałam, że szczególną zwracasz uwagę na to, o czém mó-

wimy. Potem stanęłaś naprzeciw nas przy stoliku i patrzyłaś się na nas z zajęciem. Wymówiłam nazwisko pewne, a Ty zapytałaś z wyraźnym wstrętem:

*

— Czy to krewny tego, który do Targowicy należał?

Spojrzałam na Ciebie zdumiona nieco, z zadrgnieniem radośnem serca.

— Więc Ty wiesz o Targowiczaniech, Maryniu? zapytałam — i pamiętasz ich nazwiska?

— Och, pamiętam — odrzekłaś — a byli to zdrajcy kraju, którzy Polskę zaprzędali Moskwie.

Uczyniłam Ci pytań parę co do historii kraju naszego, a na wszystkie odpowiedziałas jak najlepiej. Jakże to w tem zasługa Twojej zacnej nauczycielki i Twojej mamy kochanej! — Nauka historii, moja Marynieczo, główną jest nauk podstawą, zwłaszcza też dla Polki, która dzieje narodu swojego znać powinna dokładnie. Bo ta Polska ukochana dzisiaj, niestety, raczej istnieje tylko już w języku naszym, który winniśmy pielęgnować, gdyby żrenicy w oku; w piśmiennictwie naszym; w naszym sercu i duszy. A dzieje Polski są wielkie i piękne, bo naród cały ciągłej szlachetności dawał dowody i czynów ofiarnych dla drugich, dla ludów uciemiężonych i jarzmem niewoli dotkniętych. To też przewielką w duszy naszej krzewmy wiarę i na-

dzieję, że chwila nadejdzie, w której, Bóg wielki naród polski swoją podźwignie prawicą i cierpienia srogie, poświęcenia bez granic, niezależnością i swobodą nagrodzi.

Wspomnienie Targowicy budziło wstręt w Tobie, Marynieczo droga — za co bądź błogosławioną, dziecię polskie! — zrobię Ci jednakże uwagę jedną, kochana: że synowie za winy, za zbrodnie ojców odpowiadać nie mogą: że bardzo często synowie występnych ojców, najszlachetniejszymi byli synami kraju. Zatem i potomkowie niejednego z Targowiczian, krwią za niepodległość kraju przelaną, z nazwiska swojego piętno hańby już zmyli. A daj Boże, by z czasem i o wszystkich powiedzieć to można.

Były przykłady i w ostatnim powstaniu r. 1863, gdzie ojcowie, piętnem zdrady ziomek swoich naznaczeni, ginęli od karzącej dłoni powstańców. A synowie ich padali w powstańczych szeregach, niosąc życie swoje w ofierze za Polskę.

Maryniu moja, będzie mi miło jeszcze pomówić z Tobą, ażebyś mi znowu coś powiedziała o Polsce.

Całuję Cię serdecznie.

PAULINA WILKOŃSKA.

ŻÓRAW.

(GRUS.)

Wiele jest gatunków żórawiów, które w rozmaitych krajach przebywając, tylko upierzeniem się różnią od tego, który u nas się znajduje. Nasz jest około cztery stóp długi i dość wysoki. Dziób ma prosty i dłuż-

szy od głowy, skrzydła szerokie, nogi cienkie i wysokie a dwa przednie palce są połączone błoną. Jest barwy popielatej, tylko część głowy, szyi i końce skrzydeł czarne, a ciemnie ma nagie i pokryte brodawkami.

Lata bardzo wysoko, ale od razu wznieść się w powietrze nie może, dla tego biegnie naprzód szybko z rozpuszczonemi skrzydłami i tak powoli unosi się w górę. Żywi się owadami, robactwem błotnem, żabkami, roślinami i ziarnem. U nas stadami trzyma się obszernych bagien. Jest bo-

odlatuje do południowych krajów; podczas tej wędrówki lecą żórawie zwykle bardzo wysoko, dwoma długimi szeregami, stykającymi się z sobą pod kątem ostrym.

Mięso żórawia jest twarde i niesmaczne, stąd mało u nas na niego polują. Lud przywiązuje do tego pta-



Żóraw, po łacinie Grus.

jaźliwy, ale przytem roztropny i bardzo czujny; całe stado spoczywa pod strażą jednego starego żórawia, który stojąc na jednej nodze, rozgląda się na wszystkie strony i krzykiem ostrzega przed niebezpieczeństwem. Młody złapany łatwo da się oswoić. Na zimę

ka różne wieszczby; tak n. p. krzyk podczas dnia, lub niski lot oznacza deszcz, wysoki i spokojny lot oznacza pogodę; bajką jest jednak, jakoby żóraw stojący na straży, trzymał w jednej nodze kamień, aby nie usnąć.

K. G.

PIEŚŃ O IGLE.

Igiełką pogardzać nie trzeba!
O! bierz ją panienko do ręki,
Bo iluż to ludzi kęs chleba,
Zawdzięcza igiełce małeńkiej.

Choć czasem, ukłuty paluszek
Aż do krwi serdecznej, zaboli:
Nie traćcie do igły serduszek,
Szyć zgrabniej będziecie powoli!

Dziś jeszcze, o moje panienki,
Dla lalek szyć uczy was mama...
A jutro dla sierót sukienki,
Uszyje igiełka ta sama.

I biedny radować się będzie,
I modlić się za was w kościele.

O! igła choć małe narzędzie,
A sprawia pociechy tak wiele!

Mój Boże, a ileż dziewczątek
Igiełką zarabia na życie,
O! spojrzcie w poddaszów zakątek,
A ileż w niem szwaczek ujrzyecie...

A wszystkie pracują aż miło,
By biedzie zaradzić coprędzej:
A gdyby igiełki nie było,
Zginęły by może gdzie w nędzy!

O! igłą pogardzać nie trzeba,
Więc bierz ją panienko do ręki,
Bo iluż to ludzi, kęs chleba,
Zawdzięcza igiełce małeńkiej!

WL. BEEZA.

NIESPODZIANKA

KOMEDYJKA W 1 AKCIE DLA DZIECI

NAPISANE

EMIL DERYNG.

JADWIGA. W stołowym pokoju już.

WAWRZYNIEC. A widzi panienka!

ANIELA. I w sali także, oprócz firanek.

WAWRZYNIEC. A widzi panienka!

LUDWIKA. Bo co do mojego wydziału
— u mnie także wszystko w porządku.

WAWRZYNIEC. A widzi panienka!

PANNY (razem). Co? dla czego? co mamy widzieć?

WAWRZYNIEC. Bo w tem wszystkim
dopomógł mój panicz, na którego
tu wszyscy bij zabij!

WSZYSCY. Ha, ha, ha, kto, Adaś?

WAWRZYNIEC. A tak Adaś!

LUDWIKA. Ten próżniak!

ANIELA. Nasz pan filozof! } (prawie
razem).

JADWIGA. Ten ślimak!

WAWRZYNIEC. Bardzo grzecznie, bardzo pięknie! tak napadać na biednego braciszka! Oj! żeby to pani słyszała podziękowała by państwu pięknie za całą siurpryzę.

JULJAN (stanowczo). Z której nic nie będzie i tylko wstydu się nabawimy przed gośćmi, a to wszystko z łaski kochanego Adasia.

WSZYSCY. Co się stało?

JULIAN. Muzyki nie ma i już po wszy-

stkiem i po teatrze i po przywitaniu i po krakowiaku — wszystko przepadło!
WSZYSTKIE. Ach!

Scena VIII.

Ciż i Adam.

JULJAN. Zjawiasz się nareszcie.

LUDWIKA. Pfe Adasiu, to szkaradnie!

JADWIGA. To niegodziwie!

ANIELA. I cóż będzie z muzyką?

ADAŚ. A czy Walenty jeszcze nie wrócił z miasteczka?

JULJAN. Wrócił ale bez muzyki, a ty przecie zapewniałeś, że muzyka będzie, że sam się tem zajmiesz — ty podałeś nam projekt aby w dzień imienin nie winszować Mamie jak zwykle z rana — nawet nie dopuścić nikogo do jej pokoju, ale postarać się o to, aby z guwernantką pojechała do kościoła, a przez ten czas urządzić wszystko na powitanie wracającej.

ADAŚ. I wszystko jest jak potrzeba, jakeśmy sobie ułożyli.

JULJAN. Pięknie ułożyli, nie ma co mówić — a gdzie muzyka?

ADAŚ (*do Wawrzyńca*). Jakto nie ma muzyki w miasteczku?

JULJAN. Naturalnie że nie ma. Walenty powrócił z niczem. Muzyka wczoraj pojechała w okolice gdzieś na wesele.

ADAŚ (*zdziwiony*). Doprawdy?

LUDWIKA. Jeszcze się dziwi.

ANIELA. Miałeś przecie pewność.

JADWIGA. Mówiłeś, zapewniałeś: „o muzykę nie ma kłopotu, ja ręczę,

że będzie muzyka i wszyscy będą z niej kontenci.“

JULIAN. Jesteśmy też bardzo kontenci.

ADAŚ. Ale to bagatelka!

WSZYSTCY. Jakto bagatelka?

ADAŚ. Jakoś damy sobie radę.

JULIAN. Wyborny! wystawiłeś nas wszystkich na śmiech, a my jesteśmy prawdziwe dzieciaki, żeśmy usłuchali twojego konceptu — a ja — ja darować sobie nie mogę, że sam nie pojechałem do miasteczka zawiadomić muzykę, ale tobie zaufałem.

ADAM. A szkoda, że nie pojechałeś, byłbyś miał żydowską kapelę, od której uszy bolą, istna kocia muzyka!

JULJAN. Lepiej taka, jak żadna! Tyś we wszystkim bardzo wielki znawca; — że tam masz trochę znajomości muzyki, że ci coś udało się napisać i że cię pochwalili, to już wielki z ciebie meloman. Pozwól sobie powiedzieć: że i teraz i przeszłych świąt i wiele tylko razy przyjedziemy tu na wieś do domu, to zamiast bawić się ze siostrami, towarzyszyć mamie i cieszyć się jej widokiem, ty biegasz jak sowizdrzał Bóg wie gdzie.

PANNY. Ach! co prawda, to prawda.

WAWRZYNIEC. Tak! wszyscy obces na biednego panicza, za to że żydów nie sprowadził na uczczenie pani — o bo ja, ja temu stanąłem na przeszkodzie.

ADAŚ (*ze śmiechem*). Więc pan Wawrzyniec umyślnie poszachrował żydkami?

(Dok. nast.)

PSZCZOŁA.

Idź, leniuszku, idź do pszczoły
I przypatrz się jej skrzętności;
Ucz się zwalczać trud, mozoły —
Ucz się od niej wytrwałości!
Jestto sobie mała muszka,
Już do pracy z rana leci;
Więc i wy wstawajcie z łózka,
Naśladujcie ją też, dzieci!
Hej do pracy i roboty,
By na przyszłość mieć zdobycze;
Piękne czyny, piękne cnoty —
Toć to wasze są słodycze.
Pszczółka choć tak mała, — przecie
Nie chce tylko żyć dla siebie;
Tak wy czynicie tu na świecie,
Bo tak każe Ojciec w niebie.

A w tym ulu jakże gwarno!
Nieporządku ani cienia;
Do pracy się pszczołki garną,
I pracują bez wytchnienia!..
Przy otworach są tam strażę;
Miód robocza pszczoła chowa,
Wszystko idzie jak w zegarze —
Aż się cieszy ich królowa.
Bo pszczołeczki choć tak małe;
Mają swoją monarchię.
Dla niej dni pracują całe
I słuchają jej jedynie.
Ona wszędzie ma pierwszeństwo.
Rząd składają: *miłość, zgoda,*
Praca, pilność, posłuszeństwo...
Ważni hasła nikt nie poda.

* * *

Idź leniuszku! idź do pszczoły
I przypatrz się jej skrzętności!
Ucz się zwalczać trud, mozoły,
Ucz się od niej wytrwałości!

JÓZEF CHMIELEWSKI.

Piękny przykład. Wandzia, Kazia i Broniś, dzieci państwa Ż. we Lwowie, urządziły przed kilku dniami, loteryę fantową na korzyść oświaty ludowej. Na fanty, przeznaczyły najulubieńsze swoje zabawki, które za pilność w naukach otrzymały od rodziców. Sprosiły potem znajome sobie dziatki, rozsprzedały pomiędzy nie kilkucentowe bilety, i z urządzonej tym sposobem zabawy, zebrały 9 złr. 90 c. Czy i inne dziatki, za wiedzą i zezwoleniem rodziców, nie mogłyby podobnych loteryj urządzać? Podwójną sprawiło by to im radość, bo by je rozerwało i przyniosło pociechę sercu, że się do szlachetnego dzieła przyłożyły.

Na oświatę ludową.

Otrzymałmśy od Zygmunta Suchorzewskiego ucznia klasy 1 gimnazjum polskiego 2 złr. Razem z poprzednemi 13 złr. 16 ct. — i 2 tal. 16 sr. gr.

SZARADA

(JÓZEFA CHMIELEWSKIEGO.)

Pierwsze wskazuje drugie bardzo parzy;
Wszystkiego szukają u kupców handlarzy,
Jest to ich mienie, my go nabywamy,
Oni je dają — gdy pieniądze mamy.

OD REDAKCYI.

W następnym numerze naszego pismu, rozpoczniemy druk nowej powiastki pod tyt. Martwy ptaszek.



ILLUSTROWANE CZASOPISMO DLA MŁODZIEŻY

Wychodzi co dni 10, pod redakcją WEADYSEAWA BEEZY.

Kosztuje kwartalnie 1 zł. 50 ct. = 1 tal. — z przesyłką pocztową 1 zł. 70 ct. = 1 t. 4 srg.

Martwy ptaszek.

I tak, mój biedny ptaszek nie żyje. Jego piękne piórka wzburzone i poszarpane, jego jasne oczko nieruchome i jakby szklanne. A jam je tak lubiła! moje biedne ptasze! Ono było tak łaskawe, tak odważnie z mojej ręki jadło; a gdym raz była chora, nie opuszczało nigdy mego pokoju i rozweselało mnie swojemi wesołemi piosnkami. A teraz mój ptaszek nie żywy i nigdy już nie będzie mógł mi śpiewać! Nie płakałam gdyż byłam za nadto smutną. Byłam raczej rozgniewaną i nadąsaną, a do mego przestraszonego braciszka odzywałam się niechętnie. Był to mały siedmioletni chłopczyzna, a więc o dwa lata młodszy odemnie. Teraz stał przedemną i trzymał nieżywego ptaszka na dłoni; po bladej twarzy cee spływały mu łzy kroplami.

„Ach, siostrzyczko! mnie tak przykro, tak przykro! Proszę cię, przebacz mi, przebacz!”

„Ty niedobry chłopcze!” zawołałam, więcej jeszcze rozgniewana jak przedtem, „tyś mego ptaszka zabił; nie pozwoliłam ci go wypuszczać.” Podniosłam rękę.

Wtem ktoś mnie za rękę uchwycił; moja matka stała koło mnie. Spoglądała na mnie smutnie i poważnie.

„Helenko, dziecię moje! nie nauczysz się nigdy poskramiać twoje umiesienia?”

Ja jednakowoż byłam nadto nadąsaną, aby na jej słowa uważać: „Mój ptaszek przez mego zginął!” zawołałam i chciałam rękę moją wyrwać.

„Mamo, jam go nie zabił!” ska-

rzył się Henryk, a mnie tak smutno, zem był tak niedobry i ptaszkom wypuścił; potem go kot zjadł. Ach, mój Boże. Mamu coś ja zrobić? biedny ptaszek nie żywy.“

I Henryk przytulił się do matki i tak rzewnie płakał, jakby mu miało serce pęknąć.

„Nie powinienes być ptaszka wypuszczać; bo on był własnością twej siostry, ale twój błąd już jest karą dla ciebie mój synu, musisz tylko prosić Helenkę o przebaczenie.“

Z martwym ptaszkiem w ręku, przyszedł Henryk do mnie, spojrzał na mnie swojemi łzawemi, niebieskiemi oczyma i rzekł: „Siostrzyczko, ach mnie tak smutno, tak smutno! przebacz mi przecie?“

Ale ja się nie dałam przeprosić i dając się odwróciłam się od niego.

„Helenko, nie chcesz mnie pocałować?“ zapytał się i uchwycił mnie za sukienkę, aby moją twarz ku sobie zwrócić, ale ja nie chciałam.

„Henryczku!“ rzekła matka, wzięwszy go za rękę, chodźmy stąd, Helenka sama zostanie. Ona jest złem dzieckiem, a ja cię nie mogę z nią razem zostawić.

Biedny chłopczyzna z niechęcią to robił, przybiegł do mnie jeszcze raz od progu i zapytał się: „Droga, kochana siostrzyczko, czy nie chcesz mnie pocałować?“

Ale ja nie chciałam.

Nie miałam żadnej siostry, tylko tego jednego braciszka. Biedny Henryk! Od urodzenia już był bardzo słabowity, później było to łagodne, miłe dziecko, piękne jak aniołek, z łagodnemi, niebieskiemi oczętami,

które nie raz dziwny jakiś wyraz przybierały. Pewnej niedzieli w wieczór, gdy tato, mama, Henryk i ja hymn wieczorny śpiewaliśmy, siedział chłopczyzna na kolanach ojca i właśnie wtedy przybrały oczy jego taki dziwny wyraz, który zdawał się nie z tej ziemi pochodzić. Widziałam często, jak matka na niego spoglądała, aż łzy jej w oczach stawały; również ojciec często wzdychał, gdy ręką gładził włoski chłopca.

Mieszkaliśmy na końcu przedmieścia jednego wielkiego miasta, w dużym murowanym domu; nie wyglądał on wprawdzie zbyt pięknie, ale Henryk i ja mieliśmy obszerny pokój dziecinny, pełny pięknych zabawek i książek z obrazkami. Zimowymi wieczorami opowiadała nam stara niania powiastki o innych małych chłopczykach i dziewczętkach, czasem także o wieszczkach, a tych słuchał Henryk najchętniej.

Ja kochałam bardzo mego małego braciszka! I innych kochałam także, ale mimo to sprawiałam im często przykrości, nie mogąc poskromić moich wybuchów. Potem było mi przykro, ale żał nie wstrzymałam mnie mimo to od popełniania nowych błędów.

Dziewiątej rocznicy moich urodzin, darowała mnie niania kanarka w pięknej klatce. Cieszyłam się nim bardzo; małe stworzenie tak się do mnie przywiązało, że skakało mi po rękach i brało cukier z moich ust.

A teraz mój ptaszek już nie żył. Nie pozwalałam Henrykowi nigdy drzwi klatki otwierać; ale jednego nieszczęśliwego dnia nie mógł się

powstrzymać i otworzył drzwi klatki; gdy ptaszek wesoło po ziemi skakał i zbierał okruszyny, które mu Henryk rzucał, wyskoczył kot, który w kącie czatował i złapał ptaszka.

Henryka bolesny krzyk, przestraszył kota tak, że opuścił swoją zdobycz, a mnie do pokoju dziecinnego zwabił. Podnieśliśmy ptaszka ale niestety, on już nie żył. Wtedy tak się rozgniewała i popuściłam cugle

mej drażliwości, żem mu przebaczyć nie chciała. Biedne dziecko!

Gdy matka odeszła, zaczęłam płakać nie z żalu, ale z gniewu. Długo nie przychodził nikt do pokoju dziecinnego, aż nareszcie weszła niania prowadząc za rękę Henryka, i zbliżyła się w milczeniu do szafy, gdzie były schowane nasze suknie do przechadzki.

(Dokończ. nastąpi.)

NIESPODZIANKA

KOMEDYJKA W 1 AKCIE DLA DZIECI

NAPISAE

EMIL DERYNG.

ADAM (ze śmiechem). Więc pan Wawrzyniec umyślnie poszachrował z żydkami.

WAWRZYNIEC. Nie inaczej, panicz już byłby gotów dozwolić rzępołom, ale ja przecież wiem co się święci i nasze Walukomiszkę górą.

WSZYSCY (oprócz Adama). Co to znaczy?

WAWRZYNIEC. Ot, za karę nic nie powiem aż pani przyjedzie.

Scena IX.

Ciż i Kasia.

KASIA (wbiega zadyszana). Jedzie! jedzie! pani jedzie! i goście walą i chłopstwo się sypie.

JULJAN. A muzyki nie ma, przepaśliśmy!

KASIA. A dyć jest cała banda, czekali przy kopcach granicznych jak

powóz nadjechał, a oni jak nie wyskoczą! jak gdyby z pod ziemi wyrosli, jak nie zagrają, oj! tak ślicznie że aż strach!

JULJAN. Jest muzyka? Muzyka jest? zkład?

WAWRZYNIEC. Nasza domo - rosła, z Walukomiszek.

WSZYSCY (oprócz Adama). Oh!

WAWRZYNIEC. Taka jest historia; mam czterech chłopaków a każdy z nich miał ochotę przystać do kapeli, otóż zdarzyło się przeszłego lata że panicz Adam wszedł pewnego dnia do naszej chaty kiedy chłopcy dudlili, ten na skrzypcach ów na fujarze inny znów walił pałką po stole i ławach. W tym tartasie nawet nie spostrzegli panicza, ale on od tego dnia zajął się mymi chłopcami na serio i dawaj ich uczyć po swojemu, potem wymógł sekret że jak poduczy to

wyprawiemy którego dnia niespodziankę, chłopaki myślałem że poszaleją z radości potem i kilku innych ze wsi do nas przystało i..

ANIELA. A to pewnie piękna będzie muzyka.

LUDWIKA. Nie chciałabym po niej tańczyć.

JADWIGA. Biedna mama musiała się przeleknąć.

JULJAN. No, co raz to lepiej. Kochany Adaś, jak zaprosił tak i wystraszy gości. Nie ma co mówić dobrze użyliśmy czas wakacyi (*W tej chwili za sceną słychać muzykę wszyscy stają jak wryci, Adam zwrócony ku drzwiom środkowym stoi w głębi przed wszystkiemi. Na przodzie sceny Julian i Wawrzyniec, z drugiej strony Kasia wskoczyła na krzesło i wybija takt, muzyka ustaje.*)

WAWRZYNIEC (*tryumfując*). A co?

JULIAN. Ah! bracie ukochany, teraz ja żałuję że marnotrawił czas wakacyjny i nie uczył czego poży-

tecznego naszych pocziwych kmio-
tków. Siostry naśladujcie Adasia.
(*Za sceną śpiew na nutę poloneza.*)

Niech nam żyje dobra Pani!

I niech przyjmie te życzenia,

Które dziś jej niesiem w dani,

W uroczysty dzień imienia.

ANIELA. Adasiu! ja pójdę za twoim przykładem, codziennie zbierać będę młode dziewczynki tu do tego pokoju i uczyć je pisać i czytać.

LUDWIKA. A ja robót ręcznych tylko Adasiu nie gniewaj się na nas żeśmy cię prześladowały.

JADWIGA. Nasz pocziwy braciszek nie umie się gniewać, ale śpieszmy teraz do mamy a jutro nam poradzi jakim sposobem będziemy mogły zaprowadzić szkołę wiejską.

ADAŚ. To będzie za moje trudy najpiękniejsza nagroda! (*Za sceną muzyka; dzwiami środkowemi ukazuje się pani Dobrzyńska. Wszyscy biegną ku niej.*)

WAWRZYNIEC. O zacne moje panienki niech was Bóg błogosławi.

— KONIEC. —

REKA W REKĘ.

Dwóch chłopczyków, spojrzysz dziecię!

Idzie sobie w świat;

Ten w sukmance ów w sajecie,

Niby z bratem brat.

O! naśladuj ich pacholę,

Brać z nich przykład chciej!

Bo wszak dobrą czy złą dolę,

Wspólnie dzielić lżej!

Nie dbaj, czy tam kogo świetne

Szaty będą kryć:

Byle serce miał szlachetne,

Dłoń z nim w dłoni idź!

WŁ. B.



Ręka w rękę.

Nadanie statutu wiślickiego.

Słyszaliście nieraz kochane działki o królach, których historia uczciła przydomkiem „Wielki.“ Jestto najwyższy zaszczyt jaki panującego spotkać może, a nadawano go zwykle za wojenne czyny, za pokonanie nieprzyjaciół kraju i rozszerzenie granic państwa.

I z naszych królów jeden zarobił sobie na przydomek Wielkiego, a zarobił go sobie nie zwycięskimi wojnami, ale dobrobytem, jakiego naród pod nim wśród pokoju zażywał. Król ten imieniem *Kazimierz*, był ostatnim z Piastów, zasiadających na tronie polskim i godnie dokonał dzieła rozpoczętego przez rycerskiego Bolesława, któremu za wojenne czyny nadano przydomek „Chrobrego“ znaczący tyle co dzielny, waleczny.

Polska przez dwa wieki t. j. przez dwónasty i trzynasty szarpana wewnętrzznemi niezgodami, jako też pustoszona od zewnętrznych nieprzyjaciół, dopiero na początku wieku cztertnastego pod królem Władysławem Łokietkiem lżej nieco odetchnęła. Rycerski ten król walczył wprawdzie ciągle jeszcze z wrogami, ale złączwszy naród w jedną całość uwolnił go przynajmniej od domowych niesnasek.

Syn jego i następca, *Kazimierz* inne miał względem swego kraju zamiary, jak ojciec. Wyludnione okolice, popalone wsie i miasta, skutek długoletnich wojen, smutny przedstawiały widok; *Kazimierz* zatem postanowił o ile możności wojen uni-

kać, a starać się o zaludnienie kraju i dobrobyt jego mieszkańców. Zaczyn król postanowił wszystko poświęcić, coby było tylko możliwe, aby państwu swemu od sąsiadów pokój zapewnić. Głównymi wówczas wrogami Polski byli krzyżacy na północy i Jan król czeski na południe. Mimo przykrości jakie musiał od panów polskich znosić, zostawił pierwszych w posiadaniu Pomorza, drugiego w posiadaniu Szląska, aby tylko pokoju nie zakłócali.

Zarzut jednak, jakoby królowi brakło rycerskiego animuszu, jest niesłuszny; dowiódł bowiem tego przymiotu już za życia ojca, a później w zwycięskich walkach z Litwinami, Tatarami i na Rusi Czerwonej, którą do Polski przyłączył. W ogóle jednak unikał wojny, bo widział potrzebę pokoju, i wołał błogim jego skutkom poświęcić niepewne wojenne wawrzyny.

To też dokonał zamierzonego dzieła bardzo chlubnie; słusznie wdzięczny naród nazwał go Wielkim i mówił o nim że „zastawszy Polskę drewnianą, zostawił ją murowaną.“ Przedewszystkiem starał się o zaludnienie pustych okolic, sprowadzał osadników z obcych krajów i pozwalał im przynajmniej z początku uprawiać ziemię bez żadnych opłat. Mieszkańcom miast udzielał różne wolności i przywileje, a wieśniaków starał się wszelkimi sposobami ochraniać od gwałtów, jakich się na nich mogli dopuszczać bogaci a zuchwali panowie. Jeździł

sam po wsiach, dawał łaskawe posłuchanie skargom ciemieżonych włościan i wszelkie nadużycia ostro karcił.

Tak na przykład dwóch panów, Ottona ze Szczekarzewic i Piotra Jasieńczyka, którzy uciskali swych włościan i z psami po polach polując, zboże im tłoczyli, kazał sprawiedliwy król do siebie przywołać i kijami ich obić, jak to oni nieraz z włościanami robili. To też słusznie nadano mu także nazwę króla chłopków.

Kazimierz zbudował wiele klasztorów, kościołów, pozakładał wsie i miasta, a z tych wiele pootaczał silnymi murami, aby się mogły nieprzyjaciołom oprzeć. Był to wówczas taki czas, że Żydów w całej Europie bardzo gnębiono i prześladowano, a ci biedacy zmuszeni uciekać z własnego kraju, przybywali tłumnie do Polski, która na polecenie Kazimierza gościnne im otwierała wrota. Wprawdzie wielu z tych, zapominając dobrodziejstw przez Polaków im wyświadczanych, zaczęło pożyczać pieniądze na wielką lichwę, ale król starał się temu złemu osobnymi przepisami zapobiedz.

Zamożność w całym kraju w zadziwiający sposób wzrastała. Kiedy Karol, cesarz niemiecki z Elżbietą wnuczką Kazimierza, w Krakowie wesele odprawiał, jeden z mieszczan krakowskich Wierzynek, zaprosił wszystkich gości, między którymi było trzech królów i cesarz, do sie-

bie na świetną ucztę; zarazem rozdał wszystkim bardzo bogate dary.

Wreszcie nie tylko o byt materialny starał się wielki ten monarcha, ale pamiętał i o oświacie, jakiej każdy naród potrzebuje; dla tego założył w r 1364. w Krakowie uniwersytet, kiedy w Niemczech wówczas jeszcze ani jednego nie było.

Jedną z najważniejszych czynności Kazimierza było nadanie narodowi pisemnych praw. Już w sprawie włościan i żydów spostrzegł on, jak to jest szkodliwe, że nie ma prawodawstwa ustalonego i spisane, a co gorsza, że dwie główne części, z których się Polska składała, t. j. Wielkopolska i Małopolska, rozmaitemi się sądziły prawami. Dla tego aby temu złemu zaradzić, zwołał w roku 1347 sejm do Wiślicy niedaleko od Krakowa i nakazał spisać wszystkie prawa w jedną wielką księgę, która statutem Wiślickiem się zowie. Głównie pomocnymi mu przy tej pracy byli Skotnicki, arcybiskup gnieźnieński i Jan Suchywilk kanonik wrocławski. Statut ten jest podstawą wszystkich późniejszych ustawodawstw w Polsce.

Prace Kazimierza wydały bardzo pożądany skutek; przy końcu swego blisko 40letniego panowania, miał on tę pociechę, iż mógł widzieć naród swój wewnątrz bogatym i szczęśliwym a na zewnątrz czczonym i poważanym od sąsiadów.

Kazimierz Gorski.

KOGO POCHWALIĆ?

Szło przez kładkę kilku chłopczyków,
Wielkich bardzo swywołników
Więc krzyczeli i skakali..
W tem się most pod niemi wali,
I do wody jeden wpada!
Chłopców zlekła się gromada:
Ten ze strachu w głos narzeka,
Ten się chowa, ów ucieka;
Jeden tylko śmielszy z koła,

Ani krzyczy, ani woła,
Z gotowością na brzeg staje,
Tonącemu żerdź podaje,
Ramię swoje mu nadstawia,
I szczęśliwie go wybawia...
Kogoż dziatki pochwalicie?
Tego, co ocalił życie,
Czy też owych, co płakali,
I jak tchórze uciekali?..

JÓZEF CHMIELEWSKI.

Skapy Kazio.

Mały Kazio jadł przed domem
bułkę z masłem. W tem nadchodzi
ubogi chłopczyzna, staje przed nim i
załawionem okiem patrzy na niego.
A potem tak mówi:

Mój paniczu! daj mi kawałeczek
bułki, bo jestem bardzo głodny.

— Nie dam ci ani kawałeczka — od-
powiedział Kazio — bo i ja jestem
głodny. Ubodzy nie powinni jeść bu-
łek — dodał rozgniewany.

Rozpłakał się chłopiec i szedł
dalej. Mama Kazia widziała to z okna,
zawołała synka i tak rzekła:

— Człowiek żyje nie tylko dla siebie,
lecz powinien także pamiętać o dru-
gich. — Idź zawołaj chłopca, i daj mu
pomarańczę którą sam dostać miałeś..

Kazio spełnił rozkaz mamy, ale
bardzo markotno.

Józef Chmielewski.

SZARADA

(JÓZEFA CHMIELEWSKIEGO).

Przez **j** — mówi kto się pyta,
Przez **m** — rośnie w pośród żyta,
Przez **s** — znajdziesz u rybaka,
Przez **z** — będziesz miał chłopaka;
Przez **t** — znaczy potwierdzenie,
Przez **h** — na tém masz odzienie,
Przez **l** — w sklepach kupujecie,
Przez **r** — w wodzie odnajdziecie.

Rozwiązanie szarady z Nr. 14.

T O W A R.



Książę Henryk Jerzy

LUBOMIRSKI,

kurator zakładu narodowego imienia
Ossolińskich, mąż wielkich cnót i za-
sług w kraju, zasnął w Panu d. 24 b. m.

Dzieci! módlcie się za niego.

OD REDAKCYI.

Z dniem 1 Czerwca, biuro redakcyi mieścić się będzie przy placu *Chorażczyzny*
pod l. 4. (nową), dokąd wszelkie listy przesyłać prosimy.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyę F. H. RICHTER. Z drukarni narodowej W. MANIECKIEGO.



ILLUSTROWANE CZASOPISMO DLA MŁODZIEŻY

Wychodzi co dni 10, pod redakcyą WŁADYSŁAWA BEEZY.

Kosztuje kwartalnie 1 zł. 50 ct. = 1 tal. — z przesyłką pocztową 1 zł. 70 ct. = 1 t. 4 srg.

Martwy ptaszek.

Biedny mały Henryk bardzo był smutny; kilka razy rzucił na mnie zamglonem łzami okiem, podczas gdy płacząc przy oknie stałam. Gdy niańka kapelusz jego z szuflady wyjmowała, zbliżył się do mnie i szepnął: „Nie płacz Helenko, nie płacz, proszę cię!”

Henryczku! rzekła niańka surowo, mama ci zakazała mówić z panną Heleną.

I biedny Henryk oddalić się musiał odemnie. Skoro się ubrał, wyprowadziła go niańka, a ja zostałam sama.

Okno pokoju dziecinnego wychodziło na ulicę; widziałam więc, że niańka i Henryk skierowali swe kroki ku miastu. Henryk mówił coś bardzo żywo i uśmiechał się do niańki,

jakby mu się coś bardzo podobało. Czułam się bardzo nieszczęśliwą. Wiedziałam, że zrobiła źle, i chciałam to matce wyznać, ale nie śmiałam opuścić naszego pokoiku. Wreszcie przyszła mama do mnie sama: „Helenko!” rzekła, usiadłszy koło mnie i ująwszy moje ręce w swe dłonie, „Helenko! tyś mi wiele zmartwienia sprawiła i byłeś dla twego małego braciszka bardzo niedobry. On przecież nie miał złego zamiaru; on kochał małe ptaszę tak dobrze jak i ty. Dlaczego nie chciałeś go pocałować?”

Spuściłam zawstydzona oczy.

— Spodziewam się Helenko, że ci to samej sprawia boleść, żeś była tak niedobry.

— O mamo! — zawołałam, wybu-

chając płaczem, byłam rzeczywiście bardzo niedobłą; proszę cię mamó, przebac mi!”

Mama łagodnie przestrzegała mnie przed nieszczęściem, jakiebym sama na siebie ściągnąć mogła, gdybym i dalej takim wybuchom podlegała.

A teraz rzekła do mnie, muszę cię uwiadomić, że Henryk prosił niańkę, aby go zaprowadziła do miasta, ponieważ chce ci innego kupić kanarka.

Usłyszawszy to, zaczęłam jeszcze mocniej płakać. Matka wzięła mnie na kolana, i tak rozmawiając długośm siedziały.

Dobra, kochana mama! Teraz już mnie opuściła i nigdy już głosu jej na ziemi nie usłyszę. Ale każde łagodne upominające słowo, które od niej słyszałam, bardzo często sobie przypominam.

— Oto już wracają! zawołałam, zobaczywszy niańkę i Henryka. Niańka niosła śliczną klatkę, a twarz Henryczka promieniała radością.

Rzuć mu całus z daleka, zawołała matka, ale ja zbiegłam schodami nadół i otworzyłam drzwi. Byli oni na drugiej stronie ulicy. Henryk jednak, aby prędzej ze mną się spotkać, wyrwał się niańce i biegł ku mnie w poprzek drogi. Wóz ciężko naładowany nadjechał, jeden krzyk!—i delikatne członki Henryka wiły się pod okrutnymi kołami.

Usłyszałam aż do głębi duszy przedzierający się krzyk, który mnie przekonał, że matka wszystko widziała. Wóz pojechał dalej, ale Henryk leżał jak nieżywy.

Z krzykiem nadbiegli ludzie do

wszystkich okien i niańka pospieszyła na to miejsce. Stałam jakby skamieniała ze strachu, obok mnie przeszła matka. Ach, jaki wyraz malował się na jej twarzy! Zbliżyłam się do niej; klęczała na kamieniach około chłopca, zdawała się być bardzo spokojną i pomagała nawet go podnieść. Brat wyglądał, jak nieżywy; oczy zamknięte, złote włoski, krwią obryzgane, spadały mu ze skroni.

Mój Henryku! Henryku! Należałeś raczej do nieba, niż do ziemi, i dla tego tak prędko Bóg cię nam zabrał.

Ktoś, — nie wiem kto, przywołał ojca; przyszło również trzech czy czterech lekarzy. Położyli go w jego pokoiku na łóżku, a niańka powiedziała mi, że Henryk już nigdy ze mną mówić nie będzie.

Chociaż byłam dzieckiem, smutek i ból mój wtedy był tak wielki, że teraz jeszcze dreszcz mnie przechodzi, gdy sobie o tem pomyślę.

Ku wieczorowi przyszedł ojciec i zaprowadził mnie do pokoiku Henryka. Spojrzałam na wątłą jego postać, z drzeniem i płaczem wcisnęłam się w najodleglejszy kąt pokoju. Matka siedziała na krawędzi łóżka i trzymała rączkę Henryka w swojej.

„Tato, odezwał się głos łagodny i cichy, niech mnie Helenka pocałuje.“

Zbliżyłam się szybko do łóżka, a za chwilę rączki Henryka objęły mnie za szyję. Drżałam cała, tłumiąc w sobie płacz, gdyż nakazano mi zachować się spokojnie.

Gdzie jest biedny, martwy ptaszek? zapytał się Henryk otwierając oczy i patrząc się w moje.

Ptaszek leżał na stole w koszyczku, na tém samem miejscu, gdzie go Henryk, wychodząc położył. Wzięłam go i dałam dziecku, które go na poduszce obok swej główki położyło i cicho rzekło: Biedny, biedny mały ptaszek!

Całowałam ciągle Henryczka, a gdy mię ojciec na bok odprowadził, zawołał: Powiedz jej papo, że jest już inny ptaszek.

Wróciłam się i po kilkakroć ucałowałam braciszka. Twarz mej matki była spokojna, ale wyrazu jej nigdy nie zapomnę. Potem ojciec kazał mi odejść.

Gdym została sama, uklękłam i błagałam Boga, aby pozwolił żyć memu braciszкови; rano wszedł do mnie ojciec, łzy spływały mu po twarzy, i oznajmił mi cicho, że Henryk już nie żyje!

Matka ciężko zachorowała, tak, żeśmy myśleli, iż nas opuści i po-

spieszy za swoim synem do nieba; ale Bóg miłosierny dozwolił drogiej mamie zostać jeszcze przy życiu.

Położono Henryka w małą trumienkę; widziałam go, gdy w niej leżał, a ojciec kazał kilka nierozwiniętych różyczek w zimne rączki mu włożyć. Potem wywieziono go z domu. Następnego dnia była niedziela; niańka powiedziała mi, że Henryk jest teraz między aniołkami w niebie, że jest szczęśliwy i nigdy nie dozna już żadnego bólu. Ale mnie przecież było smutno bez Henryczka, i czułam się bez niego bardzo nieszczęśliwą i bardziej jeszcze osamotnioną.

* * *

Kochane dziecieczki! Strzeżcie się popuszczać wodzy złym skłonnościom. Nie mówcie brzydkich słów, jakie się wam nasuwają, i pamiętajcie o tem, coście przed chwilą usłyszały.

LISTY DO MŁODYCH PRZYJACIOŁ.

III.

DO JASIA M.

Zapytałam ciebie, mój Janku drogi: czy lubisz czytać? Odpowiedziałeś mi, że bardzo. Na to ja znowu: „Cóż czytać lubisz najwięcej? Odpowiedziałeś mi, że Promyk. To też zrozumiałam duszyczkę twoję od razu: Promyk uczy kochać Boga, rodziców, uczy kochać Polskę i braci polskich, a ty polskiem jesteś dziećciem! Rodzina twoja dawała zawsze wielkie dowody miłości dla kraju i poświęceń, a w twojem dziećciem

serduszką już dzisiaj to gorące pręczywam uczucie.

W roku 1831, gdy Polska pod zaborem Moskwy usiłowała zrzucić ciężące ję jarzmo, twój dziadek i jego czterech braci, stanęło na pierwszy ogłos powstającej ojczyzny w bitnych szeregach wojska polskiego. Jeden z braci dziadka, pan Józef, został rannym 19 lutego pod Grochowem. Twój dziadek, także pod Grochowem 25 lutego poległ bohatersko,

rzucając się na nieprzyjacielską armatę. Brat drugi dziadka, pan Franciszek, zginął w krwawej walce pod Rajgrodem. Brat trzeci, innego nazwiska, lecz syn jednej z tamtych matki, padł pod Ostrołęką 29 maja, że i ciała jego odszukać nie było można. Współczucie dla żałobnej, osieroconej rodziny we wszystkich ozwało się sercach. Zwłaszcza też dla sędziwej matki, która aż trzech synów straciła! A gdy jej w skutek tej wielkiej boleści wysoki urzędnik swoje oświadczył ubolewanie, odrzekła mu Polka obywatelka.

— Bóg tak zrządził! Żyje mi jeszcze dwóch synów, i tych ofiarowałam ojczyźnie.

Brat czwarty twojego dziadka, generał, dostał kontuzji. Po powstaniu zostawał wśród emigracji polskiej w Paryżu i na obcej umarł ziemi.

W czasie pamiętnego powstania r. 1863 poległ bohatersko za wolność Polski ś. p. Witold T., z gorącą duszą Polak, skory do poświęceń, pod Ignacewem d. 9 maja, ukochany brat matki twojej. I zginął mężnie a męczeńsko twój krewny po ojcu, ś. p. Ludwik M. pod Komorowem w Lubelskiem, bojując przez miesiące kilka i za waleczność swoją wyższym wojskowym zaszczycony stopniem.

Cześć im i pamięć niezatarta nigdy!

Mając tak podniosłe wzory, mój Jasiu, już we krwi przyniosłeś z sobą to wielkie uczucie, po miłości Boga najwyższe. Lecz dziecko drogie, kochając Polskę sercem całym, potrzeba ją także kochać rozumem, wolać silną i wytrwałą pracę. Kraj nasz potrzebuje ludzi z rozumem i nauką. Zatem każdy młodzian polski powinien do nauk przykładąć się gorliwie, uczyć się, uczyć pilnie, wytrwale, z zamiłowaniem i pracować nad sobą, ażeby stał się pożytecznym dla Polski. Bo nie tylko orężem bronić można kraju i współrodaków, ale rozumem, nauką i pracą. Częstokroć nawet i z lepszym skutkiem, aniżeli z pałaszem w dłoni. Ucz się więc, polskie chłopię, ażebyś przyniósł chwałę Bogu, pociechę rodzicom, pożytek ojczyźnie i współbraciom!

Współbraciom, mój Janku, współbraciom wszystkim, czy to urodzonym w pałacach, czy też w chatkach ubogich, bo Wielki Ojciec w niebie dla wszystkich dzieci swoich zarówno świat stworzył, a kto Polskę kocha, ten kocha i jej synów.

Bóg z tobą, chłopię kochane!

PAULINA WILKOŃSKA.

Biblioteka Ossolińskich.

Zakład narodowy imienia Ossolińskich, założony na początku bieżącego stulecia przez Józefa Maksymiliana hr. z Tenczyna Ossolińskiego i poświęcony wedle słów założyciela „narodowi i naukom,” godnie od-

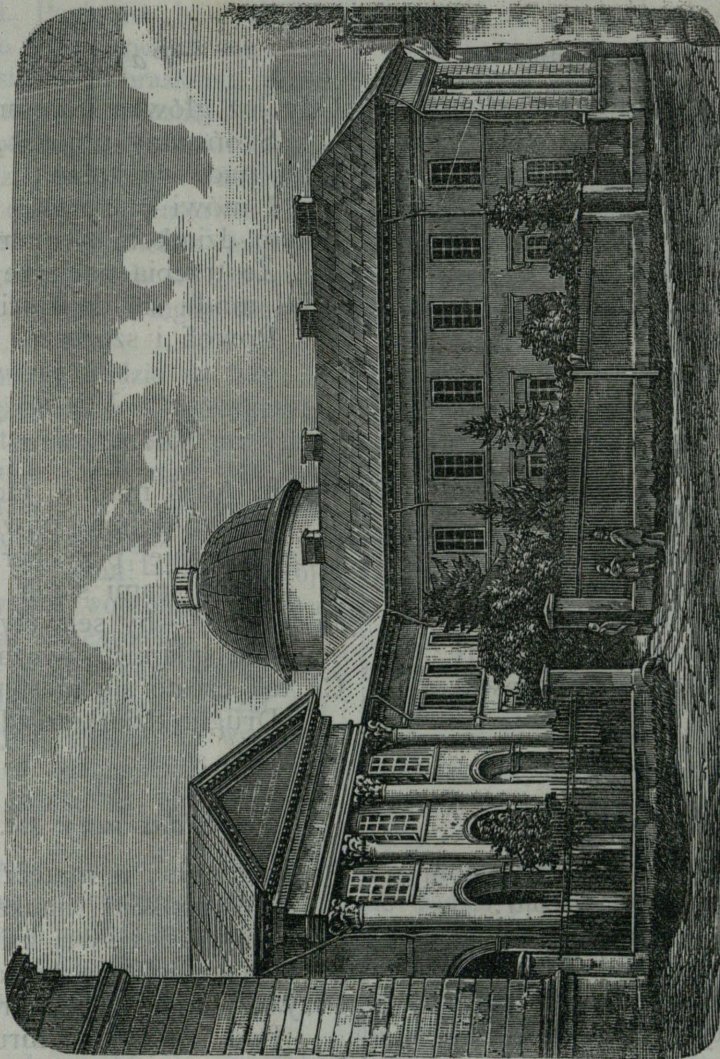
powiada swemu zadaniu i coraz obfitsze wydaje owoce.

Znajdziesz w tym gmachu wszystko, cokolwiek ma jaką styczność z naszą przeszłością, zebrane i na użytek publiczny oddane. Główny dział stanowi

księgozbiór, który dziś się już składa z 62,000 książek głównie polskich, założony pierwotnie ze szczupłej liczby 20000 sztuk piśmiennych.

ko też pomniki wieków i osób zeszlých.

Takim to sposobem podaje zakład ten każdemu sposobność kształcenia się na wzorach świetnej prze-



Biblioteka Ossolińskich.

Drugim działem zakładu jest tak zwane Muzeum, w którym są pomieszczone różne wzory i dzieła sztuki, ja-

szłości i badania rzeczy ojczystych i wzywa niejako do tego obowiązku, otwierając przed każdym swe skarby.

Al. H.

DZIEŃ GRZECZNEGO ADASIA.*

I.

Adaś wstaje.

Ledwie pierwszy brzask słoneczka
Przedrze nocy mgłę;
Adaś zrywa się z łóżeczka
I ubiera się!
Leniuch tylko do poduszek
Przylega jak głaz;
Ale Adaś nie leniuszek,
Wstawać lubi wczas.

II.

Adaś ubiera się.

Dopatrzyłem raz, niechcący,
Dzieci krnąbrne, złe,
Co czekają aż służący
Przyjdzie ubrać je.
To papinki, to pieścioszki,
Aż wstyd za nie wam!
Adaś w suknie i pończoszki
Ubiera się sam.

III.

Adaś myje się.

Znam ja chłopca, który stroni
Od wody ze źródłu,
Do mycia go mama goni
Po całym pokoju.
Biega brudny po ogrodzie,
Uparty jak kózka;
Ale Adaś w zimnej wodzie
Jak ryba się pluska!

IV.

Pacierz.

Gdy już główka uczesana,
Skończony ubiorek,
Adaś pada na kolana
I mówi paciorek.
Innym dziatkom — mama grozi,
Że trzepią pacierze:
Adaś modli się do Bozi,
Powoli i szczerze.

V.

Śniadanie.

Potem Adaś mamie, tacie
„Dzień-dobry“ powiada.
I najgrzeczniej przy herbacie
Z rodzicami siada.
Je powoli — by serwety
Nie splamić, uważa;
Co tak często się niestety!
Drugim dziatkom zdarza.

VI.

Adaś uczy się.

Po śniadaniu, u mateczki
W pokoju, nauka;
Grzeczny Adaś swej książeczki
Po kątach nie szuka.
Przy czytaniu się nie kręci,
Pod nosem nie mruczy,
I na zawsze ma w pamięci,
Co się raz nauczy.

WŁADYSŁAW BIELZA.

*) Z przygotowanego do druku dziełka autora, pod tyt. *Wiązanie Adasia*.

T A D Z I O.

Tadzio dobre miał serce, kochał rodziców swoich, bo i oni go też bardzo kochali. Ponieważ lubił się bawić, rodzice więc kupowali mu różne zabawki, książki z obrazkami, papier i ołówki, farby i penzliki, to też dobry chłopczyzna zawsze miał zajęcie. A przychodził do niego w odwiedzin także mały chłopczyk Gustawek, którego Tadzio przyjacielem nazywał. Bawili się razem, nigdy się nie sprzeciali, bo dobre dzieci nigdy tego nie czynią.

Raz powiada Tadzio do taty:

— Mnie się już zabawki uprzykrzyły, każ mię tato uczyć. Mój przyjaciel Gustawek umie już czytać, wie tyle ciekawych rzeczy, a ja się przy nim nieraz wstydzić muszę!...

— Dobrze, mój synu! — odpowie ojciec — pochwalam twoje chęci. Wkrótce będziesz miał nauczyciela.

I tak się niebawem stało, jak tato powiedział. Tadzio zaczął się pięknie uczyć; uważać na wszystko dokładnie, co mu nauczyciel mówił, bo inaczej nauka na nicby się nie przydała.

Ale pewnego dnia, Tadzio był jakiś kapryśny, niechętnie się uczył; owóż nauczyciel zapisał w dzienniczku smutną dla Tadzia uwagę.

Nauczyciel odszedł, a przybył dziadunio.

— No, jak tam chłopcze, poszła dzisiejsza nauka? — zapytał Tadzia.

Tadzio poczerwieniał na te słowa,

spuścił wzrok do ziemi i cięchaczem wymknąwszy się za drzwi wybiegł do ogrodu.

— Ha! widać źle poszło; chłopiec nie chce się przyznać, — pomruknął dziadunio i pokiwał głową.

Od tego czasu minął tydzień. Goście byli w pokoju, wtem przychodzi Tadzio i mówi:

— A, jaki ze mnie pilny uczeń!... Wię dziadzio, ja mam dzisiaj w dzienniczku bardzo dobrze!...

— A ślicznie, ślicznie, moje dziecię! — przerwie dziadunio — a co to było przed tygodniem?... Czemu się wtedy nie przyznałeś?... Podobą mi się bardzo, żeś się poprawił, ale mi się mi podobać nie może, że się sam chwalisz. O, to bardzo nie pięknie! O, moje dziecię, to zarozumiałość wielka... Skromność, prostota, to są śliczne cnoty! Kto się sam chwali, może być obłudnym człowiekiem. Obłudnikiem każdy prawy człowiek gardzić musi... Strzeż się dziecię samochwalstwa; ludzie dawniejsi dobrze mawiali: Własna chwała nie miły ma odór.

Chciał dziadunio coś jeszcze mówić, ale Tadzio pomieszany wybiegł z pokoju, a słowa dziadunia długo brzmiały mu w uszach. I odtąd nigdy sam się już nie chwalił, a nawet gdy go w obecności jego chwalono, udawał, że nie słyszy, albo wychodził z pokoju.

Józef Chmielewski.

K O Z A.

W górzystych okolicach, miejsce ocieźałego bydła zastępuje lekka koza, wdrapująca się zwinnie na skał wierzchołki. Pochodzi ona od dzikiej kozy, która żyje w górach Persyi i w krajach sąsiednich. Już za młodu odznaczają się kózki zwinnym skokiem i szalonymi susami. Główną ich uciechą jest wlaźć na kupy drzew lub kamieni, na skały, wschody itp. Nieraz trudno kozie ztamtąd się wydostać; ale nie zdejmuje jej ani strach ani zawrotu nie dostaje. Nad strasznymi przepaściami chodzi koza spokojnie.

Inny rodzaj kóz, nazwany gienzami, zamieszkuje Alpy szwajcarskie, sabaudzkie i tyrolskie i również choć w małej liczbie znajduje się w naszych Karpatach. Gienzy żyją stadami od 5 do 40 sztuk, które się pasą na trawiastych miejscach, po niedościgłych wierzchołkach gór, w pobliżu lodowców i wiecznego śniegu.

Polowanie na gienzy połączone jest z wielkiem niebezpieczeństwem.

Jednakże w górskich okolicach jest dosyć zuchwałych strzelców, którzy ścigają za niemi z narażeniem własnego życia, a to dla tego, że raz upatrują w zabiciu gienzy sławę, powtóre, że skóra i mięso ich drogo bywa płacone.

Daleko mniej niebezpiecznem jest polowanie na jelenie i sarny, żyjące w naszych lasach, a które również do rodziny kóz należą. Chociaż te zwierzęta pięknie na oko wyglądają, nie bardzo lubią ich gospodarze, gdyż po ogrodach polach i łąkach



zrządzają większą szkodę, aniżeli warte ich mięso i skóra. Po niektórych wszakże parkach chodzą ułaskawione sarny, które bezpiecznie, z

dzwoneczkami na szyi, przechadzają się pomiędzy drzewami. Sarna, która jest tylko mniejszym gatunkiem jelenia, ma też stosunkowo mniejsze rogi niż jelen, a łania nie ma ich wcale.

* * *

SZARADA

(JÓZEFA CHMIELEWSKIEGO).

Przez **p** choć nie nóż, lecz kraje,
Przez **d** niechętnie się daje,
Gdy mu głoski nie dodacie,
U mydlarza go poznaćcie.

Rozwiązanie szarady z Nr. 15.
jak, mak, sak i t. d.

MYŚLI I ZDANIA.

— Największą niedorzecznością jest, wychwalać i wpajać w drugich te cnoty, których sami nie wykonywamy.

— Staraj się skarbić przyjaźń ludzi poczciwych, aby ci przeszkodzili być nieuczciwym.



ILLUSTROWANE CZASOPISMO DLA MŁODZIEŻY

Wychodzi co dni 10, pod redakcją WŁADYSŁAWA BEEZY.

Kosztuje kwartalnie 1 zł. 50 ct. = 1 tal. — z przesyłką pocztową 1 zł. 70 ct. = 1 t. 4 srg.

BOŻE DARY

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Drogię to, drogie te lata wasze, moje dzieci kochane, choć wam tak pilno pożegnać się z niemi, choć tak wam jak każdemu z nas, serce bije na myśl zrzucenia sukienek i wyswobodzenia, aby samym pójść na szeroki, Boży świat, kosztować wszystkiego i zapoznać się ze wszystkim, na co zazdrośnie z okna rodzicielskiego domu patrzycie!

Ale gdybyście wiedzieli, jak później do siwego włosa, człowiek tęskni i żałuje tych dni, które dla was tak pomalutku się wloką, jak mu drogie te łyzy nawet, które wylał będąc dzieckiem, słodsze od niejednego późniejszego uśmiechu...

Dzieci! — wy mi może nie uwierzycie... ale tyle to szczęścia w życiu, co lat młodych i dni jasnych zarania...

Z kolebki wychodzimy, owiani jeszcze tchem niebieskim, pod wrażeniem snów zaświatowych i przynosim z sobą w duszy zapas na całe życie.

Pomyślcie tylko... spojrzycie w koło, jak się wam pięknie wydaje świat w blasku tego, coście z sobą z nieba przynieśli... jak wam bije serce do wszystkiego co piękne i pocziwe, jak nie wierzycie w złe nawet...

Otóż nie spieszcie się do naszej starości i smutków, zostańcie przy waszem weselu i wierze, — wasz świat

jest prawdziwym światem, nasz, cieniem jego i skeletem; my starsi to tyleśmy tylko coś warci, o ile nam się udało ze skarbów młodości uratować cząsteczkę...

Ażebym was przekonał, że prawdę mówię, powiem wam o tem bajeczkę... Bajka, to dla niektórych zabawka, ale jak się nad nią pomyśli, na dnie jej zawsze znajdzie się ziarenko nauki.

Wiecie to, że niektórym świętobliwym ludziom dano jest dalej iść niż ziemia, i wędrować w te kraje, do których duszom tylko iść wolno i to wybranym. Otóż był raz taki staruszek bardzo zacny i święty, który żył we Włoszech.

Włochy, jak wiecie, są ślicznym krajem, który oblewa morze błękitne, stroją góry precudne, i oceniają pomarańcze, laury i cytryny... Ów staruszek żył w jednym z miast włoskich najpiękniejszych, we Florencji, mieście kwiatów, a przepędziwszy młodość z szablą, wiek późniejszy przy uprawie roli, gdy bardzo zaniemógł, począł pragnąć spoczynku i tak sobie postanowił, że chodzić będzie, modlić się, myśleć o Bogu i nauczać maluczkich.

Wziąwszy więc kij w rękę, powędrował sobie od wioski do wioski, powoli. A gdzie stanął, to dzieci zgromadziwszy koło siebie, rozprawił i opowiadał im różne ciekawe dzieje i piękne rzeczy. A że to tam ciepło i jasno i pogodnie, a kraj ludny i zamieszkaný, — chodził sobie powoli i spędzał godziny bardzo wesoło, bo mu nigdy na schronieniu, posiłku i słuchaczach nie brakło.

Ale bywały na niego takie dni, że jak się zamyślił, jak się zadumał, to cały dzień na spiecu nieruchomy przesiedział, słowa do nikogo nie mówiąc i kiedy mu to odeszło, jakby się z głębokiego snu przebudził.

Pytali go wówczas, co mu było, ale odpowiedzieć nie chciał, zbywał różnie, lub uśmiechał się i wstydził, składając na jakąś chorobę. A nie była to choroba, bo gdyby bolał, toby potem znać to było na nim, zaś przeciwnie, weselszy i z jaśniejszą twarzą się przechadzał, i po takim zachwyceniu wstawał rzeświejszy daleko, z nierównie jaśniejszą twarzą i jakby upojony...

Nikomu jednak nie powiedział nigdy co mu było... aż go raz dzieci napadły i jak zaczęły prosić, całować, uśmiechać się, a dopytywać, tak popatrzywszy w koło, żeby czasem ich kto nie podsłuchiwał, przemówił do nich następnie.

Jednego razu, gdy w zachwyceniu duszą został porwany na drugi świat, wcisnął się przez drzwi przymknięte, do samego nieba.

Była to właśnie chwila, gdy sam Pan Bóg wyprawiał ztamtąd młodziuchne duszyczki na pielgrzymkę życia, błogosławiąc je na drogę. Każdej z nich zawieszał torbeczkę z różnemi darami... ale staruszek dojrzeć nie mógł co się tam w nich znajdowało, bo choć bardzo święty, ale oczyma świeżo z ziemi przeniesionemi pochwycić ich nie mógł.

Szczęściem stojący u drzwi jakiś święty mąż, widząc ciekawość staruszka, zbliżył się doń i zapytał: — czyby chciał widzieć co się w owych torebkach znajduje?

— O! i bardzo!

— Wiedz więc, rzekł święty, że żadna dusza nie wychodzi ztąd bez darów niebieskich, któremi szczodra dłoń sam Pan Bóg ją uposaża, ale wszystkie potem powracając nazad, muszą zdać ścisły rachunek ze skarbu im powierzonego.

Spojrzyj tylko, dodał święty, przez to okienko, którem widać drogę ziemską i idące po niej duszyczki, co się to z temi niebieskimi torbeczkami dzieje! — Staruszek, że był bardzo ciekawy takich rzeczy, głowę wychylił przez okienko i spojrzał... Gościńcem szły tysiące duszyczek z torebkami na piersiach pełnemi... a szlak był ich pełen i mrowiło się tego niezmierne mnóstwo... nie rychło rozpatrzył się stary w tym tłumie, ale powoli okiem poszedł za jedną, potem za drugą duszą i rozpoznał jak się to dary Boże marnują. Jedni szli śpiewając i rozsypywali je po drodze przez nieuwagę, drudzy padali niespojrzawszy pod nogi i rozrzucaли co mieli w torebce, innym zabiegali drogę filuci i za lada cacko wyfrymarczali najdroższe zapasy życia... a mało bardzo było takich, co by donieśli do mety co im Bóg dał, całe, lub pomnożone. Najczęściej odarty i nagi przychodził człowiek do kresu, i dopiero u drzwi niebieskich spo-

strzegł, że próżną niósł torebkę. — Byli i tacy, co chronili całą spuściznę swą, ale gdy przyszedli nazad do porachunku, pytano ich, czemu z Bożych darów nie korzystali i nie pomnożyli ich pracą?

Niektórzy zamiast brylantów niebieskich, wracali z torebką błota i piasku... inni z nalaną łzami gorzkiemi i żalem... Ale tych staruszek Ojciec niebieski do serca przytulał, bo łzy i żal warte były drogich kamieni. Patrzył się tak, a patrzył staruszek i byłby tam niewiem jak długo pozostał, taki to był widok cudny tych ziemskich pielgrzymów w białych z początku sukienkach, które się brukały, prały we łzach, i znów świeciły, i znowu czerniały... gdyby święty ów nie odciągnął go od okienka.

Zdawało się mu, jakby ze snu się przebudził i znalazł się znowu na tym kamieniu, na którym siedział przy drodze.

Ale pamięć tego widzenia przez całe się w nim nie zatarła życie; przypomniał sobie potem, z czym wyszedł na pielgrzymkę życia i z czym z niej powinien powrócić; zbierał to co utracił, pomnażał co zebrał, a gdy przyszedł do rachunku, pewnie łąką żalu pocziwiał, — resztkę torebki dopełnił.

WĘDROWIEC.

Ach! widzę, już chatka

Cerkiewka już blisko...

I ojciec i matka,

I własne ognisko!

O! matko jedyna!

Gdym rzucał twe progi,

Mówiłaś do syna:

„Powracaj, mój drogi!”

Jam poszedł i zwiedził,
Świat cały do koła...
Lecz tęskniąc jam śledził,
Do mego — dróg — sioła.

Po latach dziś wielu,
Po długiej niedoli,
Stałem u celu,
Na ojców mych roli.

O! spieszę, o spieszę!
Wędrowiec z daleka;
Bo matka mię w strzesze,
Na progu już czeka!

AL. H.

SOLON I KREZUS.

Już temu bardzo dawno, bo na VI. wieków przed narodzeniem Chrystusa, żył w Atenach człowiek słynący mądrością, imieniem Solon. Największym dowodem tej mądrości było prawodawstwo, jakie on swemu rodzinnemu miastu nadał, a które utrwaliło szczęście jego współobywateli. Kiedy tak stosunki w swej ojczyźnie uporządkował, wybrał się na dziesięcioletnią podróż, wymógłszy wpraw na ziomkach przyrzeczenie, że przez te 10 lat nic w jego prawodawstwie nie zmienia.

Opuściwszy na okręcie Grecyą, udał się do Egiptu, następnie do Azji, a zwiedzając rozmaite miasta małej Azji, przybył nakoniec do Sardes, stolicy króla Lidyi, bogatego Krezusa. Krezus dowiedziawszy się, że słynny mędrzec grecki w jego głównem mieście bawi, kazał go prosić do siebie i bardzo go wspaniale i gościnnie przyjmował.

Pokazywał mu swoje pałace, oprowadzał po swoich skarbcach, gdzie mnóstwo złota, srebra, drogich kamieni i kosztownej broni nagroma-

dzone było, że od blasku ich aż się w oczach ćmiło. Solon spokojnie spoglądał na te skarby, któremi zdawało się, możnaby cały świat zakupić, tak że Krezus nie mogąc sobie wytłómaczyć tego, iż Solon nie wyraża mu swego podziwienia, zapytał się go, kogo też mniema najszcześniejszym na ziemi?

Solon wymienił mu kilku obywateli ateńskich, którzy na usługach ojczyzny życie swe przetrawili, a po śmierci zostawili po sobie dobre imię u potomnych. Na dalsze badania Krezusa wymienił mu Solon jeszcze dwóch młodych Ateńczyków, którzy starą swą matkę kapłankę, przywiózłszy do świątyni bóstwa, w przedśionku tej świątyni snem wiecznym posnęli.

Krezus zdziwiony, że Solon nie o nim nie wspomina i wcale go do najszcześniejszych ludzi nie liczy, zapytał się go, co też myśli o nim, który jest tak potężnym królem, który takie ogromne posiada skarby? Solon odpowiedział mu na to, że żaden człowiek nie może się przed śmiercią uważać za szczęśliwego, bo

nie wie, co go jeszcze spotkać może. Krezus dziwił się tym tak dziwnie dla niego brzmiącym słowom mędrca, ale nie wiele na nie zważał; a Solon

wschód od Lidyi, wśród narodu ubo-
giego, bo zajmującego się pasterstwem,
ale dzielnego i bitnego, potężny zdo-
bywca, imieniem Cyrus. Ten na czele



Wędrowiec. (Str. 131.)

wkrótce opuścił stolicę króla lidyjskiego.

W kilka lat potem, powstał na

swoich Persów obalił wielkie państwo Medów i kilka innych mniejszych. Krezus widział, że wkrótce będzie

musiało przyjść do wojny między nim, a Cyrusem, tem bardziej, że chodziło mu o przywrócenie na tron swego sprzymierzeńca, króla medyjskiego Astyagesa.

Ponieważ jednak wówczas żadnej ważniejszej czynności nie podejmowano, bez zapytania się wyroczni o skutek, więc i Krezus wysłał posłów do wyroczni z zapytaniem, jak zamierzona wojna dla niego wypadnie? Wyrocznia odpowiedziała: „Gdy przejdiesz rzekę Halys, wielkie państwo runie.“

Krezus zatem, tłómacząc sobie te słowa na swoją korzyść, myślał, że gdy przejdzie tę rzekę państwo perskie upadnie; wydał więc Cyrusowi wojnę. Ale jakże srogo się zawiódł! Cyrus wojsko jego pobił i rozproszył, kraj cały zdobył i stolicę Lidyi Sardes wkrótce zajął. Tak sprawdziły się słowa wyroczni, runęło wielkie państwo, ale państwo Krezusa.

On sam dostał się do niewoli Cyrusa, który kazał go na wielkim stosie drzewa żywcem spalić. Już zapalono stos, kłęby dymu otaczały bogatego niegdyś a dziś opuszczonego króla lidyjskiego, gdy ten przypomniał sobie odwiedziny i słowa Solona. Boleścią ogarniony zawołał: „O Solonie, Solonie, prawdę mi powiedziałeś!“

Cyrus, który był tam obecny, usłyszawszy te słowa, których znaczenia nie znał, kazał ogień zagasić i Krezusa przed siebie przyprowadzić. Wtedy Krezus opowiedział mu całe zdarzenie z Solonem, a Cyrus, pamiętając na zmienność rzeczy ludzkich i na słowa greckiego mędrca, że przed śmiercią nikt nie może uważać się za szczęśliwego, darował Krezusowi życie, zatrzymał go przy sobie i często rad jego zasięgał.

K. G.

Mylne oskarżenie.

Nie z pustoty, ale z podziwu lubił Leonardek ustawicznie patrzeć do zwierciadła i całemi godzinami spoglądać raz na szklaną jego powierzchnię, drugi raz na odwrotną stronę, bo chciał koniecznie uchwycić tego, co się mu za szkłem przedstawiał.

— Jak się on tam zmieści? — dumał nieraz, kiedy zwierciadło takie cienkie?

I nie mogąc niczego wymyślić, odchodził zmartwiony i umyślnie czem innem się zajmował, aby zapomnieć o straszędzie, które się chowa w zwierciadle.

Niebawem poszedł na łąkę, a chcąc urwać piękny kwiatek, zbliżył się do stawu na którego brzegu rósł właśnie ów kwiatek. Ale jakże się zadziwił, gdy na gładkiej powierzchni znowu zobaczył człowieka!

— Aha, to pewnie jest ten topielec, który topi ludzi! mówił do siebie. — Nie głupim zbliżać się do niego!

Odsuwał się powoli, i mniemany topielec zniknął gdzieś na spodzie.

— A to się on chowa pod brzeg, a gdy kto się przysunie, to zaraz wychodzi!...

Ciekawość Leonardka była nie do opisania.

Przemogła w nim na koniec chęć zobaczenia jeszcze raz owego topielca. Zbliży się po cichu, na palcach, aby topielec nie usłyszał. Spogląda ciekawie, a tu topielec wystawia najprzód głowę, potem ramiona, piersi i ręce, a wreszcie pokazał się cały.

Leonardek stanął spokojnie i słucha. Topielec stał także nieporuszenie.

Myśli sobie tedy Leonardek:

— O! to przecież jakaś nie straszliwa istota, kiedy mię nie chwyta od razu... To pewnie będzie jeden z tych ludzi, o których mi mówiła moja piastunka, co żyją pod wodą... Tam to dopiero musi być świat ciekawy!... Tam każdy ma sobie podobnego... Tak przynajmniej mówiła moja piastunka...

Wtem spojrzał na ową istotę. Nie wydała się mu straszną. Uśmiechnął się do niej, ona uśmiechnęła się do niego. Wystawia rękę, ona robi toż samo. Zgniewało to Leonardka nie mało, że owa istota śmie jemu podrzeźniać się, wyciąga silnie rękę i zaczyna grozić. Na złość osoba w wodzie również mu grozi.

— Czy ty mię nie przestaniesz przesładować — krzyknął z gniewem: myślisz że ja boję się ciebie?...

To mówiąc wyprężył nogę, a chcąc mocno uderzyć ukrytego człowieka, od razu wpadł do wody.

Czemprędzej wydrapał się na wierzch, otrząsł się z wody, a ubiegłszy kawałek drogi, stanął obejrzał się ku stawkowi i zawołał:

— Poczekaj ty niegodziwcze! dostanę ja cię z tamtąd; nie wepchniesz ty mię drugi raz do wody — tylko pierwszej muszę cię oskarżyć przed moją mamą.

W domu zaledwie przyszedł do słowa, mama się go już pyta:

— A cóżes ty zrobił ze sobą?... Któż cię tak skąpał?...

— A chłopiec jeden złośliwy — odpowiedział Leonardek.

— Jaki chłopiec? pyta się mama.

— A ten, co się chowa w stawku!... Z początku śmiałem się do niego! on uśmiechał się także. Kiwałem ręką; on toż samo czynił. Zgniewałem się bardzo, chciałem go uderzyć nogą, ale on pochwycił mię silnie i wepchnął do wody. O, dam ja mu! Moim pałaszem utnę mu głowę!...

Rozśmiała się mama i tak wyrzekła:

— Dzisiaj wnosisz oskarżenie sam na siebie. Czy to dobry chłopczyk powinien się gniewać? We wodzie odbiła się własna twoja postać. Tam żadnych nie ma strachów, ani zmyślnych topielców... Ludzie odbijają się we wodzie tak, jak w zwierciadle, w którym także nikt nie siedzi. Gdybyś był do wody patrzył przyzwoicie, byłoby ci się nic złego nie stało, ale żeś przeciwnie uczynił, ukarałeś się sam za nierozsądny postępek.

Leonardek zmieszał się po tych słowach, lecz i ucieszył się bardzo że we wodzie nie ma topielców, że w niej jak i w zwierciadle tylko się ludzie odbijają.

Józef Chmielewski.

SPRZECZKA.

Janek z Helenką wiódł sprzeczkę od rana.
Ale to sprzeczkę nie małą!
O to, jak lalka ma być dziś ubrana,
W żółtą sukienkę czy w białą?

Nie wiem, bom wyszedł z samego początku
W którą się lalka ubrała...
Widziałem tylko jak Jaś w jednym kątku
W drugim Helenka płakała...

A tutaj dziatwa wśród świeżej murawy,
Wyprawia figle i płąsy:
Helenka z Jasiem aż drzą do zabawy!
Ale wstrzymują ich dasy.

Tak się dąsali do późnego zmroku,
Gorzkimi pojąc się łzami;
Aż ojciec rzekł im — patrząc na to z boku:
Niezgodni, karzą się sami!

WŁ. BEZZA.

SZARADA

(JÓZEFA CHMIELEWSKIEGO).

Gdy nastanie chwila wiosny,
Słychać ptaków śpiew radosny,
I nowe się życie rodzi: —
Wtedy z ziemi *to* wychodzi.
Weź mu głoskę z przodu, z końca,
Mieć małego będziesz gońca,
Co donosi ci nowiny,
Od przyjaciół, od rodziny;
Raz, daleko bywa gnany,
I jest miły, pożądany;
Czasem smutną wieść przynosi,
Że aż oko łzą się zrosi.

Rozwiązanie szarady z Nr. 16.

plug, dług, ług.

MYŚLI I ZDANIA.

— Pewien filozof, podczas burzy znajdując się na okręcie z bezbożnymi ludźmi, którzy bogów wzywali, żeby ich uratowali z tej toni, rzekł im. Uciszcicie się, żeby o was bogowie nie wiedzieli że tu jesteście.

— Filip król Macedoński, zastawszy Diogenesa na cmentarzu, spytał się, co by tam robił? Ten rzekł: szukam kości twojego ojca królu! ale ich rozeznac nie mogę, gdyż wszystkie które tu znajdują się jednakowe.

— Pewien obywatel grecki, niekoniecznie cnotliwego życia na drzwiach domu swego położył napis: niech nic złego tędy nie wchodzi: Diogenes czytając to, zapytał: „a którądyż wejdzie pan domu?”

OD REDAKCYI.

W trzecim kwartale **Promyk** wychodzić będzie na tych samych co dotąd warunkach. Obok prac Pauliny Wilkońskiej, Berlicza Sasa, Józefa Chmielewskiego, Wołodego Skiby, Kazimierza Gorskiego i w. i. drukować będziemy powiastkę pióra Wincetego Sarneckiego pod tytułem **Piaskarz**. Wszyscy prenumeratorowie tak dawni jak i nowo przybywający, otrzymają jako **premium** obraz kolorowany, przedstawiający Warszawę w pamiętnym dniu 8 Kwietnia 1861 r. Przesyłkę tej premii dla zamiejscowych prenumeratorów uskutecznić będziemy za pobraniem 20 ct. kosztów opakowania.



Prosimy o wczesne odnawianie przedpłaty.



Wydawca i odpowiedzialny za redakcyę F. H. RICHTER. Z drukarni narodowej W. MANIECKIEGO.



ILLUSTROWANE CZASOPISMO DLA MŁODZIEŻY

Wychodzi co dni 10, pod redakcyą WŁADYSŁAWA BEŁZY.

Kosztuje kwartalnie 1 zł. 50 ct. = 1 tal. — z przesyłką pocztową 1 zł. 70 ct. = 1 t. 4 srg.

ŻÓŁTA RÓŻA.

(Podanie.)

Nastąpiła miła, wspaniała wiosna. Pełna wdzięku krasi się złocistym światłem słońca; śnieg topnieje, a ziemia od końca do końca, powleka się prześliczną sukienką nadziei, że po śnieżnych zawiejach i ostrych wiochach błogie nastaną czasy. O, jakże pięknie naokoło! Z pośród młodej trawki wychylają kwiatki swe różnobarwne główki i balsamiczną woń wznoszą ku niebu, jakby dziękować chciały za swe życie kochanemu Stwórcy.

Przejdźmy się po ogrodzie! Ciepły wietrzyk igra z drzew listkami, a co tu kwiatów rozmaitych! Jeden piękniejszy od drugiego. Lecz patrzymy

tam dalej! Widać krzak z żółtem kwieciem. Z żółtem kwieciem? i cóż to mogą być za kwiatki?—zapytacie. Jestto krzak żółtej róży, na której kwiatkach czytać możemy przestrożę, by się wystrzegać pychy, zawiści i zazdrości.

Nieszczęśliwy ten kwiatek nie zawsze nosił na sobie tę żółtą, raziącą barwę, jak o tem poucza nas podanie. Miał on dawniej śnieżystą białość lili i dopiero w skutek złej woli został ukarany i dzisiejszą przybrał postać.

A jak się to stało, posłuchajcie!

Gdy anioł Seraf Eloha z polecenia Boga utworzył wszystkie kwiatki

i miał już pożegnać się z niemi, przechadzał się po raz ostatni po barwistych niwach ziemskich, by pobłogosławić swoje kwitnące dzieci i przypatrzeć się ich wzrostowi.

Wszystkie kwiatki w chęci pozdrowienia swego dobroczyńcy powznosiły swe piękne, zdobne główki ku niemu, a wydając woń przesłiczną żegnały go w żalu. Czerwona róża rozwinęła swą stulistną ozdobę, hijacynt podzwaniał radośnie swym małym, wonnym dzwonkiem, i wszędzie panowała wdzięczna wesołość. Seraf oddychał całą pierśią i zdało się mu w uniesieniu, że wszystko uczynił jak najlepiej.

Wtem nagle, jak to bywa i na niebie pogodnem, że chmurka niespodziewanie zasłoni słońce — zachmurzyło się jasne czoła Serafa. Jeden tylko krzak wśród ogólnej wesołości nie okazywał zadowolenia. Miał na sobie białe róże, lecz listki ich smutno były zwieszzone ku ziemi, a spadające z nich wielkie krople rosy, obficie zlewały zielone łodyżki, które rosły w sąsiedztwie różowego krzaka.

— I dlaczegoż płaczesz? — pytał się w dobroci Seraf Eloha, smutnego krzaka. Czegoż ci brakuje, że się nie cieszysz wspólnie z rówiennikami twymi i nie dziękujesz za młode życie i wzrost bujny? Czyż nie nosisz pięknej barwy niewinności, czystej i nie splamionej? Czyż cię nie orzeźwia, jak inne kwiatki, miła rosa i łagodne ciepło słońca? Czyż nie masz także przyjemnej woni?..

Na to odpowiada róża:

— Właśnie ta biała, przez ciebie tak uwielbiana barwa, która zdobi

moje liście, jest przyczyną rześzystych łez moich. Przypatrz się wokoło, jak wszystko się uśmiecha i łni wdziękiem i wspaniałością barw niezliczonych! Przypatrz się tamtemu krzakowi z czerwonymi różami, jak się zdoła przepyszny powabem, jak wszystkie kwiatki z nieśmiałością i uszanowaniem poglądają na niego i chyląc się przed nim mocno czują, że ich daleko przewyższa pięknnością i urokiem swego kwiecica. A ja na-przeciw niego jakże jestem ubogą! Nikt nie uwielbia i nie podziwia moich białych, nędznych kwiatów, i wstyd mię ogarnia za każdym ich spojrzeniem. Bądź więc tak dobrym, o Panie, i udziel i mnie także piękniejszej ozdoby i wdzięku!..

— Zarozumiałe i niebaczne dziecię! — zawołał Seraf, uprzejmie karcąc niedorzeczną zachciankę, poprzestań na tych darach, których ci udzieliłem. Dziwię się, że u ciebie barwa róż twoich nie ma wartości?.. Wszakże z miłości mojej ozdobiłem cię najdelikatniejszą barwą, bo barwą tych sukien, jakie noszą niewinni aniołowie, gdy się modlą przed tronem Przedwiecznego, który ich utworzył z technienia swojego! — Lecz jakże nawrócić, jakże przekonać serce w niepohamowanej zazdrości? Nienasycony, łakomy krzak wylewał łzy coraz rześściej, a w szale swego niezadowolenia zaczął lżyć najohydniejszymi wyrazami.

Takie postępowanie rozgniewało łagodnego dotąd Serafa. — Zamiast barwy niewinności — krzyknął — przybierz, co ci się słusznie należy, barwę zazdrości!..

I w tej chwili zniknęła miła,

powabna biel z jej kwiatów, a natomiast powlokła drżące listki rażąca, nieprzyjemna żółta barwa.

Takie jest podanie o żółtej róży, tym nieszczęśliwym, tak wczesnie więdnącym kwiatku. Jak ludzie, w których piersi zazdrość obrzydła zapuszcza swe korzenie, zawczasu niszczą swe zdrowie i prędzej pozabawiają się życia, tak i żółta róża

nosi w sobie zaród wczesnego zniszczenia, dla tego też wkrótce po zakwitnięciu strącają wiatry zwiedłe jej liście.

Strzeżcie się dzieci zazdrości, i pełne zadowolenia spędzajcie życie na pociechę Boga, rodziców waszych i pożytek waszego kraju kochanego!

JÓZEF CHMIELEWSKI.

Odwiedziny w szkółce Froeblovskiej we Lwowie.*

— Helenko, rzekła mama do pięcioletniej dziewczynki, krzątającej się około doniczek z kwiatami—Helenko, weź różową sukienkę i kapelusik, pójdiesz ze mną w odwiedziny.

— A do kogo? mameczko!

— O! zbyt jesteś ciekawą, moja córko, zobaczysz... I mówiąc to, matka uśmiechnęła się nieznacznie.

Helenka pokręciła główką—frunęła jak ptaszek i w pięć minut była już zebrana. Mama poprawiła jej chusteczkę na szyi, sprostowała kapelusik—lecz zresztą, pochwaliła ją za szybkie spełnienie swego rozkazu. Mama z Helenką wyszły na ulicę. Nie będę wam opisywał, jak po raz setny już w życiu przyglądała się Helenka bogatym wystawom sklepów, pięknym strojom przechodniów, jak ją zajmował ruch pojazdów i gwar

tłumu snującego się wokoło, bo same doświadczałyście nieraz na sobie tych wrażeń, nieprawdaż?..

Minąwszy rynek, ulicę Halicką i plac maryacki, Helenka z mamą weszły na ulicę Kopernika, ku czci astronoma naszego tak nazwaną. Tu natłok przechodzących zmniejszył się, a ogród Potockich i zieleniące zdala akacje z podwórza zakładu Ossolińskich, nadawały ulicy tej cechę wiejskiego zacisza. Przy jednym z domów na tej ulicy pod Nr. 28, zatrzymała się mama z Helenką. Dziewczynka spojrzała w górę, dom był jej obcym zupełnie— a nad bramą jaśniał napis: „Ogródek dziecięcy.“

— Zdaje mi się mamo, zaszczebiotała dziewczynka, że tu nikt z naszych znajomych nie mieszka.

*) Szkółki systemu Froebła rozpowszechniły się od lat kilkunastu w całej Europie i w Stanach Zjednoczonych Ameryki, a od r. 1867 zaprowadzono je i w Warszawie. Systemat Froebła polega na uczeniu małych dzieci nie z książek, lecz przez zabawiające okazy, robótki i zatrudnienia, oraz przez zajmujące opowiadania wiadomości zasadniczych z nauk najpotrzebniejszych, w sposób rozwijający umysł i pojęcie małych wychowanków.

— Mimo to, moja córko, odrzekła z uśmiechem matka, znajdziesz tu wiele swoich rówieśniczek.

Helenka utopiła we wzroku matki swe jasno błękitne oczki, jakby niemi pytała o bliższe wyjaśnienie zagadki, lecz mama, wzięła ją za rączkę i poprowadziła na górę.

Na wschodach już doleciał Helenkę gwar przytłumiony, jakby brzęczenie pszczołek — a za chwilę otworzyły się drzwi, i znalazła się z mamą w gronie kilkudziesięciu dzieci.

Na widok obcych, gwar ucichł pomiędzy ochoczą gromadką i jakby za dotknięciem czarodziejskiej różeczki, na znak uszanowania dla starszej osoby, dzieci z miejsc swych powstały.

Mama przywitała się z uprzejmą ochmistrzynią zakładu i przedstawiła jej Helenkę. Nieznajoma pani ucałowała rumianą twarzyczkę dziewczęcia i podprowadziła ją do skupionej w kątku, jakby stado jagniątek — gromadki młodszych i starszych dziewczynek.

— Moje dzieci, rzekła prezentując im Helenkę, ta panienka ciekawa dowiedzieć się, co też umiecie, pokażcie jej swoje robótki i wypracowania!

Dziewczątka rzuciły się do Helenki, ujęły ją za ręce, posadziły obok siebie — i kolejno pokazywały jej pozaczynane robótki włóczkowe i siatkowe, kaligraficzne wypracowania, a wreszcie oddeklamowały przed nią kilka prześlicznych bajeczek Jachowicza.

Helenka ze zdziwieniem przysłuchiwała się tym popisom, cieszyło

ją to niezmiernie, że dzieci tak dobijały się o jej pochwały, i uważały ją za jakąś uczoną osobę.

Podczas kiedy Helenka przysłuchiwała się wygłaszanym wierszykom, mama examinowała chłopczyków. Starsi, czytali po polsku i po niemiecku, umieli już cztery działania arytmetyczne, cały katechizm i mnóstwo ładnych wierszyków.

Kupka drobnych, trzechletnich dzieci, siedziała na osobnej ławeczce w głębi i wycinała z różnokolorowych papierków rozmaite figury.

Mama z Helenką i z ochmistrzynią zbliżyły się do tego drobiazgu.

— Cóż ty wykrawasz mój maleńki? zapytała ochmistrzyni ślicznego o blond włosach chłopaczka.

— Gwiazdkę, proszę pani.

— A dla czego wycinasz ją ze złoto- tego papieru.

— Bo gwiazdka ma złotą barwę.

Inny chłopczyk, ułożył pasek z siedmiu różnokolorowych papierków.

— A ty, co robisz Antosiu?

— Układam tęczę...

— A dla czego bierzesz aż siedm różnych papierków?

— Bo tęcza składa się z siedmiu kolorów.

— Jakież one są?

Chłopczyk wyliczył je bez zająknięcia. Inne dziatki budowały domki z deszczulek, układały figury geometryczne z patyczków i t. p. Helence bardzo podobał się ten sposób nauczania, dający odrazu wyobrażenie o kształcie i przeznaczeniu przedmiotu, a śpiew wszystkich dzieci, na pożegnanie gości zanucony, rozrzewnił ją do łez...

— Moja mateczko! rzekła już na ulicy Helenka, pozwolisz mi czasem przychodzić do tej szkółki?

— I owszem drogie dziecię, sama cię do niej zaprowadzę, i pozwolę ci uczyć się i bawić z dziećmi w ogrodzie.

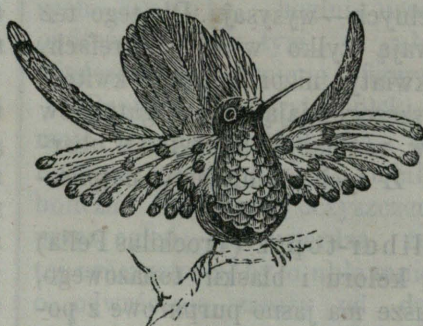
Bo zapomniałem wam dodać, kochani czytelnicy, że przy szkółce tej istnieje ogródek, w którym dzieci jeśli pogoda sprzyja, bawią się i ćwiczą w gimnastyce.

WL. BEZZA.

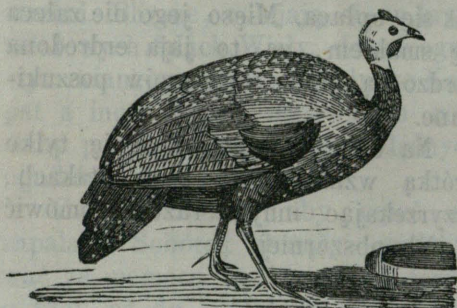
P T A K I.



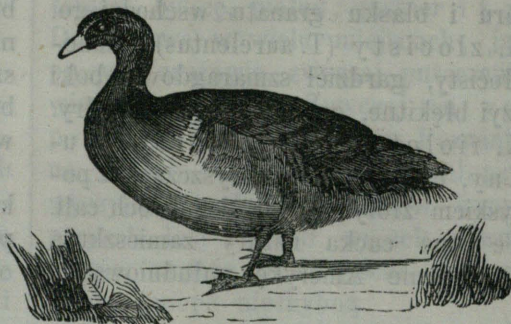
Krzyżodziób.



Koliber.



Perlica.



Edredon.

Masz tu na rycinie, kochana dziatwo, cztery rodzaje ptaków, każdy z innego kraju i odmiennych właściwości. Jest tu ptaszek, co niby brylant migoce w powietrzu, to Koliber, mieszkaniac odległych krajów pod-

zwrotnikowych; Krzyżodziób, mieszkaniac naszych cienistych borów iglastych; dalej widzisz Perlicę, powabną murzynkę afrykańskich pustyń, a wreszcie Miękkopióra, mieszkaniac północnych stref lodowatych.

Najpierw przypatrzmy się kolibrowi.

Ptaszyna ta zwraca na siebie uwagę zdumiewającą świetnością barw, trudną do opisanía, bo blask brylantów i rubinów—i szafir ze złotym połyskiem, to znów cudny błękit, świetnym blaskiem naraz w oczy uderzają. Jak motyle przelatują kolibry z kwiatów na kwiatki żyjąc ich słodyczą, którą za pomocą długich, cieniutkich jak nić języczków dwudzielnych—wysysają. Dla tego też przebywają tylko w tych strefach, gdzie kwiaty nieprzerwanie kwitną.

Wyszczególniają do stu gatunków kolibrów, różniących się tylko w ubarwieniu. Z tych wymienimy najpiękniejsze.

Kolibier-topaz (*Trochilus Pella*) z szją koloru i blasku topazowego, podbrzusze ma jasno purpurowe z połyskiem złocistym, ogon zielono-złoty. K. granatek (*T. granatinus*) koloru i blasku granatu wschodniego. K. złocisty (*T. aurelentus*) zielono-złocisty, gardziel szmaragdowy, boki szyi błękitne, ogon purpurowo-modry. K. fioletowy i kolibrzyk cudny, całkiem zielonobłyszczące, z połyskiem złotym, długości dwóch cali. Te istne cacka natury zamieszkują przeważnie Amerykę południową; u

nas chyba w muzeach wypchane widzieć je można.

Krzyżodziób (*Loxia curvirostra*) dla właściwości swego dzioba, którego końce na krzyż są zagięte, tak nazwany, jest jasno czerwonego koloru o ciemno-szarych skrzydłach. Przebywa w naszych szpilkowych lasach i żywi się wyłuszczone z szyszek ziarnem.

Perlica (*Numida*) żyje gromadnie w pustyniach afrykańskich, lecz oswojoną znaleźć ją można i w gronie naszych kur swoich.

Edredon czyli Miękkopiór (*Anas mollissima*) podobny do naszych gęsi lub kaczek, przebywa prawie ciągle na morzu lodowatym, karmiąc się rybami i porostami morskimi. Słynie on z miękkości swego puchu, którym matka gniazdo dla swych piskląt wyścieła. To też puch ten, dla tamtejszych mieszkańców nie małe przynosi zyski, gdyż funt takiego pierza bardzo drogo, podobnoś dukatem u nas się opłaca. Mięso jego nie zaleca się smakiem, za to jaja edredona bardzo są przez smakoszków poszukiwane.

Na dziś, ograniczamy się tylko krótką wzmianką o tych ptakach, przyrzekając innym razem pomówić o nich obszerniej.

SKARGA.

— „Mateczko! Żdzisiek nie chce oddać mi koszyczka!

Niech go mama połaje i zwrócić rozkaże!”

Tak się na swego brata skarżyła Henryczka,

Pewna, że mama Żdzisia surowo ukarze.

— „Żądanie twoje Henryko! niebaczne i ostre,
Żdzisio raczej do mojej względności ma prawa!
Dość on już ukarany, że tak złą ma siostrę,
Co o karę na brata własnego nastawa!“

W. B.

SOBÓTKA.

W wigilią św. Jana Chrzciciela, t. j. 23. czerwca, zachowują dotychczas wieśniacy w Krakowskim a nawet i w Szlązku, zwyczaj palenia ogniów na polu, nazywając je Sobótkami. Młodzież jednej lub kilku osad, zgromadzona w pewne miejsce, roznieca wielki ogień, z suchego, najczęściej świerkowego chrustu; potem, wzięwszy się za ręce, płasza około ogniska przyśpiewując wesoło i ciągnąc przy tem z dymu i płomieni rozmaite wróżby. Niekiedy trzody przepędzają przez ten ogień ubezpieczając je tym sposobem od chorób i zarazy. — Miły to widok dla oka, gdy z zapadłym zmrokiem tysiąc zapalają ogniów w nieprzejrzanym przestrzeni. Bliższe, odbijają się w krzyształowych falach Wisły, dalsze ognistym wiankiem otaczają podnóże Karpat a inne jeszcze malowniczo rozsiane po polu, mają pozór błędnych ogników.

Zwyczaj każe, aby ogień do zapalania Sobótek służący, wydobywać za pomocą tarcia suchej zerdzi o płót aż do wydobycia płomienia. W innych okolicach, gdzie Sobótek nie palą, gaszą wieśniacy w tym dniu po domach ogień i dopiero ten czysty, samorodny płomień do chat wnoszą, rozpalając niem nanowo wygasłe ogniska.

Ponieważ Sobótki nazywają w niektórych okolicach kupałą, albo kupal—nocą, przeto, podług wszelkiego prawdopodobieństwa, pochodzą one jeszcze z czasów pogańskich, w których Kupale, bogini urodzaju i obfitości w dniu tym, w całej Słowiańszczyźnie czyniono ofiary.

Bantkie, historyk polski, utrzymuje, że palenie Sobótki i przeska-kiwanie przez płomień, miały symboliczne znaczenie oczyszczenia się przez ogień; inni twierdzą, że celem tej uroczystości, było ubłaganie bóstw o odwrócenie zarazy od dobytku, zwłaszcza, że w czasie Sobótki zbierano zdrowiu pomocne zioła, jak łopian, bylicę, piołun, jaskier i t. p. Dotąd trwa w wielu miejscach, jak np. w Warszawie, zwyczaj puszczenia wianków na Wisłę. Zwyczaj ten, zaprowadzono w r. z. w Poznaniu na Warcie. Dziewczęta i chłopcy wyczytują z biegu wianków swoje przyszłe losy: jeżeli wianek równo płynie, znaczy to szczęście, jeśli natomiast, śmierć niechybną.

Ma się rozumieć, że do tych guseł nikt rozsądny wiary nie przywiązuje, szanować wszakże je należy, bo świadczą one o charakterze i przeszłości narodu.

* * *

Ryby elektryczne.

W Ameryce południowej znajduje się szczególny rodzaj ryb, wydzielający z siebie elektryczność. Żyją one w bagnistych wodach i jeziorach. Ciało tych ryb śliskie, pokryte jest żółtawymi plamami. Długie są na pięć do sześciu stóp, a cienkie jak węgorze. Gdy razem i jednocześnie napadną jakie stworzenie, wydają tak silne prądy elektryczne, że zabijają nieprzyjaciela.

W małej rzeczce, którą trzeba było przebywać wplaw pod *Virtuen*, tak się rozmnożyły i z taką wściekłością uderzały na konie, że te drętwiały i tonęły; z tego powodu trzeba było zmienić kierunek drogi. Wszystkie inne ryby uciekają z przerażeniem za zbliżeniem się tych węgorzy; nieraz straszliwie wstrząsają rybakami, którzy siedząc nad brzegiem zapuszcza wędkę w głąb rzeki.

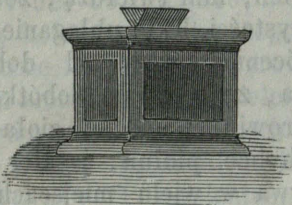
Półów na te ryby jest nader zajmujący.

Gdy mieszkańcy wysiedzą bagno, w którym przebywają węgorze, otaczają je na około i wpędzają do wody stado koni i mułów. Ryby obudzone wypływają po nad wodę, napadają na pastników, ocierają się o nich i w tem dotknięciu wypuszczają na nich elektryczność; konie padają, zrywają się, biegną z najeżoną grzywą i płomieniącym okiem do brzegu, chcąc się na ląd wydostać, lecz mieszkańcy uzbrojeni w długie trzciny, wpędzają je na powrót do wody.

Wkrótce przeważa się zacięta walka, ryby zmęczone rozbiegają się, potrzebują długiego spoczynku i obfitego pokarmu, aby odzyskać utraconą elektryczność, razy ich są coraz słabsze, podpływają do brzegu z obawą, tam je mieszkańcy uderzają długimi kijami i zabijają.

* * *

Na oświatę ludową.



Cóż to dzieteczki! puszka próżna stoi?

Nikt do niej grosza nie rzuci?

Zapał już ostygł!... O, maleńcy moi!

To bardzo boli i smuci!

Dorzućcie szeląg ze zwykłą szczodrocią,
Bo wytrwać w dobrem najwyższą jest cnotą!

SZARADA

(JÓZEFA CHMIELEWSKIEGO).

Pierwsze powiada,
Że się z liczby składa;
A ujrzenie drugie, trzecie,
Gdy się ludziom przyglądniecie! 33
Jest to młode, stare albo rozjaśnione 07
Albo blade, zachmurzone, 13
Podług tego jak się nam powodzi.
Gdy o całość chodzi, au-
To szukajcie w każdym kraju,
Jest największe ze zwyczajów.

Rozwiązanie szarady z Nr. 17.

g — list — a.

OD REDAKCYI.

W następującym, trzecim kwartale **Promyk** wychodzić będzie na tych samych co dotąd warunkach. Wszyscy szanowni prenumeratorowie, tak dawni jako też i nowo przybywający, otrzymają jako **premię** obraz kolorowany, przedstawiający Warszawę w pamiętnym dniu 8 Kwietnia 1861 r. Przesyłkę tej premii dla zamiejscowych prenumeratorów, uskutecznić będziemy na żądanie za pobraniem 20 ct. kosztów opakowania.



Prosimy o wczesne odnawianie przedpłaty.





ILLUSTROWANE CZASOPISMO DLA MŁODZIEŻY

Wychodzi co dni 10, pod redakcją WŁADYSŁAWA BEEZY.

Kosztuje kwartalnie 1 zł. 50 ct. = 1 tal. — z przesyłką pocztową 1 zł. 70 ct. = 1 t. 4 srg.

ANTOŚ PIASKARZ

POWIASTKA.

— Dość, dość tych żalów mój chłopcze, boleść twoja nie wskrzesi matki, mówił stary Szymon do syna — i ocierał łzy rękawem.

— Boże mój, Boże, załkał chłopak, czemuś mi ją zabrał, czemu zostawiłeś mnie sierotą? — I z jękiem rzucił się chłopczyna na mogiłę i płakał długo, długo... a stary Szymon spłótł ręce jak do modlitwy, i w głębokim żalu patrzył na dziecko, leżące krzyżem na wilgotnej ziemi, nieme z boleści i nieruchome — jak gład mogilny.

— Pójdźmy stąd Antosiu, odezwał się starzec po chwili, — daremnie, przeboleć stratę potrzeba, poddać się woli Bożej, — i znieść ją z pokorą.

Ale chłopiec jakby niesłyszał tych wyrazów, nie powstawał z ziemi.

Stary Szymon ukląkł obok chłopca, raz ostatni wznosił oczy do nieba, ucałował „świętą ziemię“ — wziął jej grudkę małą na pamiątkę, a potem podnosząc się z rezygnacją, zawołał gromkim głosem:

— Chłopcze, czas nam w drogę!

Antoś podniósł się na kolana; popatrzył w koło poczerwieniałemi od płaczu oczyma, przeżegnał się — i tłumiąc jęk w piersi, głosem, którego opisać niepodobna, a w którym zamykała się cała rozpacz sieroty, odparł:

— A to idźmy już ojciec!

I dwie te postacie, syn i ojciec, jak dwa nieme posągi boleści, sunęły zwolna pomiędzy mogiłami ku bramie cmentarza.

Winienem bliżej zapoznać was, mali czytelnicy, z Antosiem.

Syn biednego zagrodnika z Czeraniakowa, wioski w pobliżu Warszawy, słynącej cudami śgo. Bonifacego, mały Antoś w chwili, do której odnosi się nasza opowieść, liczył zaledwie lat sześć. Matka jego, kobieta zacna, pracowita, jak mogła tak zarabiała na utrzymanie własne, dziecka i męża, dawnego żołnierza Napoleońskiego, który skutkiem utraty ręki w bitwie pod Lipskiem, nie mógł pomagać żonie w ciężkiej pracy tyle ile pragnął. Trud też nad siły, przyprowadził biedną kobietę o długą chorobę, a wreszcie o zgon.

Śmierć pocziwej Anny (tak było na imię matce Antosia), niespodziewanie wydarła obu naszym znajomym jedyną pomoc, jaką stary Szymon w kalectwie, a Antoś w niedoświadczonej młodości mieli w jej skrzętności i zabiegliwości, tak, że wychodząc z chaty dla odprowadzenia drogich zwłok na miejsce wiecznego odpoczynku, wiedzieli z góry, że wracać do niej nie było już po co.

Ze śmiercią Anny skończyły się dla obu dni błogiego dostatku i pomyślności — a rozpocząć się miała krwawa walka o chleb powszedni — walka dla starca kaleki — i dla wątłego dziecka — prawie bez nadziei. — Przyjdzie gdzie skonać z głodu pod płotem — pomyślał stary Szymon. — Boże mój, Boże! — biadał na głos chłopak — gdzie się teraz podziejemy, kto nas przytuli, kto da kawałek chleba?

— Nadzieja w Bogu, mój synu — mówił krzepiąc go Szymon, choć znać

było w jego głosie, że mówił ot tak tylko, na wiatr... byle pocieszyć dziecko, lecz sam nie łudził się wcale...

Stary Szymon znał, jak to mówią, świat na wylot; wiedział, że ludzie darmo nic nikomu nie dają, że pracować trzeba... a do pracy, brakło mu nie sił może, bo stary krzepko się jeszcze trzymał, i lenistwa nienawidził, ale nie dostawało mu ręki...

Ręka została się na polu bitwy, a jakże w ciężki bój z nędzą iść bez uzbrojonego ramienia? Muru głową nie przebijesz... Wiedział o tem Szymon, przeczuwał, że zginąć mu przyjdzie... Stary żołnierz zebrać nie chciał i nie umiał, na śmierć był przygotowany, i ta go nie przerażała, wszak tyle razy spoglądał jej w oczy pod Jeną, Marengo, Wagram i tylu innymi miejscami, a zawsze z mężnem okiem. Żal było mu tylko dziecka. Cóż pocznie biedne, jeśli ojca grób skryje? gdzie się obróci jeśli on niedoświadczonemi krokami jego kierować nie będzie? czem zostanie w życiu, jeśli stary żołnierz nie nada mu hartu, jeśli nie nauczy go trudnej sztuki bojowania z losem?

Te myśli odbierały odwagę staremu Szymonowi. Ale gdy spojrzał na niewinną i anielską twarzyczkę swego dziecka, pomyślał w głębi duszy: „Bóg jest miłosierny, a dobrych ludzi nie brak!“ I jakby dla dodania sobie i synowi odwagi, głośno zawołał:

— Jakoś tam będzie!

Też same zapewne myśli przychodziły małemu Antosiowi do głowy, a raczej też same uczucia zrodziły

się w jego sercu, bo dzieci więcej odczuwają i odgadują instynktem aniżeli rozumem. Żal mu się zrobiło starego ojca, który go wychował, wyniańczył na kolanach, wypieścił — a który dziś już niezdolny był do ciężkiej pracy. Przypomniawszy sobie Antoś niemowlęce latka, kiedy to dobry „tato“ strugał dla niego z drzewa szabelki i koniki, czuł, że dziś

nadeszła chwila do odwzięczenia się ojcu za tyle miłości i opieki — odgadł instynktowo, że los i spokój ojca dziś od niego zawisł jedynie, że jego młode ramię powinno podprzeć zgrzybiałe lata ojca... Toż krzepiąc się również, spojrzawszy na ojca roz pogodzonem okiem i jakby echem jego wyrazów, zawołał: „jakoś to będzie!“

(Ciąg dal. nast.)

ŁASICA.

(MUSTELA VULGARIS.)

Do najmniejszych a zarazem najdrapieżniejszych u nas zwierząt mięsożernych, należy łasica. Odznacza się ona nadzwyczaj zgrabną budową swego ciała; sierść jej z wierzchu czerwono-brunatna, tylko pod szyją włosy ma białe. Nogi ma opatrzone ostrymi pazurkami, uszy zaś stosunkowo do całości zwierzątka są dość krótkie; ogon łasicy długi na półtora cala.

Nie ma miejsca, gdzieby to pozornie tak miłutkie zwierzątko nie mogło sobie obrać siedziby; w lesie między korzeniami drzew, w kamienistej okolicy w zagłębieniu skały; nad brzegiem strumyków, w piwnicach, na strychu, w stajni i w stodole....

Podziwienią godną jest zwinność tego krwiożerczego stworzenia, przy uganianiu się za zdobyczą. W lot chwytając motyla i szarańczę; nie pogardza także myszami, szczurami, królikami i kretami, których nory często sobie na mieszkanie przywłaszcza, również zręcznie w wodzie umie ryby łapać. Więcej podziwienia godną jest rzeczą,

że małe to zwierzątko nie waha się rzucać nawet na zwierzęta o wiele od siebie większe. Tak n. p., jak to macie wyobrażone na rycinie str. 149, z zasadzki wskakuje ona na grzbiet przebiegającego zająca. Ten przeczuwając grożące niebezpieczeństwo, w szybkości swoich skoków szuka ratunku; daremne są jednak jego wysilenia! Wkrótce siły zaczynają go opuszczać, bieg staje się powolniejszy i zając martwy upada na ziemię, nie zdoławszy uwolnić się od swego niebezpiecznego nieprzyjaciela. Łasica bowiem, za pomocą ostrych pazurków utrzymując się na grzbiecie swej ofiary, wgryza się w jej kark i wysysa chciwie krew, tak, że napadnięte zwierzę wkrótce traci siły i życie.

Jakkolwiek łasice przez niszczenie drobiu wyrządzają ludziom liczne szkody, nie należy ich wszakże tępić, bo ustawiczne wojny, jakie prowadzą z mnóstwem szkodliwych dla rolnika zwierząt, wynagradzają sownie wyrządzane przez nich straty.

K. G.

PACIOREK.

— Módl się głośno Tereniu, nie szeptaj tak w ciszy!

— Czemu na głos mateczko! czy Bozia nie słyszy?

— O nie córko, lecz Bozia temu tylko rada,

Co głośno o Jej chwale światu rozpowiada.

Wł. Bełza.

Proch strzelniczy.

Nieraz może zastanawialiście się, mali czytelnicy, nad drobnymi ziarnkami prochu strzelniczego i pytaście się samych siebie z ciekawości, skąd one się biorą? Zaraz wam to wytłumaczę.

Kiedy i przez kogo proch był wynaleziony, dotychczas jest rzeczą niewiadomą. A przecież musiał go ktoś wynaleźć. Najpewniej jednak, że składały się na jego utworzenie długie czasy i rozmaici ludzie, aż jednemu dopiero człowiekowi udało się może przyrządzić go należycie. I jego też świat uważa za wynalazcę. Podanie utrzymuje, iż zakonnik, trudniący się rozmaitemi doświadczeniami naukowymi, nazwiskiem Bakon, w 1300 roku wynalazł proch strzelniczy. Na to jednak nie ma żadnej pewności.

W najdawniejszych czasach używano do wojen rozmaitych materiałów palnych, mieszając naftę, smołę, olej, a mieszaninę taką przyczepiano do strzał i strzelano do miast oblężonych. Takimi płomienistemi strzałami łatwo zapalali ludzie miasta i fortece nieprzyjacielskie, gdyż w owym czasie tak miasta, jak i fortece były z drzewa budowane. Umieszczano również takie ognie na końcach pik i tak napadano na nieprzyjaciela.

Albo także napełniwszy maszyny lub stosowne naczynia temi materiałami palnymi, rzucano zapalone, co wielki przestraszało u ludzi i koni. Tych sposobów wojowania używali szczególnie dawni Indyanie, Chińczycy, Mongoły, a później przeszły zwyczajem do innych ludów. Wątpliwą jest tedy rzeczą, by w owych czasach wynaleziono dzisiejszy proch strzelniczy. Przypuszczać atoli należy, że początek tego wynalazku powstać musiał w Azji, a w innych krajach dopiero nastąpiło jego wydoskonalenie. Starożytne bowiem pisma indyjskie wspominają o prochu, jakby o znajomej dobrze rzeczy, która była używaną już w zamierzchłych czasach.

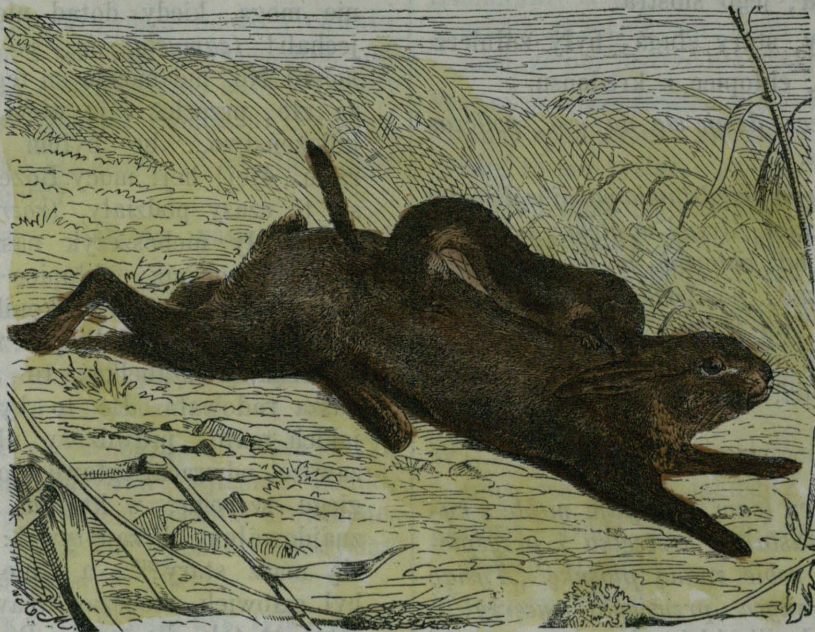
W VII. wieku używali Grecy do prowadzenia wojny ognia, który lali na okręty nieprzyjacielskie i z tego powodu ogromną wzniecali trwogę. Później widzimy u Arabów broń różnego kształtu, którą przyswoili sobie od Greków, lub też otrzymywali ją wprost z Azji. W czasie wojen krzyżowych używali tej broni przeciw chrześcijańskim wojownikom i wyrządzali nią niesłychane szkody.

Około 1300 roku Arabowie, u których natenczas oświata stała na wysokim stopniu, pierwsi użyli mie-

szaniny, składającej się z saletry, siarki i węgla, właśnie z czego się składa proch strzelniczy. Lecz nie znano jeszcze sposobu czyszczenia saletry, której w Arabii jest pod dostatkiem, zwłaszcza z solą pomieszaną, przez co proch nie miał tej siły, jaką ma proch teraz wyrabiany. Arabowie używali w początkach tylko

zakonnikowi. Inni zaś twierdzą, że on wynalazł proch strzelniczy 1330 roku. Jednakże zdaje się, iż on tylko wydoskonał działą, odlewając je z mieszaniny miedzi i cyny.

Proch wpłynął na zmianę w prowadzeniu wojen i przyczynił się do odmiennego urządzenia państw i krajów. Lwia siła i odwaga dawnych



Lusca.

bardzo krótkich armat, z których strzelano kamieniami, rozbijając niemi domy, lub wieże. Proch był wówczas mączkowaty. Dopiero, gdy się nauczo wyrabiać go w kształcie ziarnistym, miał on tę siłę, jaką dziś posiada. Ulepszenie prochu i urządzenie go w kształcie ziarnistym, wielu przypisuje Bartoldowi Schwarzwowi

wojowników musiała ustąpić sile prochu, i dawne berdysze, piki, dzidy, miecze, tarcze, pancerze i zbroje poszły w zapomnienie i dziś zdobią muzea, przypominają nam tylko minione czasy.

Dziś nie ma rycerzy, którzyby w ciężkiej zbroi szli w zapasy z nieprzyjacielem.

(Dokończ. nastąpi.)

W E T Z A W E T.

Komedyjka w 1 akcie przez

A. K. P.

OSOBY:

Adaś.

Władzio, jego brat cioteczny, obaj studenci.

Helenka, jego siostra.

Walenty, stary sługa, były żołnierz.

Maciuś, chłopiec z kredensu.

Rzecz dzieje się na wsi, podczas wakacji.

(Scena przedstawia pokój w dworku szlacheckim, drzwi w głębi; po lewej stronie od aktorów w pierwszej kulisie okno, po bokach dwa stoliczki nakryte, na jednym z nich, po lewej, nakrycie do śniadania, przed stolikiem fotel, dalej kilka krzesełek.)

Scena I.

WALENTY (*sam, otrzepuje meble z kurzu, ustawia krzeselka i przyspiewuje sobie znaną piosnkę. „Tysiąc walecznych przysięgło rycerzy...“ po chwili idzie do okna z lewej strony.*) Eh! do tysiąc regimentów! już po 5tej, a paniczów jeszcze nie ma... Darmo co chwilką spoglądam do okna, czy ich nie ujrzę, droga równiutka i widna na pół mili, a na niej pusto... Już mnie to niecierpliwi, do tysiąc regimentów! przecież dzisiaj rozpoczynają się wakacje, bryczkę i konie posłano już od rana, choćby i po obiedzie byli wyjechali, powinni już do tej pory być na miejscu... Niesubordy-

nacya Mosanie! zamiast spieszyć do domu, to oni pewno obchodzą jeszcze swoich kolegów, żegnają się z nimi, żegnają i... do tysiąc regimentów! pożegnać się jakoś nie mogą, kiedy dotąd nie przyjechali! (*zamyśla się, po chwili mówi*) No, nie można im tego brać za złe, przecież i ja wiem, co to koleżeństwo... bo byłem żołnierzem... Hej! hej! mocy Boże! gdzie się te czasy podziały, (*rozrzewnia się*) kiedy nieboszyk nasz Pan, a mój porucznik, chłopiec prosty jak trzcina, na karym koniku stanął we froncie i podkręcił wąsika, a brząknął szabelką, to aż się dusza radowała. Bo to był ułan jakich mało, prawdziwy ułan... a zawsze odwracał głowę do drugiego szeregu, w którym ja się znajdowałem, i zapytywał: „Jak się masz stary?“... a i nie stary był człowiek wtenczas, mawiał to sobie ot tak, dla żartu... Pocziwy, drogi mój Pan, niech mu tam Pan Bóg da światłość wiekuistą... (*ociera oczy*)

Scena II.

Walenty i Maciuś później **Helenka**.

MACIUŚ (*wbiega przedziutko, w krótkim kaftanie, włosy na czoło zaczesane, w jednej ręce trzyma szklanke w drugiej serwetę, mówi z mazurem*). Juz jedzie!

WALENTY (*budząc się z zamyślenia.*)
Porucznik?

MACIUS. Panic, nas panic i ten drugi
także.

WALENTY (*biegnie do okna.*) Gdzie?
gdzie? (*przysłania oczy ręką.*) Nie
nie widzę...

MACIUS. Niech ino pan Walenty patsą
haju, za górka, taki słup kuzawy...

WALENTY. Prawda... no to i chwała
Bogu, bo już podwieczerek od
dwóch godzin stoi na stole... (*woła*)
Panno Heleno! Panunciu! Helenko!

HELENKA (*wbiega.*) Cóż tam mój
Walenty?

WALENTY. Patrzno panuncia, już
jadą...

HELENKA (*klaszcząc w ręce.*) Bogu
dzięki! tak dawno już czekam i
tyle pięknych przygotowałam bra-
ciszkom niespodzianek!

WALENTY (*odchodząc od okna.*) A ja
ujeździłem dwa najlepsze koniki,
przygotowałem szabelki drewniane,
to i rąbać się będziemy, do tysiąc
regimentów!

HELENKA. A zawsze byś tylko rąbał
i zabijał, niedobry Walenty...

WALENTY. Dobry jestem dla panunci,
dla paniczów, i dla wszystkich
swoich, ale... do kroć regimentów!

MACIUS (*który stał przy oknie za-
czyna się śmiać coraz więcej.*) O! la
Boga! hi! hi! hi! a toć nie panice
psyjechali, ino...

WALENTY (*zrywa się.*) Nie panicze,
a kto?

MACIUS (*śmieje się.*) A no... ten...

WALENTY. Któren?

MACIUS. Herszko, arendarz.

HELENKA (*smutno.*) Nie oni...

WALENTY. Żeby teraz Herszka miał
w rękę, udusiłbym go do tysiąc
regimentów! — że mnie tak zwiódł
szkaradnie.

HELENKA. A za cóż byś dusił Her-
szka? przecież on temu nie wi-
nien, że oni jeszcze nie przyjechali...

WALENTY (*skonfundowany.*) To pra-
wda, panunciu... ale jak człowiek
zły, to do tysiąc...

MACIUS (*ciągle się śmieje.*) No i cóż
tera bendzie, psecie Herszka nie
zaprośmy na podwieczerek?

HELENKA. Wiesz co, mój Walenty,
nie daruję tego braciszkom, za
ich spóźnienie muszę im figielka
jakiego wypłatać.

WALENTY. Oj to, to, panunciu, war-
toby, warto, ale jakiego?

MACIUS. Oho! jo wiem, zjeść im
podwieczerek!

WALENTY. Głupiś!

MACIUS (*na stronie.*) Niech ta ben-
dzie i głupi.

HELENKA. Już wiem!

WALENTY. Słucham panienki.

HELENKA. Ale słuchaj uważnie, tak
jakby jaki kapitan, albo kapral,
albo jaki jeszcze starszy żołnierz
mówił do ciebie.

WALENTY (*salutując.*) Słucham ge-
nerale!

(Ciąg. dal. nast.)

Zegar z kwiatów.

Może wiecie mali czytelnicy, że uczony Linneusz podał pierwszy myśl pełną poezyi, robienia zegarów kwiatowych. Zasadą do tego pomysłu było spostrzeżenie, że nie wszystkie kwiaty rozwijają się o jednej dnia porze, lecz każdy z nich ma pewną godzinę, o której stale koronę otwiera. Zebrawszy więc pewną liczbę kwiatów i poznawszy godzinę ich rozkwitania, możecie z kwietnika na ziemi, niby z tarczy zegarowej, poznać punkt drogi, w którym się słońce na niebie znajduje, z tą tylko różnicą, że go

nie wskaże wam metalowa strzałka na martwej liczbie, lecz żyjący i rozwinięty kwiatek.

Na wiele lat przed tym jeniálním mężem, kmiotkowie nasi znali już tę własność roślin i godzinę dnia odgadywali rzucając okiem na swe łąki. Wieśniacy z Langwedocy i Owernii nad drzwiami swoich pomieszczeń zawieszają kwiaty pospolitego *dziwiewiejsitu*, który im usypianiem swoim zapowiadają nadchodzącą burzę a przebudzaniem się — powrót pogody.

Myśli z Adama Mickiewicza.

I.

W słowach tylko chęć widziń, w działaniu potęgę;
Trudniej dzień dobrze przeżyć, niż napisać księgę.

II.

Młodzieńcze! — dwie drogi czekają na ciebie:
Jedna w głuchy war świata — druga powrót w siebie.

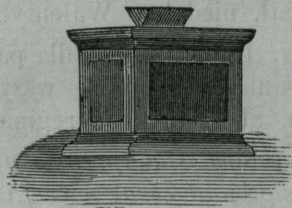
SZARADA.

Pierwsza z trzecią koniecznie tam być
zawsze musi,
Gdzie się święty obrządek dopełnia na Rusi.
Pod cieniem drugiej z trzecią — wieszcz
złotego czasu
Układał wdzięczne pieśni w ciszy Czarnolasu.
Całość dno morskie okrywa,
Lub na wierzchu wody pływa.

Znaczenie szarady z Nr. 18.

STO-LI-CA.

Na oświatę ludową.



Nadesłali: Marynia Brezianka ze Świątkowa 1 tal. Józio Z. 4 centy. Lubcio Sk. 20 c. w. a. Razem z poprzednio zebranymi składkami 13 złr. 40 cent. i 3 tal. 16 sgr.



ILLUSTROWANE CZASOPISMO DLA MŁODZIEŻY

Wychodzi co dni 10, pod redakcją WŁADYSŁAWA BEEZY.

Kosztuje kwartalnie 1 zł. 50 ct. = 1 tal. — z przesyłką pocztową 1 zł. 70 ct. = 1 t. 4 srg.

ANTOŚ PIASEKARZ

POWIASTKA.

(CIĄG DALSZY.)

O! bo są chwile w życiu dzieci, chwile przecucia czy natchnienia, które w jednej godzinie z bezsilnych istot robią z nich mężów hartu i woli.

Tak zmężniałym poczuł się teraz Antoś.

Z dobrą wiarą dziecka, która nie zna świata — a z determinacją, która z krwią ojca przeszła w istotę jego — patrzył on w niepewną przyszłość, marząc złote góry, zamki na lodzie. Szczęśliwa młodość, niepamięta łąz nawet przed chwilą nad dolą swą wylanych.

Zmrok już zapadał, kiedy stary żołnierz z Antosiem, po skończonym obrzędzie pogrzebowym, wracali ścieżką, wiodącą z cmentarza ku domowi.

Kiedy ujrzeli zdaleka próg chaty, w której obaj pożegnali przed chwilą najdroższą dla siebie istotę, spokój i dostatek, — ogarnęło obu uczucie niewysłowionego smutku i boleści. Stary Szymon nie chciał smutku swego na jaw pokazywać, taił go w głębi serca i udawał na pozór spokojnego. Ale daremnie wytrawny żołnierz, ścigał brwi i twarz srożył i targał siwego wása, daremnie przymykał powieki, jakby niemi chciał łyzy wstrzymać, które się gwałtem do oczu cisnęły... Daremne były usiłowania jego, twarz zaczęła się kurczyć boleśnie, brwi podnosić mimowolnie w górę, i dwie duże, krwawe łyzy, jak dwa ciężkie korale, spłynęły po jego licu...

Antoś w głos się rozplakał.

Weszli do chaty, i płacząc i pocieszając się wzajemnie, zaczęli przygotowywać swoje małe zawiniątka. Nie wiele tam tego było. Co lepsze, poszło do Moška arendarza na leki i na opędzenie kosztów pogrzebu. Kilka koszulinek Antosia, odświętna kapota Szymona, ot bodaj i wszystko. Na ścianie wisiał obraz Matki Czystochowskiej; przyklękli przed nim obaj, modlili się przez chwilę i wreszcie ze czcią zdjęli go ze ściany, a Szymon zawinąwszy obraz starannie, włożył go do podróżnego worka.

Dla nich w chacie nie było już miejsca. Biedny czynszownik ustępował jej innemu bogatszemu, który zaraz po śmierci Anny założył swoje gniazdo w pobliskim alkierzu.

Dłużej nie było im już po co zostawać w chacie, opuścili ją tedy.

— Cóż pocniemy teraz, Antosiu? — zapytał ojciec, patrząc ze smutkiem na chłopczynę. I jakby obawiał się odpowiedzi, czy też chciał podsunąć ją dziecku dodał: Przyjdzie nam chyba rękę wyciągać po jałmużnę.

— O nie, mój ojczu — odparł ze wstrętem Antoś, — wiem, że do tego nie jesteś zdolny, będziemy pracować.

— Pracować!... Chłopcze drogi! — zawołał starzec z goryczą — gdzie znajdziesz pracę? Ja bez ręki — ty bezsilne dziecko, co na jedno prawie wychodzi.

— To też, mój ojczu, wam czas już odpocząć, napracowaliście się dosyć już w życiu, natyraliście zdrowia po świecie nie mało, — pora teraz na mnie. Bóg dopomoże!

Stary Szymon ze zdziwieniem i niedowierzaniem przysłuchiwał się

temu, co mówił Antoś, nie spodziewał się on znaleźć w młodym chłopcu tyle odwagi do walczenia z biedą, tyle wiary, że ją zwalczyć zdoła. Milczał długą chwilę, a potem zwracając się do syna, zapytał:

— A jakąż znajdziesz pracę odpowiednią twoim siłom?

— Myślałem już o tem, tatusiu, i znalazłem. Praca to przykra wprawdzie, ale daje uczciwy zarobek. Zostanę piaskarzem, będę roznosił piasek po ulicach Warszawy, wszakże z tego żyją Józek, Franek, Kuba i tylu innych chłopaków, moich znajomych, a Frankowi to się nawet już tak dobrze powodzi, że sprowadził do siebie matkę staruszkę i daje jej przytułek.

— Hm... dziej się wola Boża — rzecze stary — myślałem ja o czem innym wprawdzie, chciałem cię oddać do terminu w Warszawie, ale to i wysługa długa i ciężkoby mi było z tobą się rozłączyć. Kogo Bóg ma w swojej opiece, tego nie opuści. A więc, chłopcze, krzyżyk na czoło i ruszajmy.

Za chwilę, znajomi nasi byli już na szosie wiodącej z Czerniakowa do Warszawy.

Nie będę wam opisywał, kochani czytelnicy, podróży Szymona z Antosiem, raz że droga z Czerniakowa do Warszawy i dwóch mil nawet nie wynosi, a powtóre, że w czasie ich wędrówki nie godnego uwagi naszej nie zaszło. Zwrócę raczej uwagę waszą na stan ich obu wewnętrzny, jako mogący nas więcej zainteresować.

Antoś rzucał się w świat z nadzieją nieopatrzną, nieliczącą się z żadnymi

trudnościami, ufny w zaręczenie ojca, że „ludzi dobrych nie brak“, że kto chce pracować—zatrudnienie znajdzie. Była to odwaga dziecka, nieznającego jeszcze niebezpieczeństw. Stary Szymon przeciwnie, przygotował się do drogi jak do

kampanii, z całą świadomością niebezpieczeństwa, na które siebie i syna swego narażał. To też uzbroił się stary w energią i krzepił ją przez ciąg całej drogi swojego syna.

(Dokończ. nastąpi.)

Proch strzelniczy.

(Dokończenie.)

Karabiny, pistolety najróżnorodniejszego ustroju i armaty odgrywają dziś rolę na placu bitew. Sposób ich prowadzenia jest pospieszniejszy, ale też i niebezpieczniejszy. Początkowo używano moździerzy i armat tylko do zdobywania twierdz nieprzyjacielskich; obecnie służą one do pokonywania nieprzyjaciela w czasie wojen morskich, lub lądowych.

Prochem napełniają teraz i kule wielkie. W Polsce użyto prochu po raz pierwszy za czasów Władysława Jagiełły. Włochy pierwsze użyły prochu do dział swoich. W początkach kościół katolicki zabraniał strzelania z armat do ludzi, pozwalając jedynie strzelać do budynków, lub łamać mury. Później nastąpiła ręczna broń palna, którą opierano na postawionych na ziemi widelkach i lontem podpalano. W roku 1519 były w Niemczech wynalezione pierwsze strzelby do skałek.

Proch strzelniczy składa się z 75 części saletry, z 12 siarki i z 13 części węgla drewnianego. Wyrabiają go w osobnych fabrykach czyli prochniach.

Z postępem wszystkiego, wydoskoniono broń palną i proch strzelniczy, który tak ułatwia prowadzenie

okrutnych wojen, które oby raz zeszły z widowni świata, albowiem wiele bardzo szkodzi ludzkości. Dla tego śpiewają ludzie w kościele: „Od powietrza, głodu, ognia i wojny zachowaj nas Panie!“

Proch zapalony w broni ognistej, sprawia gwałtowne parcie i wypycha nagle nabój, który zmierza do oznaczonego celu. Prochu używają ludzie do rozsadzania skał, murów lub kamiennej soli, jak się to dzieje w kopalniach wielickich i bocheńskich. Ale czasem robią z niego miny pod miastami, by je w razie potrzebnym wysadzić w powietrze. Przypomnijcie sobie z historii polskiej, co się to było stało przez proch w Kamieńcu Podolskim, gdyby nie odwaga dzielnego generała polskiego, Marcina Kąckiego.

Z prochem i bronią palną zachowujcie się ostrożnie, bo o wypadek nie trudno! Nie kłamcie nigdy, by wam nie powiedziano przysłowia: Strzelają bez prochu; nie bądźcie lękliwi, by wam nie mówiono: Nie lubią wachać prochu! lecz uczcie się najgorliwiej, byście nie usłyszeli: Nie wynaleźli prochu, na znak, że nie macie wielkiego rozumu...

JÓZEF CHMIELEWSKI.

PIERWSZE OCZKO W ŚWIAT!

Choć mi dobrze w tym świecie,
Gdzie mi urość kazali,
Rada wiedzieć bym przecie,
Czy świat jeszcze jest dalej?

* * *

Czy prócz mamy i tata,
Dziadka, co wciąż marudzi,
I babuni i brata
Więcej jeszcze jest ludzi?

* * *

Tu, świat zawsze ten samy:
Szczeka burek przy budzie,
Krówki ryczą u bramy,
Jedni snują się ludzie!

* * *

A za naszym ogródkiem
Widać drzewa i brogi,
I wieżyczkę z kogutkiem,
I figurę u drogi.

* * *

Jakże chętnie bym rada
Ujrzyć świat ten za płotem!
Ale mama powiada,
Że to myśli nic potem...

* * *

Skoro mama nie każe,
Trzeba słuchać matysi!
Jednak sobie wciąż marzę,
Jak tam pięknie być musi!

Jużbym lalkę oddała
Za te czary, uroki!
Cóż, gdy jestem za mała,
A płot taki wysoki!

* * *

Ale wiem już, co zrobię:
Ani słówka nie szepnę,
I przystawię kosz sobie,
Na paluszki się zepnę;

* * *

Nie połaje mię mama,
Jeśli figiel się uda
I na oczy raz sama,
Ujrzę wreszcie te cuda.

* * *

— O! mój Boże, mój Boże!
Jak tam pięknie wokoło!
Chodzą ludzie na dworze,
Kościół widać i sioło...

* * *

Dzieci igra gromada
Między kwiaty polnemi;
O! jakżebym też rada
Poszła bawić się z niemi!

* * *

Niech no mama otworzy
Drzwi mej klatki dziecięcej,
Jak raz frunę w świat Boży,
Nie ujrzycie mię więcej!

Władysław Bełza.





Pierwsze oczko w świat!

W E T Z A W E T.

Komedyjka w 1 akcie przez

A. K. P.

(Ciąg dalszy.)

HELENKA. Wiesz, że mameczką wyjechała do ciotki Teofilowej, matki Władzia, i kazała przez umyślnego zawiadomić się, skoro braciszek z Władziem przyjedzie; nie całe pół mili od nas do Miłosny, mameczka więc z ciotką moją natychmiast przyjedzie tutaj. Ale jak umyślnego nie poszlemy, zaraz po przybyciu braciszków będziemy swobodni i możemy robić co chcemy, tem bardziej, że mameczka zostawiając nas pod twoją opieką, Walenty, gniewać się nie będzie za żart, na który ty pozwolisz.

WALENTY. Prawda — ale cóż będziemy robić?

HELENKA. Zagramy komedią.

MACIUS (który się przysłuchiwał.)
Kumendyje! jak w zapusty, hi! hi!
hi! a to się śmiec bende. Hi! hi! hi!

HELENKA (do Maciusia.) Idź że do przedpokoju i pilnuj, jak tylko paniczów spostrzeżesz, dasz nam znać.

MACIUS. Dobrze proszę pani, (odchodzi i wraca.) A to z podwiecorkiem nie bende kumendyje zadnych?

HELENKA. Nie, nie, ale powiedz Katarzynie, niech i tobie da dobry podwieczorek, jestem teraz w nieobecności mameczki gospodynią i mogę dysponować.

MACIUS. Dziękuję pani, każę sobie dać podwójny podwieczorek, bo to

kumendyje będą, tseba, żeby człowiek miał siły do śmiechu.

HELENKA. No, dobrze już dobrze, tylko idź i pilnuj.

MACIUS. Idę, idę, (odchodząc.) O lo Boga, kumendyje! hi! hi! ale dobre kumendyje, kiedy się podwójny będzie jeść podwieczorek.

Scena III.

Ciż bez Maciusia.

HELENKA (do Walentego.) Trzeba, żebyś się przebrał w szlafrok naszego starego guwernera, przyczepił sobie jakie ogromne wasy, tak, żeby cię nie poznali, i udawał przed nimi, że mameczka wyjechała do kąpiel, a ty jesteś nowym rządcą, którego mameczka oczekuje aż z Podola: panem Bombalkiewiczem.

WALENTY. Ale cóż z tego będzie?

HELENKA. Potem zobaczymy, a teraz przebieraj się prędko.

WALENTY. A z panią co się stanie?

HELENKA. Prawda, a ze mną?... (namyśla się) Ja się schowam tymczasem i będę się z drugiego pokoju przypatrywała.

Scena IV.

Ciż i Macius.

MACIUS (wbiega prędko, w ręku trzyma chleb i ser, którego nie skoń-

czył jeszcze jeść, śmieje się ogromnie.) Hi! hi! prozę panienki, jodłem sobie chleb ze serem, kiedy psyjeżdza jakichś dwóch ponów w długich surdutach, z okropnemi faworytami, i pytają się o panią Malińską, jo patse, patse... a to... hi! hi!

HELENKA. Jakto, hi, hi?

MACIUS. A to nas ponie i pon Władysław, udaje, com ich nie poznał, i pytom się, cego chcą; a oni powiadają, że chcą widzieć się z panią Malińską; chciałem im powiedzieć, że pani nie ma, ale nie mogłem wytsymać ze śmiechu, to też zacząłem się śmiać okropnie, oni także się śmieli ze mnie i kazali się... jakże się to lichy nazywa za... za... eh, coś do nosa podobne...

HELENKA. Zaanonsować?

MACIUS. Umhu! *(je chleb.)*

HELENKA *(do Walentego.)* To i oni widać ułożyli sobie jakąś komedię, a to się doskonale składa. Idźże do drugiego pokoju i przebieraj się, a udawaj, żeś ich nie poznał.

WALENTY. Idę do kroć regimentów!

HELENKA. A nie mów ciągle „do kroć regimentów,” bo cię natychmiast poznają.

WALENTY. Dobrze do kroć... Słuchaj Macius, dasz mi kuksa w bok, ile razy powiem: do kroć regimentów.

MACIUS *(daje mu kuksa.)*

WALENTY. A to za co?

MACIUS. Boście teraz powiedzieli.

WALENTY. Eh, do kroć... *(zatyka sobie usta)* nie chcę kuksów, ale mię szarpniesz za surdut. No idę się przebrać *(wychodzi na prawo.)*

HELENKA. Macius, proś paniczów, a ja się schowam *(wychodzi na lewo.)*

MACIUS *(otwiera drzwi środkowe.)*
Prozę panów.

Scena V.

Macius, Adaś, Władzio.

(Obydwa w długich surdutach i dużych kapeluszach, które im na oczy spadają, przyprawione na drutach faworyty.)

ADAŚ. Cóż gawronie, zaanonsowałeś nas?

MACIUS. Kiej nie wiem jak?

ADAŚ. Jestem Baron Pumpernikiel z Niemiec.

MACIUS. Pumpumkikel? O lo Boga! hi! hi!

WŁADZIO. A ja jestem don Alvarez Torquemada de Kikiriki.

MACIUS. Kikiriki?

WŁADZIO. Z Hiszpanii.

MACIUS. A cegóz pan Ficpan chcą?

WŁADZIO. Chcemy widzieć się z panią Malińską.

MACIUS. A kiej nie ma pani Malińskiej, ino jest pan Bombałkiewicz.

ADAŚ. Jaki Bombałkiewicz znowu?

MACIUS. A no, niby pan ządca z Podola.

(Ciąg dal. nast.)

Mysli z Adama Mickiewicza.

III.

Pomiędzy dzieci Boże próżno ten wnijsć pragnie,
Kto się u drzwi tak nisko jak dziecię nie nagnie.

Rozmaitości.

Do jakiego stopnia ciągała styczność z przyrodą i ze stworzeniami w masie rozwija zmysły i niektóre nawet władze umysłowe w człowieku, dowodzą podobno najlepiej tak zwani rastreadory w południowej Ameryce. Rastrear właściwie znaczy w śledzić, a taki śledzca kradzieży, zwłaszcza zwierząt, w rzeczypospolitej Argentyńskiej bez wątpienia najciekawszą ze wszystkich jest postacią. Na nieprzejrzanym okiem równinach tysiączne krzyżują się ścieżki, trakty dla konnych i gościńce, nie oddzielone od pastwisk żadnymi rowami ani płotami; otóż, naturalnie ważną jest rzeczą, żeby pasterz mógł wynaleść ślad zaginionego bydła i nie bywał na zbyt częste narażony ztąd straty. W takim celu wzywa rastreadora, ten bowiem wie, czy zwierzę biegło prędko czy też szło zwolna, czy było samo czy też sprzężone

z drugim, czy obciążone czy wolne. Rastreador powszechnie jest poważny, a zeznania jego mają wiarę publiczną. W nocy np. popełniona została kradzież, której sprawca jest niewiadomy; nareszcie natrafiają gdzieś na lekki ślad kroków, które starannie przykrywają, żeby ich wicher nie zwał, poczem sprowadzają rastreadora. Ten pilnie przygląda się śladom i idzie za nimi, nie patrząc przytem bynajmniej w ziemię, bo on i gdzieindziej widzi rzeczy, o których się zwyczajnemu człowiekowi nie śniło. Przechodzi przez ogrody i ulice, nakoniec wchodzi do domu, i tu wskazując na jedną ze znajdujących się w nim osób, powiada: „Oto go macie!“ Przekonany w ten sposób złodziej, rzadko kiedy wypiera się swojej kradzieży, bo rastreador powszechnie za nieomylnego uchodzi sędziego, i śmieszna byłoby rzeczą, chcieć się jemu opierać.

SZARADA.

Pierwsze i drugie zawsze w płocie bywa,
Na stawach naszych drugie, trzecie pływa;
Całości szukaj, gdzie mała dziecina,
O swem istnieniu płaczem przypomina.

Znaczenie szarady z Nr. 19.

PO-LI-PY.

OD REDAKCYI.

Pragnąc zawiązać bliższe stosunki z czytelnikami „Promyka“, z dniem dzisiejszym otwieramy w naszym piśmie nową rubrykę **zapytań i odpowiedzi**, to znaczy, że na wszelkie zapytania w kwestiach zaciekawiających młode umysły, starać się będziemy udzielać natychmiastowych odpowiedzi. — Oczekujemy.



ILLUSTROWANE CZASOPISMO DLA MŁODZIEŻY

Wychodzi co dni 10, pod redakcją WŁADYSŁAWA BEZZY.

Kosztuje kwartalnie 1 zł. 50 ct. — 1 tal. — z przesyłką pocztową 1 zł. 70 ct. — 1 t. 4 srg.

ABECADŁO O CHLEBIE.

A. B. C.

Chleba chcę!
Lecz i wiedzieć mi się godzi,
Z czego też to chleb się rodzi?

D. E. F.

Naprzód siew...
Rolnik orze ziemię czarną,
I pod skibę rzuca ziarno.

H. K. J.

Ziarno w lot;
Zakiełkuje w ziemi łonie,
I kłos buja na zagonie.

Ł. i L.

Gdy już cel
Osiągnięty gospodarza,
Zboże wiozą do młynarza.

M. N. O.

Każde źdźbło,
Za obrotem kół, kamienia,
W białą mąkę się przemienia.

P. Q. S.

Tu już kres.
Z młyna piekarz mąkę bierze,
I na zacier rzuca w dzieże.

R. T. U.

I co tchu,
W piec ogromny wkłada ciasto,
By chleb miały wieś i miasto.

W. X. Z.

I chleb wnet!
Patrzcie! ile rąk potrzeba,
Aby mieć bochenek chleba.

W E T X A W E T X

Komedyjka w 1 akcie przez

A. K. P.

(Ciąg dalszy.)

WŁADZIO (*cicho do Adasia.*) Żle Adasiu, jakiś rządca, coś nam się komedja nasza nie udaje.

ADAS. Mniejsza z tem, zagramy z rządca komedję; wszak to nowy, nie zna nas ani my jego, tem łatwiej nam pójdzie. (*Do Maciusia.*) Słuchajno... jakże się nazywasz?

MACIUS. Niby to pon nie wiedzą (*śmieje się.*)

ADAS. Zkądże mam wiedzieć?

MACIUS. A no, to panu powiem, hi! hi! Macius...

ADAS. Mój Maciusiu, idźże i poproś tutaj pana rządcy, powiedz że mamy bardzo pilny interes.

MACIUS (*otwiera drzwi któremi wyszedł Walenty i woła.*) Panie Wale... (*zatyka sobie usta*) nie! nie... panie Bombalkiewicz, chodź ino Jegomość.

Scena VI.

Ciż i Walenty.

WALENTY (*w długim szlafroku, w czapeczce na głowie, ogromne siwe wąsy na nitkach za uszy przywiązane.*) Cóż tam? czego chcesz?

MACIUS. A no ten pon Niemiec i ten drugi Ficpon chcą mówić z panem.

WALENTY (*postępując na przód sceny.*) Czego panowie żądają?

ADAS (*kłania się.*) Szanowny panie, ja i przyjaciel mój don Alvarez Torquemada de Kikiriki, chcieliśmy widzieć się z panią Malińską.

WALENTY. Pani Malińska wyjechała na kilka miesięcy do kąpiel, ja w jej nieobecności jestem tutaj samowładnym panem, jeżeli więc panowie macie jaki interes, proszę ze mną o nim pomówić.

WŁADZIO. Jakto pani Malińska wyjechała na kilka miesięcy? To być nie może.

WALENTY. Może być, kiedy tak mówię, do kroć regi...

MACIUS (*szarpie go za surdut.*)

WŁADZIO. Ależ my nic a nic o tem wyjeździe pani Malińskiej nie wiemy.

WALENTY. Pani odjeżdżając, nie widziała potrzeby zawiadamiać o tem panów, gdzieś tam między Niemcami i Hiszpanami.

WŁADZIO (*cicho do Adasia.*) Słyszysz Adasiu?

ADAS (*równie cicho do Władzia.*) Słyszę.

WŁADZIO. Czy to być może, żeby cioteczka wyjechała nie zawiadomiwszy nas o tem?

ADAS. Mnie to bardzo dziwi, i... do prawdy... na płacz mi się zbiera... Nie chcę już komedyi żadnych, chcę tylko dowiedzieć się gdzie mameczka?

WALENTY. Cóż tam panowie szwargoczenie między sobą, jeżeli chcieliście z sobą mówić, to nie potrzeba było oddawać nam nieproszonej cu-

dzoziemskiej wizyty i mnie fatygować niepotrzebnie, do kroć regi... (*wstrzymuje się, widząc że go Maciuś szarpie za połę.*) (Dokończ. nast.)

LISTY DO MŁODYCH PRZYJACIOŁ.

IV.

DO WANDZI W.

Moja Wandziu kochana!

Jesteś grzeczną dziewczeczką i uczyć się lubisz. A przedewszystkiem czytujesz z wielkiem zamięłowaniem — jak mi twoje babcia najlepsza mówiła. Niedawno nawet pochwyciłaś tom któryś Juliusza Słowackiego, i czytałaś a czytałaś porywana pięknosćią słowa i obrazów. Ale czy też co zrozumiałaś z tego coś przeczytała? Odpowiem za ciebie że — nie. Zachwycała ciebie instynktowa pięknosć poetycka, bo w młodziutkiej duszyczce masz iskierkę boską, lecz myśli i treści niepojęłaś wcale dziewczeczko! Zatem lepiej, gdybyś czytywała, co ci wskaże babcia, mama i twoja zacna a rozumna nauczycielka, która was już od lat kilku tak troskliwie prowadzi.

Czytaj Przyjaciela dzieci pana J. Chociszewskiego, wyborne to pismo i dużo, dużo w niem znajdziesz co sprawia przyjemność i poucza. Czytaj Promyk Władysława Bełzy i ucz się na pamięć jego Złotych literek. A wszystkie powieści, które chwytasz tak gorliwie, zastąpią ci piękne Rozrywki dla dzieci Klementyny z Tańskich Hofmanowej.

Czy ty wiesz o tej pani? Poświęcała ona się przez całe życie wychowaniu pańienek, z prawdziwie serdec-

znem zamięłowaniem. Potem, po nieśczęściach krajowych r. 1831, opuścić Polskę musiała, którą całem sercem Polki kochała. Mieszkała nasamprzód w Dreźnie, później w Paryżu, gdzie znowu oddawała się wychowaniu kilku pańienek. Tęskniła bardzo za krajem, słodząc sobie te chwile gorzkie i bolesne wygnania z ukochanej ojczyzny — ciągłą pracą piśmienną.

Powieść jej Jan z Czarnolasu i Krystynę, także z wielką przyjemnością odczytasz. W pierwszej opowiedziała życie Jana Kochanowskiego, o którym wiesz zapewne, jako o wielkim poecie i mężu zacnym, szlachebnym. Znajdziesz tam i śliczny obrazek jego wdzięcznej Orszulki, ukochanej córeczki, która jako dziecinka czteroletnia już wdzięczne układała wierszyki. Umarła, żal nieukojonny zostawiając po sobie. Czytając o tej anielskiej dziewczeczce zapewne nad jej zgonem łezek kilka uronisz, bo wiem, że tkliwe masz serduszek.

Polecam ci także Rozrywki Seweryny z Żochowskich Pruszkowej, śliczne tam znajdziesz powieści i opowiadania. Toż samo Zabawki umysłowe Józefy Śmigielskiej.

Spodoba ci się bardzo powieść

Pauliny Krakow: Pamiętniki młodej wygnanki, która na niemiecki przełożona język, wielkie i w obcym kraju miała powodzenie.

Proś wraz z siostrzyczkami twojemi Halinką i Ludką ojca waszego, by wam te książki sprowadził, co dobry tatko uczyni zaraz.

Zamiłowanie Twoje do czytania,

moja Wandeczko, każdy pochwalić musi, ale raz jeszcze powtarzam: czytaj utwory właściwe dla Twojego młodziuteńskiego umysłu. Bo obciążanie go nieodpowiednio, skrzywi łatwo kierunek nauki, a myśli i pojęcie obalamować może.

Do zobaczenia, dziewczeczko kochana!

Paulina Wilkowska.

DO DZIECI.

Bywają wichry tak straszne czasem,
Że jak się zerwą, jak pójdą lasem,
Drzewa największe z korzenia zwałą;
Lecz dzieci lasu, drzewiny drobne,
Małe i słabe, — do nas podobne, —
Między staremi co padły z falą,
Rosną w nowy las spokojnie.

Dzieci! wy wiecie o wojnie:
Wojna to burza, przed którą naród
Jak las upada, — wy lasu zaród,
Wy drobne drzewka, a my, o dzieci!
My starsi wiekiem, my co walczymy,
Niech co chce będzie, my was skryjemy,
Jak ten bór stary co od burz leci.

Rośnij, rośnij drobny rodzie!

W ciszy, szczęściu i swobodzie.

Oby pamiętka czasów dzisiejszych,

Przeszła nam kiedyś jak sen lat mniejszych;

A ja, co dla was te słowa piszę,

Obym mógł kiedyś na stare lata,

Ścisnąć was z sercem starszego brata,

I śmiało wyrzec: już mamy ciszę!

Seweryn Goszczyński.

ANTOŚ PIASKARZ

POWIASTKA.

(DOKOŃCZENIE.)

Gawędząc tak, ani się spostrzegli, kiedy stanęli u rogatek Czerniakowskich.

Załatwiwszy się z awizacją paszportu, weszli do Warszawy.

Pusto jeszcze było na ulicach miasta... Zaledwie dwie czy trzy mleczarek spieszyło z nabiałem i mle-

czywem na targowisko, zaledwie z rzadka, jaki zapóźniony hulaka, nucąc pod nosem niezrozumiałą piosenkę, powracał do domu, a zresztą wszędzie były pustki na ulicach.

Antoś ciekawie przyglądał się wspaniałym gmachom i kościołom, szerokim ulicom, porozrzucanym w środku

nich ogródkom, które się skwerami zowią. Wszystko to było dla niego nowością... Nie dziw, wieśniak, znający tylko rodzinny swój Czeraniaków, po raz pierwszy znajdował się w tak wielkim mieście jak Warszawa. Przypomnijcie tylko sobie

Podróżni nasi, przechodzili właśnie obok pomnika Mikołaja Kopernika, na nowym świecie wprost pałacu Staszycy istniejącego, a wystawionego za staraniem tego znakomitego męża, ku czci wielkiego polskiego astronoma. Antos zajął pobożnie cza-



Antos przyglądał się wspaniałym gmachom.

mali czytelnicy, wy szczególnie co na wsi mieszkacie, wrażenia odniesione na widok jakiegoś większego miasta, do którego po raz pierwszy w życiu wjeżdżaliście, a dziwić się zachwytowi Antosia nie będziecie.

peczkę i przeżegnał się. Stary Szymon dostrzegł to i uśmiechnął się pod wąsem.

— Z czego się śmiejecie tatusiu, chyba nie z tego, że zdjąłem czapkę przed tym panem Jezusem, co świat w rękę trzyma?

— Ależ moje dziecko, to nie Pan Jezus, to Kopernik.

— To wszystko jedno — mój ojciec — niech ta będzie i święty Kopernik, zawsze należy się zdjąć czapkę.

Wiele miał pracy stary Szymon, zanim wytłumaczył synowi znaczenie tego pomnika, ale przynajmniej mógł sobie powiedzieć, że miał pojętego słuchacza w Antosiu.

Minawszy Nowy Świat i Krakowskie Przedmieście, za gmachem towarzystwa dobroczynności, Szymon z Antosiem spuścili się w dół, ulicą Bednarską ku brzegom Wisły. Stary żołnierz, miał tutaj znajomego szewca, mieszkającego prawie na samym pobrzeżu rzeki. Już dobrze się rozwiłło, kiedy podróżni nasi zapukali do drzwi małego domku, nad którego bramą kołysał się od ranego wiatru szyldek: Maciej Kopytko szewc męzki.

— Proszę wejść — odezwał się głos z wnętrza.

— Niech będzie pochwalony! — zaintonował Szymon.

— Na wieki... — odpowiedziano. — A! wszelki duch Pana Boga chwali! to wy panie Szymonie.

— Ja, ja Macieju — a to mój syn Antoś... Pokłoń ze się do kolan paru Maciejowi, rzekł stary, popychając syna, dawny to mój towarzysz broni, przyjaciel od serca! żołnierz!...

— Hej! hej! gdzie się to czasy te podziały, mój Szymonie — rzekł ze łzą w oku Maciej — kiedyśmy to razem występowali na paradzie, przed wielkim xięciem, a potem na drugiej paradzie pod Grochowem...

I starym łzy się zakręciły w oku.

— Ale, co was tu sprowadza — zapytał Maciej — gdy pierwsze wzruszenie minęło.

Szymon opowiedział pokrótce cel swego przybycia do Warszawy.

— A, no! to szuj woreczek — i dalej nad Wisłę, mój Antosiu. Wy zaś Szymonie, dopóki nie upatrzyicie jakiego zajęcia — goście u mnie; kobieta mi zmarła, — dwaj wdowce, będziemy się pocieszać wzajemnie.

* * *

Tego jeszcze dnia, rozlegał się po ulicach Warszawy, dźwięczny głos Antosia, który dźwigając spore dwa woreczki piasku, wołał dzieciennym głosem: „hej! piasku białego, wiślanego!“

Sypały się groszaki i trzy groszówki do kieszeni Antosia, tak że pod wieczór uzbierał sobie za sprzedany piasek około dwóch złotych polskich i z rozpromienioną twarzą złożył tę sumę na kolanach ojca.

— A co, widzicie kumie — mówił Maciej — zacierając ręce z radości, to zuch ten wasz Antoś. Tylko, żebyś mi się nie rozlampartował chłopcze — rzekł grożąc żartobliwie Antosiowi — bo w kole piaskarzy, są źli i dobrzy...

— Ja też tylko z dobrymi będę przestawał — odparł Antoś.

* * *

Minęło trzy lata. Razu pewnego roznosząc piasek, spostrzegł Antoś leżący na bruku duży pugilares. Otworzył go, i aż przestraszył się, tyle tam było papierów bankowych. Ani

chwili nie myślał co ma uczynić ze
znalezionym skarbem. Odniósł go na
Ratusz i opowiedział rzecz całą.

— To mój pugilares — zawołał na
widok jego jakiś siwy i poważny
jegomość, właśnie zameldować mają
zgubę przyszedłem.

— A jakaż suma w niem się znaj-
duje? zapytał urzędnik.

Poszkodowany wyliczył ją szybko,
wyszczególniając numera niektórych
asygnat bankowych. Antosiowi aż się
w głowie mąciło, jak ów pan zaczął
wyliczać setki i tysiące.

— A to tobie za znaleźne — rzekł
ów jegomość — odbierając pugilares
i kładąc w rękę Antosiowi sturu-
blówkę.

— Bóg zapłać, nic mi się nie na-
leży, oddałem to, co nie było moją
własnością a do nagrody nie mam
żadnego prawa.

Jegomość ów długo mierzył wzro-
kiem Antosia, rozumiał że namawiać
go dłużej do przyjęcia nagrody, by-
łoby bezowocnem. Zapytał przeto.

— Kto ty jesteś?

— Antoś Żołnierzuk, piaskarz.

— Sierota?

— Nie, panie, mam ojca starego,
bez ręki, na którego utrzymanie za-
rabiam.

— Gdzie twój ojciec stracił rękę.

— Na wojnie!

— A więc dawny żołnierz... I zadu-
mał się ów jegomość, a potem otrzą-
sając się z zamyślenia, wyrzekł rozka-
zująco:

— Prowadź mnie do ojca.

— Antoś nie biegł, ale skakał po
bruku jak wróbel, tak było mu ra-
dośnie i błogo na sercu; wyobrażał

sobie jak ojciec ucieszy się z jego
postępku, jak szewc Maciej zacierać
ręce będzie, że Antoś nie należy do
lampartów, aż ów pan, idący za
nim, co chwila wołać musiał:

— Powoli mój chłopcze, powoli!

Weszli nareszcie na ulicę Be-
dnarską, Antoś zatrzymał się przed
bramą i puszczając naprzód owego
jegomościa rzekł.

— Tu proszę pana.

Siwy jegomość wszedł do izby.
Szymon i Maciej podnieśli się ze
stołków a przybyły zapytał.

— Który z was jest ojcem tego
chłopca?

— Ja, wielmożny panie — odrzekł,
prostując się dumnie Szymon.

Przybyły utkwiał w dawnym żoł-
nierzu wzrok pogodny, patrzył długo
w twarz jego, jakby przypominał
sobie, że ją gdzieś już widział. Szy-
mon z równem zajęciem wpatrywał
się w twarz przybyłego.

— Jeżeli się nie mylę — przerwał
jegomość — niespuszczając oka z by-
łego wojaka, Szymon Żołnierzuk,
podoficer...

— Z czwartego pułku strzelców kon-
nych — dokończył Szymon... — Tak,
tak Majorze... poznając przybyłego
zawołał, to ja!...

I dwaj starcy rzucili się sobie
w ramiona.

— Dzielnego macie syna, mój Szy-
monie — rzekł major — i opowiedział
całe zajście z Antosiem, odtąd ja
go biorę na wychowanie, zajmę się
jego losem, a i wam Szymonie na
niczem zbywać nie będzie.

Antoś leżał u nóg majora, a Szy-
mon całował dłoni jego.

— No, dość tego, dosyć! Antoś jest pocziwym synem i szlachetnym chłopcem, da Bóg że się wykieruje na człowieka.

Ziściły się słowa majora. Antoś

ukończywszy chlubnie nauki, zajmuje dziś piękne stanowisko jako urzędnik wyższy przy jednym z biur gubernialnych.

W. BEZZA.

Mysli z Adama Mickiewicza.

IV.

Zaiste, miłe Bogu jest Aniołów pienie,
Ale daleko milsze człowieka milczenie.

V.

Głośniejszy niżli w rozmowach Bóg przemawia w ciszy,
A kto w sercu ucichnie zaraz Go usłyszy.

Rozmaitości.

Przypadki prowadzą częstokroć do najważniejszych odkryć i wynalazków. Oto jeden z licznych przykładów: Oktawiusz Mey, rodem z Florencyi, przybył w XVII. wieku do Lyonu i założył tam wielką fabrykę wyrobów jedwabnych, lecz skutkiem klęsk i wypadków wojennych, utracił cały majątek. Gdy raz zamyślony o swem nieszczęściu siedział nad brzegiem

rzeki, miotany rozpaczą zaczął gryść i żuć kawałek jedwabiu. Potem wyjął go z ust i ujrzał zdziwiony, że jedwab nabrał nadzwyczajnego połysku. Uradowany, powtórzył tę czynność raz i drugi; z resztek pieniędzy jakie posiadał, wystawił maszynę odpowiednią celowi, wkrótce zapłacił długi i potroił majątek.

ZAGADKA

(JÓZEFA CHMIELEWSKIEGO.)

Co to za ptak chłopcze drogi,
Zamiast nóg ma cztery rogi,
A choć skrzydeł nie posiada,
Leci — ludziom odpowiada?

Znaczenie szarady z Nr. 20.

KO-ŁY-SKA.

Skrzynka do listów.

— Autora szarad z Nr. 19 i 20 „Promyka“ poczta **Lisko** — litery na pieczętce M. R., Redakcja prosi o bliższy adres.

— Maryni i Stasiowi: O nowym obrazie Matejki „Batory pod Pskowem“ pomówimy w Nr. 23 „Promyka“ przy życiorysie tego króla.

— F. R. w P. Trzeba się uczyć, uczyć i jeszcze raz uczyć, trzeba poznać zasady gramatyki i składni, a potem wziąć się do próbowania sił własnych. Zawczesnie jeszcze!



ILLUSTROWANE CZASOPISMO DLA MŁODZIEŻY

Wychodzi co dni 10, pod redakcją WŁADYSŁAWA BEEZY.

Kosztuje kwartalnie 1 zł. 50 ct. = 1 tal. — z przesyłką pocztową 1 zł. 70 ct. = 1 t. 4 srg.

KAWAŁEK TORTU.

POWIASTKA

przez Paulinę z J. Wilkońską.

Jeden z uczniów w zakładzie wychowawczym pana Dobruckiego, Janusz Dołęcki, kazał sobie przynieść kawałek tortu, przekładanego wiśniami za pół złotego. Chłopak posługujący paniczom, Szymek — syn Sobótki, lokaja zakładowego, przyniósł go i na stole w klasie położył. Niezadługo nadszedł czternastoletni Alfred Łunowski, zobaczył tort wyborny, opanował go dziwny apetyt, a nie miał go za co zaspokoić. Odłamał kawałek, tort był wysmienity, a łakomy i niewstrzemięzliwy zjadł cały. Właśnie chciał sobie odejść, gdy Szymek nadbiegł znowu i zdybał go jeszcze,

— O Jezusieńku! Panicz! Pan Janusz jest w ogrodzie i przysłał mnie po ten placek, a panicz go zjadł!

— Cicho, głupcze! zgromił go Alfred, dam ci zaraz pół złotego i kupisz inny.

— To niechże panicz da, bo pan Janusz czeka.

— Zaraz, zaraz... Alfred począł nibyto po kieszonkach szukać, ale nie znalazł, bo i wiedział dobrze, że w nich nie ma i feniga. Przyniosę ci zaraz! Pobiegł do sypialni.

Zwykle w każdej po sześciu spało chłopców, a przy każdym łóżku stał mały parawanik, stoliczek z szufladką i krzesło.

Alfred dopadł cichaczem do stolika swojego brata ciotecznego, Stanisława; wyciągnął ostrożnie szufladkę, w której leżała jego portmonetka jak zwykle. Otworzył ją i wyjął złotówkę. Potem portmonetkę na zwykłym położył miejscu, szufladkę zamknął, i cichaczem wyniósł się znowu z sypialni. W sieni Szymkowi podał pieniądź, mówiąc z pewnym wyrazem dumy:

— Masz złotówkę, przynieś mi resztę.

Szymek poskoczył do najbliższej cukierni, kupił ciastko dla Janusza, a pół złotego Alfredowi oddał.

Działo się to pod wieczór pięknego dnia w czerwcu. Chłopcy po ogrodzie biegali. Pan dyrektor Dobrucki siedział w altance z profesorem matematyki. Nauczyciel botaniki dwom uczniom coś tam przy kwiatku jakimś uczenie wykladał.

Po chwili ozwał się dzwon, powołujący do wieczerzy. Chłopcy zespłynęli się i wraz z nauczycielami na salę weszli. W tem, w sieni, wiodącej od sypialnych pokoi, głośną posłyszano kłótnię i płaczliwe odzywanie się Szymka.

— Co to? zapytał dyrektor prze-

strzegający troskliwie porządku, i udał się w tę stronę.

Na korytarzu stał szlochający Szymek, zagniewany Sobótka i Stanisław z portmonetką w ręku.

— Cóż się stało? powtórzył dyrektor pytanie.

— Wielmożny panie dyrektorze! stanął przed nim Sobótka i ręce złożył, wielmożny panie dyrektorze! nigdy jeszcze, z łaski Bożej, jedna szpilczka tutaj nie zginęła. A ot, dziś panu Stanisławowi ktoś wyjął złotówkę z portmonetki. W sypialni po lekcyach był tylko Szymek. Nie posądzam chłopaka, bom go przecie na złodzieja nie wychowałem... Ale, Jezu mój! Panno najświętsza! jużbym go chyba i zabił, gdyby coś takiego na niego wydać się miało...

— Jak... ukrzyżowanego... kocham Boga! — Szymek upadł na kolana, anim widział... O Jezusienku!

— Gdzież miałeś tę portmonetkę? zapytał Stanisława dyrektor.

— W szufladce mojego stolika—odrzekł chłopiec—i chciałem właśnie papieru kupić.

— Czy w portmonetce więcej było pieniędzy? (C. d. n.)

W E T X A W E T X

Komedyjka w 1 akcie przez

A. K. P.

(Dokończenie.)

ADAŚ. Przepraszam bardzo szanownego Pana... (*cicho do Władzia*)

Eh, to jakiś gbur.

WŁADZIO (*cicho do Adasia*). I jakaś niebezpieczna figura, patrz jaką

ma zawadiacką minę, a z oczów niedobrze mu patrzy.

ADAŚ (*do Walentego*). Racz szanowny pan darować, ale widzę że pan jakoś nie w humorze, może słaby,

albo zatrudniony, to my innym razem służyć mu będziemy.

WŁADZIO. Tak, innym razem, z największą przyjemnością... (*chcę odchodzić, Walenty przytrzymuje ich zastępując im drogę.*)

WALENTY (*ostro.*) O! za pozwoleniem, kpić z siebie nie pozwolę, proszę mówić natychmiast czego panowie żądacie?

MACIUS (*na stronie.*) Eh, co mi to za kumendyje, nie tańczują ani nie śpiewają, jo wiem co zrobię, pójdę i psebiorę się także, ale napsód zjem drugi podwiecorek. (*wychodzi cichaczem drzwiami w głębi.*)

Scena VII.

Ciż bez Maciusia.

WALENTY. Proszę siadać i przystąpmy do interesu. (*Walenty siada po prawej stronie, Adaś i Władzio po lewej.*)

ADAŚ. A więc powiem panu otwarcie, że tak właściwego interesu... niby tego co to się nazywa interesem...

WŁADZIO. Tak jest... niby tego co to się nazywa interesem... to my nie mamy żadnego.

WALENTY. A więc, pociście tutaj przyjechali?

Scena VIII.

Ciż i Helenka.

HELENKA (*w ogromnym czepku na głowie, na nosie okulary.*) Czy zastałam panią Malińską?

WALENTY (*na stronie.*) A to kto taki?

ADAŚ (*cicho do Władzia.*) Znowu jakaś nieznajoma pani, doprawdy Władziu ja nie wiem co mam myśleć o tem wszystkim?...

WŁADZIO (*cicho do Adasia.*) Mnie się kompletnie w głowie przewróciło, nic a nic nie rozumiem, chociaż skończyłem już drugą klasę gimnazjalną!

HELENKA. Pytam się czy pani Malińska w domu?

WALENTY. Nie ma, proszę pani, wyjechała, ale jeżeli pani dobrodziejka co rozkaże, to ja mogę załatwić?

HELENKA (*ostro.*) A kto pan jesteś?

WALENTY (*zmieszany.*) Ja jestem Bombalkiewiczem... to jest niezupełnie Bombalkiewiczem do kroć regimentów!... bo właściwie ja nie jestem...

HELENKA. Co to znaczy, proszę mi natychmiast wytłómaczyć! (*obraca się do Władzia i Adasia.*) Może panowie mi objaśnicie? Ale, ktoż wy jesteście?

ADAŚ. Co do nas, to my także nie jesteśmy tem.. czem niby to jesteśmy..

WŁADZIO. Tak, jesteśmy i nie jesteśmy czem niby to...

HELENKA. A moi państwo! widzę, że tutaj się dzieją jakieś nadzwyczajne rzeczy. Jestem dawną przyjaciółką pani Malińskiej, przyjechałam do niej po kilkunasto-letniemu niewidzeniu i zastaję w jej domu to, czego wytłómaczyć sobie nie umiem. Ja państwa ztąd nie wy-

puszczę i natychmiast pošlę po Sołtysa. *(odchodzi w głąb sceny.)*

WALENTY *(do siebie.)* O! źle do kroć regimentów, trzeba widzę wyznać prawdę, bo się mogę czegoś nieprzyjemnego doczekać. *(obraca się i odpina wąsy, zrzuca szlafrok i czapeczkę i zostaje w dawnym ubraniu, podczas tego Adaś i Władzio obracają się w przeciwną stronę i zrzucają także długie surduty i faworyty i zostają w własnym ubraniu.)*

ADAŚ. Władziu! na miłość Boską rozbierzmy się coprędzej i przedstawmy się tej Pani, bo to się źle skończy!

WŁADZIO. Rzeczywiście rozbierajmy się. *(Rozbierają się jak wyżej powiedziano, podczas tego Helenka zdjęła także okulary i czepek.)*

WALENTY ADAŚ i WŁADZIO *(obraćcąc się razem i mówią prędko.)* Pani dobrodziejko, przyznając się do... A to co? Helenka?

HELENKA *(śmiejąc się.)* A tak moi

drodzy, to ja; macie karę za wasze spóźnienie się.

ADAŚ i WŁADZIO *(razem.)* O, ty nie-dobra siostrzyczko! *(ściskają się.)*

WŁADZIO. Ale gdzie pan rządca?

WALENTY *(występując naprzód.)* Oto jest.

ADAŚ i WŁADZIO. Walenty?! *(witaćcąc się.)*

Scena IX.

CIŻ i MACIUŚ *(z drzewianną szablą w ręku i wysokiej papierowej czapce na głowie.)*

WSZYSCY. A to co?

MACIUŚ. A no, kiedy wszyscy się popsebierali, to i ja się także na komedyanta wystrychnąłem, ale kiedy się już kumendyje skończyły to możeby się zabrać do onego podwiecorka. *(słychać za sceną turkot powozu.)*

WALENTY. Ktoś przyjechał! *(biegnie do okna.)* To pani.

ADAŚ i HELENKA *(razem.)* Mameczka!

WŁADZIO. Ciotunia! *(zasłona spada.)*

— K O N I E C. —

DZIEŃ DOBRY!

Dziatwa co rano „dzień dobry“ składa,
Tacie i mamie:

Lecz jakże często mała gromada,
Mówiąc to, kłamie!

I miast rodzicom „dzień dobry“, w rzeczy
„Zły“ niosą dziatki;
Nie jedno srogo serce kaleczy,
Najlepszej matki!

Lecz wy dziateczki! może nie wiecie,
Co jest w tem słowie?

A słówko pojąć należy przecie,
Niém się go powie.

Oto, w „dzień dobry“ moi łaskawi,
Mówicie mamie,
Że żadne serca, jej nie zakrwawi,
Życzeń nie złamie.

Że plon nauki w dniu tym bogaty,
Główka zdobędzie;
Że żadne z dzieci mamy i taty,
Smucić nie będzie!

Ze w dniu tym myśleć o figlach, psocie,
Przestaną dziatki;
Ze dzień ten „dobrym“ zrobią w istocie,
Dla ojca — matki!

Od dziś, „dzień dobry“ niém dziatwa powie
Mamie lub tacie:
Dziatki! pierw dobrze rozważcie w głowie,
Czy dotrzymacie.

WŁADYSŁAW BEEZA.

Jadalne gniazda jaskółek.

We wschodniej Azji, mianowicie
w Indjach, Chinach, na wyspach
Jawa, Sumatra, Borneo i innych

tunek przymocowywa swe mieszkanka
do skał nad brzegiem morza, gdzie
w największej ilości przebywa. Za-



Jadalne gniazda jaskółek.

indyjskiego oceanu, znajduje się gatunek jaskółek, których mieszkania znane są w handlu pod imieniem gniazd jadalnych. Z wierzchu jest ten ptaszek siwy, pod spodem jaśniejszy, lotki i ogon ma czarne.

Podobnie jak nasze jaskółki, budujące sobie gniazda z błota i przyczepiające je do ściany, tak i ten ga-

chodzi tylko ta różnica między naszymi jaskółkami a azjatyckimi, że te ostatnie budują sobie gniazda nie z mułu, lecz z takiej materji, która służy ludziom jako artykuł pożywienia, a raczej jako przysmak.

Po obu stronach dzióbka, wewnątrz mianowicie, znajdują się gruczołki wydzielające obficie kleistą ślinę, słu-

zając do budowania gniazd. Kiedy nadchodzi czas tej budowy, ślina odchodzi w większej ilości jak zwykle. Końcem języka wyciskają ją jaskółki i przymocowują do skały; to powtarzają co kilka minut, tak że wkrótce powstaje na dół wydłużone gniazdko, mające niejaki podobieństwo z gniazdami naszych jaskółek. U góry jest ono otwarte; tylną ścianę stanowi skała, a całą przednią i dolną razem zaokrągloną część stanowi ta kleista ściana, która na powietrzu zasycha w twardą, przezroczystą masę.

Odrywaniem od skał tych gniazd, zajmują się nadbrzeżni mieszkańcy wyżej wymienionych krajów, a następnie przychodzą one do nas jako bardzo drogi przysmak; to też tylko bogaci mogą sobie pozwolić podobnego zbytku.

Rodzaj ten jaskółek (*Die Salangane*, - *Collocalia nidifica*) przebywa w wielkich gromadach nad brzegami morza, i składa w swych gniazdach po dwa lub trzy jaja, z których później wykluwają się młode.

K. G.

Posłuszny Wicus.

Rodzice bardzo kochają swoje dzieci, to też i dzieci powinny kochać swoich rodziców; zawsze robić to, co im jest miłe i czego sobie życzą. Wiedział o tem dobrze mały Wicus, więc też kochał rodziców swoich, uczył się jak tylko mógł najlepiej, aby im sprawić pociechę i przyjemność.

Po pewnym czasie spuścił pan Bóg chorobę na jego mamę. Leżała długo, a choroba była przykrą i dokuczliwą. Wicus ciągle siedział przy łożu mamy, czekał rychło mu co podać każe; usłużył najchętniej, a nie raz czytał jej książeczki, aby się jej nie przykrzyło.

Jednego dnia po południu zasnęła mama. Ojciec mówił do Wucusia:

— Ja muszę wyjść za interesem, zasłoń że firanką okno, aby słońce nie raziło mamy i siedź spokojnie, bo się łatwo przebudzić może, a sen dla chorego jest nader korzystny i pożądany.

Uczył Wicus, jak ojciec nakazał. Zasłonił okno, usiadł na krzeselku i smucił się, że matka jego jest chorobą złożoną, a nawet przypuszczał, iżby sam wolał leżeć, byle tylko matka powstać mogła...

Wtem przychodzi do niego współuczeń Bolcio.

— Czy będziemy się dzisiaj bawili w ogrodzie? — pyta się go zaraz.

— Nie będziemy, kochany Bolciu! — odpowiedział Wicus — bo mama niebezpiecznie chora, a oprócz mnie nie ma przy niej nikogo. Ojciec poszedł do miasta. W takim razie bawić się się nie mogę.

— To odsuń firankę, bo tu ciemno!...

Na to odparł Wicus.

— Nie mogę, boby słońce raziło mamę w oczy. Tem wyrządziłbym mamie przykrość.

— Przecież zdaje się mi, że mama twoja spi dobrze...

— To nie nie znaczy; ojciec tak kazał i tak być musi. Wola rodziców jest dla mnie świętą; ja ich kocham, dla tego nie postąpię inaczej, tylko tak, jak sobie życzą...

— Uparty z ciebie, ojca tu nie ma, to nie będzie widział...

— Dziwię się Bolciu że do mnie tak mówisz. Czy myślisz, że dobre wtedy tylko robić trzeba, gdy kto na nas patrzy? O! już to rzecz ostatnia, gdy dziecię wtedy tylko dobrze robi, gdy na nie patrzą — mówił nam nauczyciel. — Człowiek jawnie, czy skrycie, zawsze powinien robić dobrze, bo to już taka wola Boża...

— Więc dzisiaj nie już z naszej zabawy?

— Nic, kochany Bolciu! Odróżmy ją

na kiedyś indziej!... Bolcio chciał już odchodzić. Wtem nadszedł ojciec Wicusia.

— Czy śpi mama? — pyta się ojciec.

— Właśnie teraz się przebudza — odrzekł Wicus.

— To pięknie! — powie ojciec — odsuń frankę i idź się trochę pobawić z Bolciem; ja teraz zostanę przy mamie, dopóki służąca nie przyjdzie z miasta.

Wicus poszedł się bawić do ogrodu, ale był smutny, że mama leży w łóżku. Niebawem wyzdrowiała mama. Jak się z tego cieszył Wicus, nie trzeba wam mówić. Kochał on rodziców i oni go też kochali całym sercem.

Naśladujcie dzieci! dobrego Wicusia.

Józef Chmielewski.

Dzieci w Bretonii.

Piękny do dziś dnia zachował się zwyczaj w Bretonii, największym półwyspie francuskim, wysuniętym ku zachodowi w ocean atlantycki.

Jeżeli matka umrze w jakiej gminie, zostawiwszy niemowlę po sobie, w takim razie wszystkie drugie matki uważają je jako wspólne swe dziecię i gorliwie wychowaniem jego się zajmują. Zwykle proboszcz miejscowy jedną z nich wybiera, do której największe ma zaufanie, i poleca jej opiekę nad sierotą. Żadna zaś matka nie usuwa się od tej *świętej służby*, nie robiąc różnicy pomiędzy cudzem a swem własnem dzieckiem.

Jeżeli zaś jedna matka jest za uboga, aby sama taki ciężar mogła wziąć na siebie, kilka się w tym celu jednoczy. Jedna bierze sierotkę w swój

dom, druga stara się o przyodziewiek, trzecia o wyżywienie, wszystkie zaś upatrują w tem szczególniejsze błogosławieństwo boskie, że mogą kolejno je pielęgnować i czuwać nad niem.

W ogóle wszystko, co się do wieku dziecinnego odnosi, ze względu na dzieciństwo Zbawiciela naszego, świętymi zwyczajami jest otoczone. Tak n. p. nikt nie mija kobiety niosącej na ręku dziecię, żeby nie przemówił do niej: „niech cię Bóg błogosławi!“ Nawet nienawiść przed tym zwyczajem się korzy. Choćby kto gorącą zemstą pałał przeciw nieprzyjacielowi swemu, nie śmie kłątwy miotać na niego, ale ze słowem błogosławieństwa do niego się odzywa, skoro go w towarzystwie niewinnego dziecięcia zobaczy.

W stuletnią rocznicę.

MODLITWA DZIECI

DO MATKI BOSKIEJ KRÓLOWEJ KORONY POLSKIEJ.

Matko! Twe Imię wszędzie wielbione,
Wszystkim nędzarzom znana Twa dłoń,
Jeden Ci naród złożył koronę,
Na Twoją skroń!

A oto Matko! stroją Twe syny,
Stu lat już całych dobiega kres,
Koronę ową — we krwi rubiny,
I w perły łoż!

Matko! Twym wzrokiem bole kojącym,
Na dzieci Twoich modlitwę rzuć!
Synom Twym wiernym a bolejącym,
Ojczyznę wróć!

SEWERYN ZAGÓRSKI.



W dniu 5 Sierpnia r. b. upłynęło sto lat od chwili pierwszego rozbioru Polski. Dzień ten, obchodzono wszędzie żałobną modlitwą, za poległych w stuletnich walkach za wolność, dziadów i ojców waszych. I wy zapewne kochane dzieci! w dniu tym modliłyście się gorąco, za pomyślność ojczyzny. A jeśli które z was nie dopełniło tego obowiązku, niechże dopełni go dzisiaj i odczyta powyższą piękną modlitwę, do Matki Boskiej królowej Polski i poszle do Niej westchnienie za pomyślność ojczyzny. Nadto drogie dzieci, na pamiątkę dnia tego, złożcie ofiarę na oświatę ludu, a tak, dzień ten smutny, najpiękniejszym czynem, bo datkiem dla biednych uświęćcie — i wyjednaćie sobie i krajowi błogosławieństwo Nieba.



ILLUSTROWANE CZASOPISMO DLA MŁODZIEŻY

Wychodzi co dni 10, pod redakcją WŁADYSŁAWA BEEZY.

Kosztuje kwartalnie 1 zł. 50 ct. = 1 tal. — z przesyłką pocztową 1 zł. 70 ct. = 1 t. 4 srg.

LITANJA DO POLSKI.

Wolności słowo! Kiedy twoje wrota,
Jak raj przedemną rostoczone stoją:
Na twoich progach o wolności złota,
Powitam ojczyznę moją!

Polsko! manno obfitości,
Malowana podań księgo,
Skrzydło, co otulasz gości,
Karmazynie i siermięgo!
Złoty pierścieniu braterstwa,
Sierpie, co ścinaś wawrzyny,
O! kolumno bohaterstwa:

Polsko! módl się za Twe syny!

Polsko! czaro bursztynowa,
Balsamicznych pełna miodów,

Rąbku ze szronu i lodów,
Co przedzie z Niebios Królowa; —
Wslawionej urody tronie,
Tęczo wśród wielkiej łez chmury,
Sercowej modlitwy dzwonie:

Polsko! módl się za Twe córny!

Polsko! puklerzu kościoła,
Wielkiej ofiary ołtarzu,
Palmo w prawicy anioła,
Żywszy od żywych cmentarzu;
Bujna topolo swobody,
W którą próżno grom uderza,
Arko trzeciego przymierza:

Polsko! módl się za narody!

BOGBOJNA.

KAWAŁEK TORTU.

POWIASTKA

przez Paulinę z J. Wilkońską.

(C I A G D A L S Z Y.)

Byla tylko ta jedna złotówka.

Szufladka była zamknięta?

— Na zasuwkę. Nie noszę zwykle portmonetki przy sobie.

— I Szymek tam chodził?

— Zaniósłem... wodę... Chłopak płakał ciągle.

— To jest fatalna historia! I mój Sobótko, winienesz chłopaka na ścisłe wziąć śledztwo...

— Oberwę mu uszy, zbiję na kwaśne jabłko — srożył się zmartwiony ojciec — a zamknę go w karczeresie dopóki się rzecz nie wykryje.

W tej chwili nadszedł Alfred, przystanął i pobladł zlekka. Sobótko pochwycił chłopaka za kołnierz. Szymek obejrzał się na Alfreda, ale nie mówił.

— Dalej do ciupy! Sobótko uprowadzał płaczącego biedaka, który znowu obejrzał się na Alfreda.

— Co to? Cóż się tu dzieje? pytał nadchodzący, szesnastoletni uczeń, Karol Wydrychowski.

— Stasiowi zginęła z portmonetki złotówka, a podejrzenie pada na Szymka — odrzekł dyrektor.

— Na Szymka? — zastanowił się Karol i spojrzał znacząco na Alfreda.

Sobótko uprowadzał chłopaka.

— Dalej teraz do wieczery, panowie — zagadał dyrektor — a potem rozpoczniemy indagacye.

Karol przystąpił do dyrektora i powiedział mu półgłosem:

— Pan dyrektor pozwoli, to mu po wieczery słów kilka sam na sam powiem.

— Dobrze, udamy się do kancelaryi.

II.

Uczniowie i nauczyciele z dyrektorem na czele, obsiedli stół długi w milczeniu, bo wyraźnie coś złego nad całem zawisło zebraniem. Dyrektor był ponury. Nauczyciele milczeli. Pensjonarze jeden na drugiego z pewną ciekawą spoglądał trwogą. Sobótko usługiwał smutny.

Po wieczery udali się Karol z dyrektorem do kancelaryi.

— I cóż mi powiesz? — zapytał pan Dobrucki.

— Panie dyrektorze — odrzekł Karol — miałem ból zęba i położyłem się na łóżku mojem. W tem nadszedł Alfred zcicha, na palcach, a nie widział mnie. Otworzył szufladkę Stanisława...

— Więc to Alfred jest złodziejem? — rzucił się dyrektor niecierpliwie.

— Widziałem na własne oczy, jak wyjął portmonetkę, a potem znowu wymknął się z cicha i nawet drzwi za sobą nie zamknął.

— Szkaradna sprawa! dyrektor przywołał Stanisława i Alfreda.

Karol w obec nich wyznanie swoje powtórzyć musiał.

— Ja... nie wyjąłem portmonetki! Alfred poczerwieniał jak burak.

— Wyjąłeś! wyrzekł Karol z przy-ciskiem — wzięłeś z niej pieniądź jakiś, widziałem to dobrze. Potem znowu szufladkę zamknąłeś ostrożnie i wymknąłeś się na palcach. Wyznanie to uczyniłem, bo znieść nie mogłem, ażeby niewinny Szymek za to cierpieć.

— Alfredku! Czemżeś mi tego nie powiedział? — wymówił Stanisław z żalem.

— Ja... ja... chciałem oddać... zaraz — jękał się Alfred.

— Po tem co zaszło — ozwał się dyrektor do Alfreda surowo — muszę ciebie ze zakładu oddać, bo złodzieja tutaj trzymać nie mogę.

Alfred ukrył twarz w dłoniach.

— Panie Dyrektorze! Na miłość Boga! rzucił się do stóp jego Stanisław. — Przez litość, nie czyn, pan tego! Alfreda matka skonałaby pewno! Stryj nasz cofnąłby dobrodziejstwo swoje! Och, panie dyrektorze, zmiłuj się! — chłopiec objął kolana jego i płakał.

(C. d. nast.)

NIETOPERZ

przez JÓZEFA CHMIELEWSKIEGO.

Bóg stworzył pomiędzy milionami zwierząt jedno dziwnego kształtu, które ma podobieństwo do myszy i jak ptak latać może. Jest to nietoperz czyli gacek. A chociaż lata, nie ma on ani piór, ani skrzydeł, jak ptak; lecz jak mysz ma włos na sobie. Odnoża tylne ma krótkie, z palcami w pazurki zaopatrzonemi; u przednich odnoży ma cztery bardzo długie palce bez pazurków. Wśród tych palców widzimy rozpiętą błonę, za pomocą której może latać. Nietoperz nie jest więc ptakiem, tylko zwierzęciem ssącym czyli ssakiem. Lot nietoperza nie jest jednak tak doskonałym jak ptaka. Nietoperz lata dosyć szybko, ale nie tak zręcznie i tak wysoko, dla tego się nam wydaje, jakoby się dopiero uczył latać.

Nietoperze nie mogą biegać po

ziemi, lecz czołgają się tylko i to bardzo niezgrabnie. Gdyby przypadkiem znajdowały się na ziemi, nie potrafią się inaczej wzbąć w górę, dopóki się pierwszej nie wdrapią na mur lub drzewo. Wtedy rzucają się w powietrze, rozłączają błony i tym dopiero sposobem unosić się mogą.

Czyście już widziały, dzieci, latające nietoperze? O! pewnie że nie raz i nie dwa razy. A kiedyż one latają; z rana, czy wieczór, w lecie, czy w zimie? Na to odpowiecie: w dzień i wieczór. W dzień jednak nie mogliście ich widzieć w powietrzu, ani też na ziemi. W dzień widziałyście je zapewne gdzie na strychu i tam mogliście się im przypatrzeć dokładnie. Nietoperz jest wielkości domowej myszy. Rozpostarłszy błony, może wynosić stopę szerokości. W zagra-

nicznych krajach są daleko większe nietoperze. A czy wszystkie nietoperze latają tylko w nocy? Tak jest, moje dzieci! Wszystkie lękają się światła i przez dzień spią w swoich norach, jak: na strychach, za gontami, w dzwonnicach, starych drzewach, zawiesiwszy się na odnóżach tylnych. Dopiero wieczorem wylatują ze swoich siedzib i skrzętnie polują za muchami, komarami i ćmami, dla tego są bardzo pożytecznymi zwierzętami. Jedne z nich latają wieczorem, inne w nocy, inne nad ranem, bo o każdej porze pojawiają się dla nich inne owady. Gdy tylko dzień zaczyna, zaraz chowają się nietoperze. Będąc czułymi na zimno, chowają się nie raz w kominach, co dało powód do mówienia, że się żywią słoniną. Bajka to wierutna. Ciemni ludzie utrzymują także, że nietoperz powstaje z myszy i to w ten sposób, że zjadłszy świecę w kościele, przemienia się w nietoperza. Mówią dalej, że nietoperz wkręca się do włosów. Jest to tylko postrach dla nieobyczajnych dzieci, które z odkrytą głową chodzą po

ulicy. Takim baśniom nie dajcie nigdy wiary, ale temu wierzcie, że nietoperze tępią także zwierzęta szkodliwe, których by wytepić nie podolali ani ludzie, ani ptaki. Z tego powodu zasługują nietoperze na staranną obronę. Dzieci zaś nie powinny ich ani kałeczyć, ani zabijać, ani płoszyć śpiących z ich kryjówek. W wielu miejscach dokuczano nietoperzom, lecz się potem przekonano, że lepiej je oszczędzać, niż ponosić szkodę z liczego mnożenia się szkodliwych owadów.

A cóż robią w zimie? ciekawe jesteście wiedzieć. Przesypiają całą zimę gromadnie w ciemnych norach, nakrywszy się błonami swemi, jakby płaszczami, wisząc na odnóżach tylnych. Przez cały ten czas nie budzą się wcale, nic nie jedzą, aż dopiero ciepło wiosenne budzi je ze snu długiego. Przyszedłszy do siebie z odrętwienia, puszczają się znowu porą nocną za ulubionym żerem, sprawiając ludziom nieoszacowane usługi. Jak to mądrze urządził kochany Stwórca, że w zimie, gdy nie ma owadów, nie latają nietoperze.

(Dok. nast.)

POLSKA DZIEWECZKA.

Jak gołąbek biała, czysta,
Jako trzcina zgrabna, gibka,
Jak gwiazdeczka promienista,
Hoża, zdrowa niby rybka!

Jak ptaszyna, tak wesoła,
Gniew jej lica nie zachmurzy,
Dusza jasna jak anioła,
Buzia krasna jak kwiat róży!

Jak lilijka chodzi w bieli,
Lgnie jak pszczołka do książeczki,
Z biednym sercem się podzieli:
Oto typ polskiej dziewczeczki!

Wł. Bełza.

Stefan Batory

od 1576 do 1586.

Znany wam zapewne, choć ze słyszenia moje dziatki, sławny obraz Jana Matejki, przedstawiający króla naszego Stefana Batorego, jak pod Pskowem hołd od moskiewskich posłów przyjmuje. Pewny jestem że tym dzieciom które go widziały, podobały się bardzo piękne twarze panów

kilka. Po nader krótkiem panowaniu Henryka Walezyusza, pierwszego z elekcyjnych królów polskich, oddał naród koronę siedmiogrodzkiemu księciu Stefanowi Batoremu, stawiając jednakże między innemi i ten warunek, by pozostała córka Zygmunta I. Annę Jagiellonkę w małżeństwo pojął. Przy-



Stefan Batory.

polskich, ich bogate ubiory, że zachwycaly się tym wspaniałym widokiem. Ale jeżeli niektóre z was tak zajął obraz, czyż nie więcej was zająć powinna historia tego wielkiego króla, który takie odbiera hołdy od obcych mocarstw? By więc waszę ciekawość zaspokoć opowiem wam o nim słów

jął Stefan wszystkie warunki i tron polski, a koronowany dnia 1 maja r. 1576 w Krakowie wraz z Anną, nie zwlekając czasu, zajął się najważniejszymi sprawami Rzeczypospolitej.

A było to w owych czasach bardzo ciężkiem zadaniem rządu Pol-

ską. Wewnątrz kraju zastał on nieład coraz bardziej wzrastający. Panowie polscy, dumni ze swej przewagi w narodzie coraz większych domagali się wolności, a potęgę króla niechętnie uznawali. Niektóre prowincje nawet i grody jak na przykład Gdańsk niezadowolone z jego obioru, wcale się jemu poddać nie chciały. Stefan Batory potrafił jednakże stałością i sprawiedliwością swoją prędko je przyciągnąć do siebie. Najdłużej jednak w uporze trwało miasto Gdańsk i aż obłożeniem do uznania go królem musiało być przywiedzione.

Z zewnątrz miał kraj niebezpiecznego wroga w Iwanie Groźnym carze moskiewskim. Zabrał on kilka zamków polskich na Litwie i Inflanty opanował. Jemu więc wypowiedział Stefan Batory wojnę. Wojna ta ciągnęła się z małemi przerwami przez trzy lata a ciągle w niej zwyciężał Batory. Sławne są jego zdobycze Połocka, Pskowa, Wielkich Łuk, i wielu innych zamków. Car z dumnego i wyniosłego stawał się coraz bardziej pokornym. Posłów do Batorego ciągle wysyłał z prośbą o pokój, coraz łagodniejsze stawiając warunki, na wiarę rzymsko-katolicką nawet przejść obiecywał, byle tylko papież się za nim wstawił. Ale Stefan Batory znał

obludę Iwana i nie ustępował w niczem. Wreszcie po trzeciej wyprawie na Moskwę stanął pokój w którym car Inflanty całe oddał, Batory zaś niektóre zamki w ciągu wojny zdobyte przy nim zostawił.

Stefan Batory tak jak w wojnie nieugiętym i walecznym był wodzem, tak i w pokoju mądrym i sprawiedliwym zarządcą się okazał. Nauki najgoręcej wspierał, fundował akademie w Wilnie, inne szkoły w kraju podnosił i wspomagał i uczonych ludzi z zagranicy do Polski sprowadzał.

Ludziom światłym i dla ojczyzny pracującym największe okazywał uszanowanie i przyjaciół sobie z nich tworzył. Jednym z nich był sławny kanclerz i hetman Jan Zamojski. Zgadzaiać się we wszystkich zamyślach około dobra narodu z królem, był on jego największą pomocą. Odwdzięczył mu się też Batory i własną synowicę Gryzelde Batorównę w małżeństwo oddał.

Nie dziw więc że króla tak mądrego, sprawiedliwego i walecznego naród pokochał i szczęśliwym się czuł pod jego rządami. Ale te niestety nie długo trwały. W dziesięć lat po objęciu rządów, wśród ciągłych prac około dobra kraju umarł Batory nagle w Grodnie r. 1586.

S. Z.

Myśli z Adama Mickiewicza.

VI.

Człowiek jest urzędnikiem wysokiego stanu:

Cały świat służy jemu a on tylko Panu.

LISTY DO MŁODYCH PRZYJACIOŁ.

V.

DO MIECZKA R.

Jesteś pilnym, mój Mieczku, masz zdolność wrodzoną i zamięłowanie do nauk. Należysz do lepszych uczniów w zakładzie, o czym sam wiesz dobrze. Niechaj to wszelako nie wzbija ciebie w zarozumienie, ale raczej coraz większym stanie się bodźcem i zachętą, bo zarozumienie zabija zdolność, a nikt zarozumialca nie lubi. W tobie ta wada nie istnieje i pozostań skromnym a swobodnym, jakim byłeś dotąd. Staraj się o coraz większe względy u nauczycieli swoich, przez pilność i pracę wytrwałą, bo że masz zdolność to nie twoja zasługa, ale dar Boży, za który gorącą winienesz składać podziękę: dał ją tobie ojciec niebieski, postęp zaś w naukach i wytrwałość od ciebie samego zależą. Zasób wiedzy największe stanowi bogactwo, niespożyte nigdy: bogactwo, którego ani pożar nie spali, ni też woda nie zabierze. A najwyższe na ziemi szczęście stanowi przekonanie wewnętrzne człowieka: że własną pracą sam sobie pomyślność zdobył swoją, i powodzenie stworzył. Nadto zważaj mój chłopcze, że kraj nasz potrzebuje ludzi z głową, z rozumem i nauką, czego niemożna dość wiele razy powtarzać. Zatem, ucząc się, nie tylko na własną pracujesz przyszłość, ale i jako syn kraju: by stać

się użytecznym dla ojczyzny swojej.

Winienesz także w szczególnej mieć pieczy język twój ojczysty, nasz piękny język polski! drogą naszą po praojcach puścić! W instytucie w którym jesteś, nie wiele język polski bywa wykładanym, przeto sam powinienesz pracować nad sobą i uprawiać go starannie. Zważaj na wyraz każdy. Staraj się pisać poprawnie. Strzeż się obcych w polskiej mowie wyrazów, ażeby jej czystości nie szkodzić. Czytuj dobrych autorów polskich, i wykształcaj język swój podług ich wzorów. Nie zaniedbuj go i na chwilę jedną, mówiąc sobie, że to nieodpuszczonym jest grzechem.

Twoi współuczniowie są Niemcy, bądź dla nich szczerym, otwartym, życzliwym, ale nie zapominaj nigdy, że jesteś Polakiem!

Naród polski jest wskazanym na ciągłe przeciwności i walki, znać takie próby przeznaczyła mu Opatrzność. Ale nie masz siejby bez plonu. Nie masz trudu bez nagrody. To też, kto dobrym jest Polakiem i Boga miłuje, niezachwianą w duszy ma wiarę, że nauką, pracą a cnotą inne kiedyś stanowisko zajmujemy, i szczęście utrwalimy ukochanej ojczyźnie i braci naszej.

Bóg z tobą, mój chłopcze!

Paulina Wilkońska

H A L G E

na obrazku Matki Boskiej.

Gdy wcześniej z matki uścisku, — ciebie
Wydarła konieczność sroga,
Ty teraz drugą matkę masz w niebie,
Tam w niebie, dziewczeczko droga!

Ona cię ścieżką powiedzie gładką,
Łaskami wesprze cię swemi,
Ona ci ojcem — Ona ci matką,
Ona ci wszystkim na ziemi.

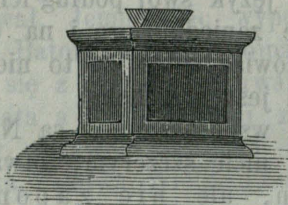
Tu szczęścia mało, — cierpienia wielkie,
Radość się miesza ze łzami.

Więc proś tę Smutnych Pocieszycielkę:

„O Maryo! módl się za nami!“

M. J. D.

Na oświatę ludową.



Stanisław B. z król. Polskiego 1 zlr. Zosia i Wandzia Hołubowicze, Helenka i Stasio Lachowicze, Zosia Pawłowska i reszta grających, składają czysty dochód z odegranej przez nich komedyjki „Niespodzianka“ w kwocie 3 zlr. na oświatę ludową. Na ten cel Felisia R. z Okopów, przy liściku w którym mówi: „Puszka na oświatę ludową u nas próżna nie stoi, składałyśmy czas dłuższy po parę centów, żeby razem panu Redaktorowi odesłać. Ja dałam tylko 80 ct. (Ależ to wcale dosyć, drogie dziecię! Oby wszystkie dziatki polskie tyle tylko złożyły, a już by zebrał się fundusz dostateczny! Przyp. Red.) Resztę złożyli: Ciocia, Helcia, Jadzia, Tadzio i Oleś, razem 3 zlr. 60 ct. w. a. Z poprzednio zebranymi składkami 21 zlr. 3 tal. 16 sgr.

SZARADA.

(JÓZEFA CHMIELEWSKIEGO.)

Pierwsze z drugim to osoba,
Która dzieciom się podoba;
Trzecią samą, chowa woda.
Kto obróci ją i doda
Albo pierwszą, albo drugą,
Nie potrzeba czekać długo,
A rzecz będzie do zabawy.
Całość — mają bagna, stawy.
Znana dobrze to roślina,
Zna ją także medycyna.

Znaczenie zagadki z Nr. 21.

LIST.

Telegram „Promyka“

Szczawnica d. 14 Sierpnia. Bawiące tu dzieci, urządziły owacę na cześć znakomitego wieszczą Seweryna Goszczyńskiego. Skoro osiwały w zasługach poeta, ukazał się na przechadzce, zastąpił mu dziatki drogę i uwieńczył go kwiatami. Chwila była bardzo rozrzewniająca. Goszczyński błogosławił dzieciom.



ILLUSTROWANE CZASOPISMO DLA MŁODZIEŻY

Wychodzi co dni 10, pod redakcją WŁADYSŁAWA BEEZY.

Kosztuje kwartalnie 1 zł. 50 ct. = 1 tal. — z przesyłką pocztową 1 zł. 70 ct. = 1 t. 4 srg.

TEATRZYK DZIECINNY.

I.

O rolach i o próbach.

Teatrzyk domowy czyli tak zwany amatorski, we wszystkich ucywilizowanych narodach, należy prawie zawsze do uświetnienia każdej domowej uroczystości, w kółkach rodzinnych.

Pewien podróżujący warszawianin, który dłuższy czas bawił w Nowym-Orleanie (w Ameryce), opowiada: że w tem mieście, w każdym niemal domu jest urządzony miejscowy teatrzyk, ze wszystkimi potrzebnymi do tego przyborami, pozostaje on pod bezpośrednim zarządem najstarszych dzieci w rodzinie, które w dniach uroczystych zwykle urządzają przedstawienia.

Zapraszają one wtedy do współludziału w zabawie najbliższych krewnych lub przyjaciół, a ze starszych osób zwykle ktoś przyjmuje na siebie obowiązek dyrektora, zajmuje się wyborem sztuki, rozdaniem ról pomiędzy grających i dopilnowaniem porządku, ażeby zabawa i widzom i grającym, sprawiła pewną przyjemność.

U nas umysłowa ta rozrywka, nie jest jeszcze rozpowszechnioną, zaledwie gdzie niegdzie i to tylko w zamożniejszych domach napotkać można urządzony teatrzyk. Dla tego, podając wam kochane dzieteczki, wyłącznie dla was napisane sztuki, przedsięwzięliśmy zarazem wykazać i sposoby ułatwiające ich wykonanie.

Rzecz nie jest tak trudna; wy-

pada tylko z cierpliwością, skrzętnie i gorliwie przystąpić do działania.

Najpierw więc należy obrać sztukę do grania, przypuścimy że nią ma być komedyjka „Duch Hamleta“; otóż tyle ról rozpisać należy ile osób wchodzi do tej sztuki.

Każda rola powinna być oddzielnie wypisaną i oddaną grającej osobie do wyuczenia się na pamięć, następnie jak już wszystkie osoby będą dokładnie umiały swoje role, należy w całym komplecie zrobić próbę. Pierwsza próba zwykle nie bardzo się udaje, czem się jednak nikt zrażać nie powinien, ale z całą cierpliwością wykonać drugą i trzecią a czasami i piątą próbę, dopóki dyrygujący nie uzna, że już można przystąpić do przedstawienia. Dla tego radzimy zawczasu obmyślać wszystko, ażeby dokładnie było przygotowane na dzień oznaczony.

Oprócz osób grających potrzebnym jest jeszcze sufler, który z całą przytomnością umysłu powinien dawać baczność, i na wypadek przyjść w pomoc pamięci grającemu i dla tego cały egzemplarz powinien znać dokładnie i z cicha czytać go na każdej próbie.

Dyrygujący zaś zwykle przyjmuje na siebie obowiązek wypisania na osobnej karteczce wejścia osób i dopilnowania, ażeby nikt się nie spóźnił z wchodzącym na scenę; do niego także należy dopilnować, aby w porę odbywało się to wszystko, co tylko odbywa się za sceną n. p. *słychać stukanie* albo *słychać dzwonek* itp.

Sufler dzwoni na rozpoczęcie sztuki i na zakończenie; ale przy rozpoczęciu należy mu czekać, dopóki dyrygujący nie da znaku kłaśnięciem, że już wszystko jest gotowe do przedstawienia.

(Dokończenie nastąpi.)

KAWAŁEK TORTU.

POWIASTKA

przez Paulinę z J. Wilkońską.

(CIAĞ DALSZY.)

Przebaczenia, panie dyrektorze! dołączył i Karol prośbę swoją. Ciężko mi bardzo, zem Alfreda oskarżyć musiał, ale uczyniłem to w imię sprawiedliwości...

— I to było powinnością twoją: raz, ażeby niewinny nie został posądzonym i karanym; powtóre, ażeby winowajcę nie minęła kara: bo gdzie niemasz kary, tam niemasz i miary.

Kto dzisiaj grosz cudzy sobie przywłaszczy, sięgnie jutro po talara, i tak dalej, a dalej...

— Jezu! Jezu mój! — jęknął Alfred.

— Mały bywa początek, ale szczelki złego i do zbrodni doprowadzić gotowe!

Alfred drżał cały.

— Panie dyrektorze, przebaczenia!

Alfredzie, musiałem prawdę wyświecić! Karol wyciągnął ku niemu rękę.

Alfred upadł na kolana i jęczał. Stanisław i Karol błagali za nim.

Dyrektor napominał srodze młodego winowajcę, przemawiał do jego sumienia, a wreszcie — wyrzekł:

— Czy przyrzekasz, że nigdy już do podobnego nie posuniesz się czynu?

— Nigdy! nigdy! Przysięgam! — jęczał chłopiec.

— Pomnij, jak to złe jedno pociąga drugie za sobą. Łakomstwo było pierwszym grzechem twoim, nie umiałeś go pokonać, nie zapanowałeś nad sobą, a to pociągnęło do wielkiego przestępstwa i do złodziejstwa i do rzucenia podejrzenia na niewinnego biedaka. Staś i Karol proszą za tobą. Żal mi szczególniej matki twojej, która na wysoki zasługuje szacunek i serdeczne współczucie. Bo i cóżby się stało, gdybym ciebie sromotnie z zakładu wydalili? Plama i tak pozostanie ci na długo, dopóki jej postępkami dobrymi i skruczą nie zatrzesz.

— Panie dyrektorze! On już nigdy nie podobnego nie zrobi! — błagał Stanisław znowu.

— A my zamilczymy o tém, co zaszło. Zatrzymamy wszystko w ścisłej tajemnicy — wymówił Karol.

— No, to i niechże się tak stanie! Potrzeba ręką wesprzeć tego, który się potknął i upadłego podźwignąć, tak nakazuje miłość bliźniego i obowiązek chrześcijański, Alfredzie, jam powinien ukarać, ale przez wzgląd na matkę twoją, zatrzymam ciebie jeszcze w zakładzie. Postępuj tak na-

dal, ażebyś pobłażliwości mojej nie żałował.

— Panie dyrektorze! Już nigdy, przenigdy, nie takiego nie zrobię! Alfred całował go w kolana i ręce.

— Niechaj dzień dzisiejszy na zawsze w świeżej pozostanie ci pamięci. Karolu i Stanisławie, czy zachowacie tajemnicę?

— Jak najsumienniej — odrzekł Karol — przysięgam!

— To podajcież sobie ręce.

Chłopcy uścisnęli się.

— A teraz, Karolu i Stanisławie, pozostawcie mnie samego z Alfredem.

Karol i Stanisław wyszli.

Alfred pozostał jeszcze z kwadrans z dyrektorem.

— A teraz chodźmy Szymka uwolnić — wymówił następnie dyrektor i weszli pospołu do więzienia biednego chłopaka.

Młody więzień siedział na ziemi i płakał. Gdy wszedł dyrektor z lampą w rękę a za nim Alfred, porwał się nagle na równe nogi.

— Pan Alfred opowiedział mi, że wziął złotówkę — zagadał do niego dyrektor. — A czy ty wiedziałeś o tem?

— Domyślałem się, wielmożny panie dyrektorze — odrzekł Szymek — ale... posądzać nie śmiałem... i przecież to panicz!

Dyrektor spojrzał na Alfreda, który stał obok, jakoby winowajca wielki.

— Domyślałeś się?

— A jużci, wielmożny panie dyrektorze... Bo panicz nie miał pieniędzy... potem do sypialni poszedłem... i złotówkę przyniosłem...

— I dla czegoż nie powiedziałeś tego na swoją obronę?

— Bo... bo... bo żal mi było panicza... przecie i nie wiedziałem pewnikiem, a posądzać niesprawiedliwie wielkim jest grzechem.

Dyrektor spojrział znowu znacząco na Alfreda, który ze skruchą głowę pochylił.

— Zawsze to panicz — mówił jeszcze Szymek — a jeszcze i sierota, bez ojca.

Dyrektor potarł dłonią czoło, bo go rozrzewniła poczciwość chłopaka.

— Alfredzie, a cóż ty na to? — zwrócił się ku niemu.

— O mój Boże! — zawołał Alfred ze wstydem — jakież on poczciwy, szlachetny, rzucił się Szymkowi na szyję.

— Dobrze, żeś ocenił jego szlachetne uczucie, i zachowaj wdzięczną dla niego pamięć.

— Na zawsze! Na zawsze!

— Szymku! — wymówił jeszcze dyrektor — a sz! przed wszystkimi o tem co zaszło. Pan Alfred odpokutował za lekkomyślność swoją i jeszcze pokutować będzie. A ja nakazuję milczenie! Idźże teraz na wieczerzę swoją Szymku, i przyślij mi ojca. Ty zaś, Alfredzie połącz się z kolegami.

Chłopcy pocałowali w ramię dyrektora i każdy w swoją pobiegł stronę.

Dyrektor dłuższą chwilę z Sabótką pomówił. Wyjaśnił mu rzecz całą. Pochwalił, że syna poczciwie wychował, polecił i jemu milczenie o tym całym, fatalnym wypadku.

(Ciąg dal. nast.)

Myśli z Adama Mickiewicza.

VII.

Kiedy nad naukami bezbożnik pracuje,
Strzeż się go! jest to zbójca który broń kupuje.

VIII.

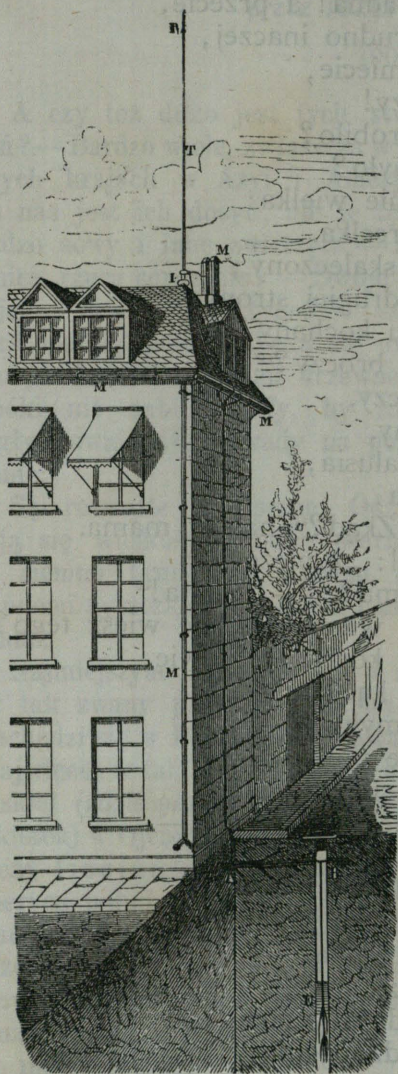
Kłamca jest zły moneciarnik, pozwól mu fałsz mnożyć,
To on, sam jeden, zdoła cały kraj zubożyć.

Elektryczność i piorunochrony.

Już w dalekiej starożytności znany był Fenicyanom bursztyn, po grecku *elektron* zwany, mający tę własność, że potarty o sukno, lekkie przedmioty do siebie przyciągał. W nowszych czasach przekonano się, że nie tylko bursztyn, ale i szkło posiada tę własność, a nawet w tym

stanie wydaje płyn świecący, który elektrycznością zwano. Natura tego płynu, dotąd jest jeszcze zagadką, ale zdaje się, że jest właściwy wszystkim ciałom w większym lub mniejszym stopniu. Porównyując to zjawisko, ze zjawiskiem atmosferycznym piorunów i błyskawic, zanadto między

niemi wiele jest podobieństwa, ażeby je można pominąć bez uwagi.



Piorunochron.

Benjamin Franklin (ur. 1706 † 1790) pierwszy zaczął badać naturę

piorunów, i przekonał się, o tożsamości materii elektrycznej z piorunową. Ważność tego odkrycia tem większej jest doniosłości, gdy zważymy, że ciało naelektryzowane można łatwo rozbroić, przez zbliżenie doń ostrza metalowego, w którym to razie elektryczność pierwszego, w postaci iskry przechodzi na to ostatnie wśród mniej lub więcej donośnego huku, spowodowanego wstrząśnieniem powietrza. Zastosowanie więc odkrycia Franklina w praktyce nie podlegało trudności.

Ponieważ bowiem elektryczna iskra piorunowa zwykle w najwyższe szczyty godzi i jeżeli jest dość silną, znaczne sprawia uszkodzenia, a więc ustawiano na takich miejscach igłę żelazną, będącą w połączeniu z ziemią za pomocą drutu żelaznego. Żelazo jest dobrym przewodnikiem elektryczności i prędzej takową przyjmuje niż inne ciała, dla tego gdy piorun weń uderzy, elektryczność spływa w ziemię, bez żadnego uszkodzenia przedmiotów będących w jej otoczeniu.

Takie przewodniki piorunowe, potocznie konduktorami zwane, zwykle mają koniec pozłacany, a drut połączony z ziemią, przynajmniej u dołu otoczony jest skrzynią drewnianą, dla uniknięcia niebezpieczeństwa w razie zbliżenia się, podczas przebiegu prądu elektrycznego, którego ofiarą padł uczony naturalista Richmann przez zbytnią nieostrożność przy badaniach prądu elektrycznego.

Al. H.

KŁAMSTWO BEZ GRZECHU.

Kłamstwo rzecz zdrożna, szkaradna! a przecie,

Aby ocalić brata, gdy trudno inaczej,
Jeżeli bez krzywdy niczyjej skłamacie,

Pan Bóg przebaczy!

Marcelek skłamał! co mu się zrobiło?

On taki grzeczny... i jakże to było?

Zaraz wam powiem, historia nie wielka:

Waluś ze złości raz ugryzł Marcelka.

„Gwałtu! na pomoc!” krzyczy skaleczony;

Więc matka z jednej, ojciec z drugiej strony,

Wbiegają. — „Co to? Marcelku kochany!

Co ci się stało? po uchu krew broczy?”

Ale spojrzawszy rodzicom w oczy,

Biedny Marcelek zapomniał rany,

Zląkł się, by ojciec nie obił Walusia,

I nagle zamilkł jak trusia,

„Zkąd ta krew?” pyta ojciec. „Zkąd?” nalega mama.

Marcelek milczy, wreszcie rzekł: „z niczego!”

— „Jakto z niczego? płynie sama?” — „Sama!”

— „A znak na uchu?” — „Nie wiem!” — Nie wiesz tego?”

— „Nie papo!” — „Jednak, ja kogoś tu złowię,

Kogoś, co się do kącika,

Zarumieniony wymyka,

I co zaraz prawdę powie!”

Widząc że bratu nie ujdzie na sucho,

— „To ja!” — zawołał Marcelek z trwogą, —

„Ja sam, nie chcący ugryzłem się w ucho,

Tutaj nie było nikogo!”

— „Oh! moje dziecię, to trochę za śmiało!”

Rzekł ojciec tuląc do piersi Marcelka, —

„By sięgnąć ucha, masz buzię za małą,

Lecz za to dusza już w tobie dość wielka,

Aby ocalić brata, choć nie bardzo gładko.”

To rzekłszy, dał znak i odeszli z matką.

Wtedy maleńki psotnik, ze łzami,

Rzucił się bratu na szyję,

Przyrzekł że nigdy złość go nie splami,

I odtąd w zgodzie z nim żyje!

JAN CHĘCIŃSKI.

NIETOPERZ

przez JÓZEFA CHMIELEWSKIEGO.

(DOKOŃCZENIE.)

A czy też dużo jest tych stworzeń?—Bardzo wiele, zwłaszcza w gorących krajach w Azji i Ameryce. I u nas jest ich dosyć, ale je tępią bardzo sowy i inne zwierzęta.—Ileż samica rzuca corocznie?—Dwoje lub troje. Przez cztery tygodnie ssają pierś matki, potem żywią się owadami, sokami i owocami drzewnymi, dopóki nie nabiorą siły, by same mogły łowić sobie owady na pożywienie.

Są rozmaite nietoperze. Odnazczają się wielkością ciała, czarnym lub ciemno-brunatnym włosom, odmiennymi pyszczkami i całkiem innemi uszami.

Najmniejszym nietoperzem u nas jest tak zwany podkowiec mały. Znachodzi się w Beskidzie, w Tatrach, a najwięcej w tak zwanej grocie królewskiej (gdzie przebywał Władysław Łokietek) w Ojcowie. Do tego gatunku należy liścionos, przebywający w Ameryce południowej. Żywi się nie tylko owadami nocnymi, lecz wyssysa także krew wołom, koniom, mułom, a nawet ludziom podczas spania. Rana jednak, którą robi w tym celu, nie jest niebezpieczną.

W Indjach wschodnich znajduje się znowu inny gatunek nietoperza, zwany wampir kalong. Szkodnik to wielki, bo zjada wyłącznie owoce soczyste; czasem tylko napada drobne ptaki. Krwi nie ssie. Głowę

ma podobną do psiej, dla tego nazywają go cudzoziemcy psem latającym. Pysk ma czarny; ciało zaś okryte jest czarno-brunatnym włosom. Szczęście, że go nie ma w naszej ziemi, bo i tak jest u nas dosyć szkodników, którzy niszczą owoce w sadzie.

Powiedzieliśmy, że w gorących krajach jest mnóstwo nietoperzów, to też nic dziwnego, że wieczorem jakby chmury zaciemniają powietrze. I łatwo to być może, bo gdy wampir rozepnie błony, dochodzi do 4 stóp szerokości.

Nietoperze zagraniczne, żywiąc się owocami, wyssysają także sok drzewny, zwłaszcza z drzew palmowych i to w tak wielkiej ilości, że nieraz odurzone spadają na ziemię. Te atoli, którym krew smakuje, zobaczywszy śpiącego człowieka, albo zwierzę, przysuwają się do niego po cichu i tak długo liżą nogę albo ramię swym żądełkowatym języczkiem, dopóki krew nie wytryśnie. Potem ssają z wielką chciwością. Aby jednak nie zdradzić swego zatrudnienia i nie obudzić zranionej istoty, chłodzą skrzydłami skaleczone miejsce. Częstokroć budzą się ludzie podczas lizania, czasem w czasie ssanie, a często nie postrzegają zupełnie, co się z nimi dzieje. Dopiero obudziwszy się, czują ubytek krwi z ciała, że są osłabieni, a nieraz, gdy niegodziwiec ssak za wiele, a następnie krew

ciekła jeszcze z rany, chorują niebezpiecznie.

Tego rodzaju nietoperze są tak śmiałe, że wpadają nawet do mieszków ludzkich przez otwarte okna. W dzień zawieszają się na drzewach i spią do zmroku ze spuszczonei głowami gromadnie, tak iż z daleka się wydaje, jakby wisiały koście kosowe.

W ogóle nietoperze nie są jadowitami stworzeniami. Można je więc z wszelkiem bezpieczeństwem jeść i

brać do ręki. U nas wszakże nie ma tego zwyczaju. Za to Indyanie jedzą je chciwie; polują na nie, tuczą w domu i za przysmak używają. U nas i w niedostatku ludzie nie jedzą nietoperzów. — Ponieważ są nader pożytecznymi zwierzętami, należy je raczej troskliwie ochraniać, niż je tępić w jakikolwiekby sposób. Mam nadzieję, że nie będziecie, kochane dzieci, prześladowały tych pożytecznych stworzeń!

LALKA HELCI.

„Niech lalka będzie grzeczną, siedzi nad książeczką.

Niech się w kącie nie maże, — bo weźmie różeczką!“

Takie przestrogi Helenka mała,

Swojej lalczce dawała.

W kwadrans potem mama woła:

— Pójdź Helenko, weź książeczkę,

Dosyć byłaś już wesoła,

Pouczymy się troszeczkę! —

Słyszac to Helenka mała,

Nagle w głos się rozbeczała!

Widząc na jaką zanosi się walkę,

Rzekła mama do Helci, co karciła lalkę:

„Niech Helcia będzie grzeczną, siedzi nad książeczką,

Niech się w kącie nie maże, — bo weźmie różeczką!“

Każdą naukę — luba młodzieży,

Naprzód do siebie samej stosować należy!

Władysław Betza.

SZARADA.

Pierwsze litera, drugie litera, trzecie litera,
Całość myśl wspiera.

Znaczenie szarady z Nr. 23.

TA-TA-RAK.

Korespondencya redakcyi.

Felisi R. w O. Na zapytanie daną będzie odpowiedź w Nr. 25 „Promyka“:

Stasiowi K. w Poznaniu.

To nieładnie skargi ostre,

Na rodziną wnosić siostre.



ILLUSTROWANE CZASOPISMO DLA MŁODZIEŻY

Wychodzi co dni 10, pod redakcją WEADYSŁAWA BEŻY.

Kosztuje kwartalnie 1 zł. 50 ct. = 1 tal. — z przesyłką pocztową 1 zł. 70 ct. = 1 t. 4 srg.

TEATRZYK DZIECINNY.

II.

Urządzenie większego teatrzyku.

Upatruje się na ten cel miejscowość obszerną i będącą najwięcej na ustroniu. Jeden najęty robotnik, stolarz lub cieśla, wystarcza, aby dokładnie wszystko było urządzone; należy tylko zwrócić uwagę, aby głąb sceny była nieco wzniesioną a klatka czyli tak zwany szkielet sceny, był dobrze rozmiarzony, umocowany i kulisy stawiane były ukośnie. Światło, które zwykle stawia się na przodzie sceny, aby od publiczności osłonięte było wąską deszczułką i nie dotykało zasłony stanowiącej korytnę, która zawieszona być powinna na blokach, jak rolety u okien.

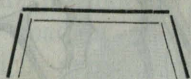
Dekoracje zwykle maluje się na papierze, płótnie lub grubym perkalu; ten ostatni rodzaj dekoracyi jest najprzystępniejszym dla amatorskich teatrów, z przyczyny, że w perkal nie wsiąka wiele farby, że jest najgładszym i nie wiele zajmuje miejsca przy składaniu dekoracyi; przystawki zaś, jako to: drzwi i okna powinny być naciągnięte na blejtramy, a do umocowania ich używa się świderków.

III.

Urządzenie bez żadnych przyborów.

Używa się do tego trzech zwyczajnych parawanów, równej wysoko-

ści, ustawia się takowe w formie daszka, w następujący sposób:



Sufler ukryty bywa wtedy poza kulisami, miejsce kurtyny zastępują franki, i obywa się całkowicie bez dekoracji. Jeżeli scena ma przedstawiać ogród, dość jest po bokach ustawić wazoniki z kwiatami, w głębi zaś świeże drzewka, co zawsze sprawia i woń miłą i przyjemny widok. Jeżeli zaś teatrzyk ma przedstawiać pokój, dość jest wstawić kilka stolików, krzeseł i rozciągnąć na podłodze dywanik.

IV.

Charakteryzacja.

Ponieważ różne są osoby, wchodzące do składu sztuki, należy także zwrócić uwagę, ażeby każda z nich i stosownie była ubrana i postacią swoją wyobrażała osobę, którą przedstawia. Aktorowie przeróżnych na to używają sposobów; nam dość będzie

ograniczyć się na kilku najczęściej używanych.

Należy mieć pod ręką za kulisami przygotowane pudełeczka z różem, bielidłem, pudrem, pomadą i cienko wzdłuż pokrajanymi koreczkami.

Okopconym i ostudzonym koreczkiem robi się zwykle kreski na twarzy, naśladujące z daleka zmarszczki starości; puder posypyany na głowę, może zastąpić siwą perukę a bynajmniej nie jest szkodliwym, bo po rozczesaniu oczyszcza nawet włosy z łupieżu. Na miejsce blanszu użyty *kremserweis* w proszku, który nabyć można w każdej aptece, także bynajmniej nie jest szkodliwym, jak również i karmin z nim pomieszany, służąc za róż, nie szkodzi twarzy. Zwrócić tylko trzeba uwagę, aby po przedstawieniu nie używać wody do obmycia, ale nasmarować twarz pomadą lub innym jakim tłuszczem, a potem wytrzeć do czysta ręcznikiem.

Tak więc, kochane dziecięcki, z niewielkim wydatkiem można mieć przyjemną rozrywkę, która i wam i patrzącym osobom prawdziwą rokosz sprawi.

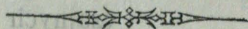
Mysli z Adama Mickiewicza.

IX.

Głupiec, jak muł we młynie związane ma oczy,
I ciągle ruszając się, ciągle w miejscu kroczy!

X.

Mędrzec zwyczajnych ludzi z rozmowy ocenia,
A nadzwyczajnych mężów poznaje z milczenia.



KAWAŁEK TORTU.

POWIASTKA

przez Paulinę z L. Wilkońską.

(CIAĞ DALSZY.)

III.

Alfred jedynym był synem pani Michałowej Łunowskiej, wdowy niezamożnej, mieszkającej w miasteczku N. Rodzice Stanisława mieli ładną wioskę, Troczki, ale dzieci czworo. Stryj obudwóch, pan Tadeusz, dziedzic Rusosina, obywatel majątny a zacny, jedną tylko miał córeczkę, dwunastoletnią Zosię, którą nad wszystko kochał. Wspierał wdowę po bracie sumiennie i płacił za nauki Alfreda. Jakież zatem dla biednej pani Michałowej byłoby nieszczęście, gdyby Alfred z zakładu wydalonym został! Te zatem szczególnież względy, obok litości nad lekkomyślnym chłopcem, powodowały dyrektorem Dubrockim, że go nadal w zakładzie zatrzymał.

Sprawa o zaginionej złotówce, dzięki dyrektorowi i poczciwości Szymka, utarła się zatem pomyślnie. Pensyonarze coś tam zasłyszeli, ale mówiono, że złotówka znalazła się, i niebawem zapomniano o wszystkim. Alfred jednakże chodził jak trusia i niby oczów nie śmiał podnieść na Sobótkę i Szymka; a wobec Karola był zawstydzonym zawsze, lubo tamten w niczem nie przypominał mu spełnionej przez niego winy.

IV.

Nastaly wakacye. Alfred i Stanisław pojechali do stryja, do Rusosina, gdzie także na czas lata i matka Alfreda zjechała. Rodzice Stanisława mieszkali tylko o pół mili; zatem Stanisław i w jednym i w drugim przebywał miejscu.

W Rusosinie okazały był pałac i ogród piękny, rozległy.

Pan Tadeusz Łunowski, wdowiec od lat kilku, żył niemal tylko dla swojej Zosieńki. Lecz kochał także bratanków i wiele dla nich czynił.

Zosia śliczną była dziewczeczką, a co więcej znaczy: dobrą jak aniołek. Miała wzorową nauczycielkę, pannę Walnowską, która w zbawienny sposób potrafiła rozwijać umysł i serce dziewczątka. Nadto miała i drugą jeszcze Angielkę, bo troskliwy ojciec pragnął córeczce jak najlepsze dać wychowanie. Korzystała też z zamiłowaniem z udzielanych jej nauk i najwyższą dla kochającego ojca stała się pociechą. Do stryjenki, pani Michałowej, do stryjostwa w Troczkach, do sióstr i braci stryjecznych była przywiązaną serdecznie. To też gdy Stanisław i Alfred na wakacye zawitali, zrobiło się gwarno a wesoło w Rusosinie, bo i rodzina państwa Łunowskich z Troczek często przyjeżdżała.

Dnia jednego przyniesiono listy i dzienniki z poczty; odbierał je lokaj Wojciech przed pałacem od posłańca; Alfred stał właśnie na werandzie i dostrzegł, że jeden z listów miał napis, położony znaną ręką dyrektora Dubrockiego, i struchlał.

Wojciech zaniósł listy do pokoju pana i położył je na stole. Gdy odszedł, wsunął się tam Alfred, ile że stryj był wyjechał w pole. Podjął list zatrwazający: wyraźnie był od dyrektora. Poznał pismo i pieczętkę z Różą. Stare niesie przysłowie: na złodzieju czapka gore, i Alfred był pewien, że go dyrektor przed stryjem oskarża. Serce uderzało mu trwogą — załamał ręce — i mieszały mu się myśli. Pochwycił list znowu.

„Nikt przecie tutaj o tym liście nie wie!“ poszepnął sobie w duszy, „zniszczyć go i stryj nie dowie się o niczem. A potem... potem... to pewnie już i mowy o tem wszystkim nie będzie; gdy stryj dyrektorowi nie odpowie, to on pomyśli sobie, że mi przebaczył, że i poruszać tego nie chciał wcale... Mówią, że jest niegodnie, cudze przejmować listy, czytać je, zabierać. Ale, mój Boże, ja ratuję się tylko! zresztą dyrektor słowa mi nie dotrzymał, bo miał przemilczeć, a zdradza teraz... mam prawo ratowania siebie!“

Tak rozumował Alfred, i wyrozumowawszy sobie czyn brzydki zabrania cudzego listu, wziął go z sobą i w głąb ogrodu z nim pobiegł. Tutaj, za krzewiną, podarł kopertę, wyjął welin i przeczytał:

„Pospiesz pan dobrodziej upomnieć się co rychlej o wiadome 30000

u pana W., bo inaczej suma przepadnie. Dzień każdy, zwłoka najlżejsza stratę niepowetowaną sprowadzić może...“

Alfred pobladł, zdrętwiał, czytał a czytał... o nim w liście i słówka jednego nie było! Dyrektor tylko o interesie donosił i raz jeszcze napomniał: „winien być pospiech, bo inaczej periculum in mora;“

„Co tu począć? co począć teraz?“ List schował do kieszeni, i blady, przybity, z trwogą i rozpaczą ręce załamał. — „Co tu począć?... Może będzie list drugi!... Co począć?“

Biegał jak szalony po ogrodzie, gnany wyrzutem sumienia i przerażeniem. Pobiegł ku pałacowi, by zobaczyć, co tam się dzieje.

Przy kwietniku stała milutka Zosia, w białej sukience, uśmiechnięta, wesółą, i rączką skinęła na niego. Jasne włosy, złotawe, ślicznie miała ułożone, a w nich kokardę niebieską.

— Chodź! chodź, Alfredku! — wołała — podwieczorek czeka. Chodź prędko! Już ciebie wszyscy szukali.

Alfred przyspieszył, ale apetyt do podwieczorku odbiegł go całkiem.

Na werandzie była matka jego, dwie nauczycielki Zosi, Stanisław i dwaj młodzi jego bracia. Służba stoł nakryła i wyborny zastawiła podwieczorek: wyśmienite owoce, śmietanę ubitą z cukrem, chleb razowy utarty do niej, chleb biały, drożdżowy, świeże masło i przednie ciasteczka.

Nadszedł pan Łunowski, trzymając listy odebrane w ręku.

— No, proszę, proszę! Podwieczorkujcie! — wymówił dobrodusznie i usiadł obok bratowej.

Dzieci przystąpiły do stołu, Alfred także, lecz biło mu serce a żal i trwoga ścisnęły gardło.

— Wystaw sobie kochana bratowo — zagadał pan Tadeusz Łunowski — że i dziś znowu listu nie ma. Nie rozumiem co to znaczy i lękam się...

— Mój Boże! Mój Boże! -- pani Michałowa złożyła dłonie, mając lżę na oku — gdybym tylko nie straciła tych 30000!... Wszakżeż to moje wszystko!

Pod Alfredem ugięły się kolana: więc to był matki jego majątek!

(Ciąg dal. nast.)



JEZUS PRACOWITE DZIECIĘ.

Mały Jezus — Zbawca świata,

Wasz rówieśnik dziatki,

Własną rączką codzien zmiata,

Pył z rodzinnej chatki...

A wam z książką praca cała

Tak idzie niesporo...

Na kolana! dziatwo mała!

Przed Jego pokorą!

Władysław Bęłża.

Młodość Tadeusza Rejtana.

Historya szeroko pisze o zasługach pana Rejtana, gdy był wodzem konfederackim i posłem na sejm r. 1773; charakter jego i cnoty są tam wystawione w tem świetle, że ani Grekom Arystydesów, ani Rzymianom Katonów zazdrościć nie mamy powodu. Młode jego lata, spędzone w szkołach, zawczasu dały poznać, czem miał być na przyszłość; dla tego, chcę wam skreślić kilka obrazków, iżbyście z tego brali pobudkę do wczesnego zamięłowania cnoty i sprawiedliwości. Tadeusz urodził się w Struszu, w województwie Nowogrodzkiem, roku 1742 z rodziców słynących starożytnością domu i pięknymi cnotami obywatelskimi; oni to wszczepili w serce dziecka wielką bogobojność i miłość ojczyzny. W szkołach jezuickich w Nowogrodzku, gdzie początkowe odbierał nauki, mały Tadeuszek potrafił sobie zjednać miłość, a nawet wysoki szacunek u swoich współuczniów, chociaż zwykle był ponurego charakteru, w zabawach zamyślony i niełatwy do przedniego zaprzyjaźnienia się. Jeżeli jaki obywatel, nawiedzający ojców Jezuitów, o dawnych rzeczach narodowych rozprawiał, Pan Tadeusz wszelkie zabawy opuszczał, w głębokiem milczeniu przysłuchiwał się tym opowiadaniom i już nic z zadumania rozerwać go nie mogło. Że klasztor jezuicki był fundacyi Jana Karola Chodkiewicza, sławnego pogromcy Szwedów i Turków, jego obraz w ko-

ściele wisiał; to on bywało, jak oczy w niego wlepi, to aż się śmieją koledzy, a profesor musi go dobrze potrząść, nim się upamięta, że w kościele na ołtarz, a nie na co innego patrzeć potrzeba. Ojcowie Jezuiti długo usiłowali oduczyć go tego ustawicznego zamyślenia się, ale przekonawszy się, że to było napróżno, dali mu pokój, ile że w postępках swoich był bardzo łagodny i pokorny dla zwierzchności szkolnej. Chociaż Jezuiti dość byli surowi w prowadzeniu młodzieży, kilka lat upłynęło, a pan Tadeusz ani razu nie był karany. Raz tylko odebrał karę i silną, a to z powodu, że się był pokłócił z panem Władysławem Oskierką o jego naddziada hetmana Gosiewskiego, którego uważał za zdrajcę, sprzymierzającego się ze Szwedami przeciw własnemu królowi. Z kłótni przyszło do bitwy; napaść była ze strony Tadeusza. Ksiądz rektor zaparł go do kozy i cztery tygodnie trzymał o chlebie i wodzie. Dopiero kiedy pan kasztelan Oskierko, ojciec Władysława, przyjechał, sprawę całą złagodził; pan Rejtan wypuszczony, podał rękę Oskierce, i odtąd dochowywali sobie obopólnej przyjaźni.

W szkołach księza Jezuiti zaprowadzili byli różne zabawy, które uczniom wielce smakowały, między innemi potykanie się na palcaty, czyli na kije. Za klasztorem było miejsce obszerne, a na każdej połowie, czyli przy końcu przestrzeni, była mogiła

z rozpaczy po wielkich nieszczęściach, jakie kraj dotknęły, dostał był pomieszenia zmysłów, i w tej chorobie, szybę rozbiwszy, szkłem żywot sobie rozpruł. Przed skonaniem wróciła mu przytomność umysłu; przykładnie przygotował się na śmierć, i te ostatnie słowa wyrzekł: „Rozmyślnie nigdy

mojego Stwórcy nie obraziłem, i najmniejszego powątpiewania nie miałem o wierze. Mam nadzieję, że Jego miłosierdzie i zasługi Jego najdroższego Syna mnie nie ominą; a cierpienia mnie nędznego, ofiaruję Tobie, o Panie! przyjmij je za grzechy moich współbraci!“

Zapytania i odpowiedzi.

Felisia R., z Okopów, zapytuje nas:

„Czytałam w *Przyjacielu dzieci*, że w Barbaryi, w południowej Azji, używają uncyi do polowania. Nie uczyłam się jeszcze o takim kraju w Azji, i proszę pana redaktora wytłumaczyć mi, gdzie ten kraj leży?“

Na to odpowiadamy:

Nie mając pod ręką „*Przyjaciela dzieci*“, nie możemy wiedzieć, o jakim to kraju mowa. Być może, że barbarya wzięta tu była w znaczeniu kraju barbarzyńskiego, gdyż w południowej Azji o ziemi tego nazwiska nie słyszeliśmy. Przypuszczamy pre-

dziej pomyłkę, będzie to zapewne Berberia w północnej Afryce!...

Uncya jest to gatunek małego lamparta, którego (Persowie szczególnie) używają do polowania, tak jak naszych psów gończych. Tak, jak naszym sokołem, kładą mu myśliwi na głowę kapturek, który dopiero za dostrzeżeniem zwierzyny zrywają i puszczają go na upatrzonego zwierza. Jest jeszcze jeden, podobny do uncyi lamparcik, nazwiskiem gepart, który tem się odznacza, że ma nie kocie łapki ze szponami, lecz psie. Polowanie z gepartem nieróżni się niczem od łowów z uncją.

SZARADA.

Pierwsze: wieszcz. Jego piosnkę: „Lecą liście z drzewa“,
Z uwielbieniem, z zachwytem cały naród śpiewa.

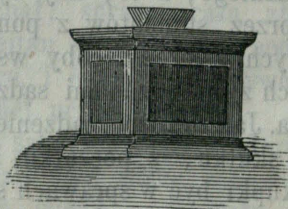
Drugie: głoska i skończone.

Wszystko w całość połączone,
Da nam istotę znaną, co w kraju po-
trzebie
Na wszystko się poświęci, a zaprze się
siebie.

Znaczenie szarady z Nr. 24.

I-DE-A.

Na oświatę ludową.



Nadesłali: Tunio D. z J. 1 zł. Marya ***
40 ct. w. a. Razem z poprzedniemi 22 zł. 40 ct.
w. a. i 3 tal. 16 sr. gr.



ILLUSTROWANE CZASOPISMO DLA MŁODZIEŻY

Wychodzi co dni 10, pod redakcją WŁADYSŁAWA BEZZY.

Kosztuje kwartalnie 1 zł. 50 ct. = 1 tal. — z przesyłką pocztową 1 zł. 70 ct. = 1 t. 4 srg.

KAWAŁEK TORTU.

POWIASTKA

przez Paulinę z J. Wilkońską.

(CIĄG DALSZY.)

Tratujemy je przecie jeszcze. Gdyby tylko wiedzieć! Gdyby się nie spóźnić! Bo od tego zależy wszystko. Nie rozumiem dla czego nic nie donosi dyrektor: obiecał przecież!

Dzieci tymczasem wesoło smaczny podwieczorek zmiatały. Alfred pozorowo brał ze wszystkiego, ale nic połknąć nie mógł. Gdy już uraczyli się do woli, znowu rozbiegli się wszyscy. Na werandzie pozostał pan Janowski przy bratowej i jakies tam prawne przeglądali papiery.

Z Alfredem niby świat obracał

się cały: byłby chciał zapaść się w ziemię. Pobiegł w ciemny szpaler. Załamywał ręce, chciał się gorąco pomodlić, ale wzdychał tylko, spoglądał ku niebu, nawet i płakać nie mógł.

— Alfredku! — zawołał Staś nadbiegając — Alfredku! ujął go pod rękę, cóż stało się tobie? Nic nie jadłeś, uważałem to. Jesteś blady, zmieniony, oczy aż zapadły ci w głowę. Spoglądasz z trwogą, załamujesz ręce... Powiedz, co tobie się stało?

Alfred długo nic wykrztusić nie-

mógł, aż wreszcie jękiem wybuchnął i opowiedział, co zrobił; i jakie ztąd mogą być następstwa.

— Ach, to straszne! — wyrzekł przeżany Stanisław i także splótł dłonie. — List koniecznie potrzeba oddać stryjowi dziś, nawet zaraz... Ale jak? I cóż powiedzieć mu przy tem?

Usiedli na ławce, zatrwożeni, zmartwieni obadwaj. Alfred wsparł głowę na ramieniu Stasia i zapłakał. Okazane mu współczucie, ciężarowi ulżyło nieco, że i łzy popłynąć mogły. Powierzenie dotkliwego smutku czującemu sercu, już jest pociechą.

W tem, pomiędzy drzewami biała mignęła sukienka, i Zosia stanęła przed nimi.

— Cóż to? zawołała — Cóż wam się stało? odbiegliscie zabawy naszej, a panna Walnowska śliczną grę urządziła... Ale cóż wam jest? Siedzicie zapłakani, bledzi, zmartwieni!... Cóż was spotkało? Alfredku! położyła rączkę na jego ramieniu, Stasiu! Powiedzcie mi co się stało?

Obadwaj milczeli: Alfred się wstydił, a Stanisław oskarżyć go nie śmiał.

— Powiedzcie! Och, powiedzcie! — złożyła dłonie. — Czyliżem ja nie wasza siostrzyczka?... Czyliż do mnie zaufania nie macie? Powiedzcie! A może coś potrafię uczynić.

— Nie mogę... — jęknął Alfred. — Stasiu... niepodobna powiedzieć!

— O mój Boże! dziewczątko załamało rączki, — czyliż mnie nie kochacie? — załaza się łzami. Chciałabym wam nieba przychylić! A wy mi nie ufacie. Wszystko uczyniłabym dla was!

— Alfredku! — zagadał Stanisław do niego — Zosia aniołkiem jest naszym, i powiedzmy jej wszystko, a może dobrą da radę.

— Och, ja nie mogę, nie mogę! jęczał Alfred.

— To ja opowiem rzecz całą...

— Powiedz, powiedz, Stasiu! Zosia łązy otarła. Powiedz, mój Stasiu kochany; usiadła przy nim.

Alfred ze wstydu ukrył twarz w dłoniach.

Stanisław w krótkości całą wypowiedział jej tajemnicę.

— Pokażcież mi ten list — wymówiła kręcąc główką.

Alfred jej go podał.

— Och, to źle! źle bardzo! przypatrywała się kopercie i pieczęcie, koperta podarta!... To i cóż z nią zrobić? znowu pokręciła główką. Tatko tam biada, że wiadomości nie ma. Chciałby wysłać sztafetę... zmartwiony... Potrzeba list ten oddać koniecznie!

— Ależ koniecznie i to zaraz: — ozwał się Stanisław — bo jest periculum in mora. Tylko jak go oddać? Jak?

Alfred załamał ręce.

— Hm! Zosia potrzaskała główką, zastanowiła się chwilę, a potem zawołała radośnie: wezmę wszystko na siebie. Ocale Alfreda, list oddam, uratuję interes...

— Ty Zosiu, ty?! Alfred ręce wyciągnął ku niej.

— Ty Zosiu? Stanisław spojrział zdumiony.

— Ja, Zosia! — dziewczątko uderzyło w dłonie. — Posłuchajcie! posłuchajcie koncepciku mojej gło-

winy! Na ś. Łudwikę, na imieniny stryjenki w Troczkach, mamy w krakowskich wystąpić ubiorach i złożyć jej dary, jakoby z ziemi krakowskiej: od tatki cudną bransoletkę z koralami, jam wychaftowała Wawel na kanwie do dużego okna...

— Ale cóż to ma z tym listem nie-szczęsnym, spólnego? — wtrącił Stanisław.

Alfred już i odezwać się nie śmiał.

— Dowiesz się zaraz, tylko cierpliwości trochę! uśmiechnęła się dziewczeczka. — Otóż na tę uroczystość kazałam sobie z woli tatki u modniarki naszej w Warszawie ładny zrobić ubiór..

— Nie rozumiem tego wszystkiego! niecierpliwił się Stanisław.

Alfred dłonie zaciskał.

— Ależ cierpliwości! Modniarka, panna Iglewska ma na pieczętce bukiet z kwiatów. Pan dyrektor Dubrucki pieczętuje się Różą. Zatem powiem tatce: myślałam, że to był list od panny Iglewskiej, bo mnie róża zawiodła, i ciekawa czyli ubiorek wykończy, list odpieczętowałam...

— Zosiu!

— Zosiu! Zosiu! — zawołali obadwaj chłopcy. — I ty chciałabyś się na gniew ojca narazić?

— To i co? Przepraszę tatkę, wycałuję, uściskam, będzie wierzył, że mną żadna ciekawość nie powodowała, ani też nic nagannego... A jeszcze i rad będzie, gdy list odbierze.

— Och, Zosiu! — Alfred ukląkł i całował jej rączki.

— A po latach kilku — mówiła panna dalej — gdy już dorośniemy,

opowiem tatce rzecz całą: przyznam się do kłamstwa, boć tak się należy. Tatko i tobie przebaczy, powie, że byłeś dzieckiem... A za to kłamstwo dam ubogim dziewięć złotych... Ale, ach! — dodała nagle — popełniłeś złe, niby to jak dziecko, lecz cierpiełeś i cierpisz, jakby dorosły, czy nieprawda?

— Prawda! Prawda! Cierpię okropnie! — jęknął Alfred — Trwoga, boleść, przerażenie i wstyd! — załamał ręce. — Och, Zosiu! Jesteś aniołem, jesteś opatrnością moją!

— Biegnę zaraz z tym listem nie-szczęsnym — przemówiła, odbierając go z rąk Alfreda — a wy módlcie się tutaj, by wszystko skończyło się dobrze.

Zosia pobiegła z listem. Chłopcy uklękli i modlili się gorąco.

Po nieco przydługiej chwili zwolna szli ku pałacowi. Dochodzili już pięknego klombu, złożonego z różnych egzotycznych roślin i kwiatów, gdy Zosia ukazała się na werandzie i do nich przyspieszyła. Miała zróżowione powieki i zapłakane oczęta, ale słodki uśmiech na ustach.

— I cóż? Co, Zosiu? Alfred poskoczył ku niej?

— Tatko połajał trochę... — łyzy zappełniły jej oczy.

— Zosiu, poświęciłaś się dla mnie!

— Tatko nie łąje mnie nigdy — uśmiechnęła się wśród łez, i teraz też tylko trochę połajał... Wszystko jest dobrze. List pochwyił niecierpliwie, przeczytał, i zaraz na noc całą wysyła z odpowiedzią plenipotentą. Wszystko stanie się dobrze!.. A teraz chodźmy do drugich!

— Zosięńko! Boże nagrodź! — uści-
snął ją Alfred.

— Boże zapłać! — dodał Stanisław
także.

— Chodźcie teraz, chodźcie!

— Ach, ale teraz, gdy przestrah
minął i zniknęło żmartwienie — wy-
mówił Alfred — czuję, żem głodny
okrutnie, bom podwieczorku jeść nie
mógł.

— Chodź, chodź do Masłosi! wzięła
go pod rękę — ma ona tam wszystko
w spiżarni i poczęstuje cię rada.

Pobiegli do szafarki oboje, a Staś
popatrzył za nimi i poszepnął: po-
błogosław że jej, dobry, kochany mój
Boże!

V.

Suma 30000 pani Michałowej,
dzięki staraniom pana Tadeusza,
szczęśliwie uratowaną została i spo-
kój zawitał dla wszystkich.

Ubiór krakowski, ładniutki, gu-
stowny, nadszedł rychło dla Zosi
z Warszawy: biała spodniczka oszyta
wstęgą różową i galonem srebr-
nym; sznuróweczka karmazynowa,
naszywana srebrem i fartuszek paję-
czy ze srebrnym galonem; na głowę
czołko z aksamitu czarnego, przy-
niem róże białe i ponsowe, a z tyłu
głowy stosowne wstęgi powieszono;
buciki także ponsowe ze srebrnymi
abcasami. Podług tegoż zrobiła panna
służąca w Rusosinie strój podobniu-
sieńki dla Tosi, siostrzyczki Stani-
sława. Chłopcom kazał pan Tadeusz
ładne kierezye granatowe z karm-
zynowemi wyłogami krawcowi w mia-
steczku porobić. Dwie panienki przy-

łączyły się ze sąsiedztwa, i tak,
w dzień ś. Ludwika, cztery pary
przed szanowną solenizantką stanęły.

Wszyscy jednodźwięcznie, mło-
dziutkimi głosami zaspiewali śliczne
Edmunda Wasilewskiego: Na Wa-
wel! na Wawel! A potem i przez
siebie samych dokonponowane zwrotki.

Pani Ludwikowa Łunowska dzie-
kowała z rozczuleniem zebrany.

Praca Zosi: ekran z widokiem
zamku na Wawelu, bardzo starannie
wykonany, w kolorach wybornie do-
branych, podobał się nadzwyczaj.
Stanisław ofiarował matce nader ładną
akwarellę i obrazek dworu mereczo-
wczyny, własność niegdyś Tadeusza
Kościuszki. Brat młodszy Antoś, wy-
kończył starannie rysunek Zygmunta
Augusta, z obrazu Tytusa Male-
szewskiego. Andzia, ich siostrzyczka,
wyhaftowała mamunci poduszkę pod
nogi z ładnym bukietem. Najmłodszy
synek Antoś, z wieńcem w rękę,
z serdecznem życzeniem zadeklamował
jej wierszyk. Alfred ofiarował stry-
jence misternie wyrobione pudełko
z cieniuchnych deseczek od hawa-
nosów, wyklejone błękitnym aksa-
mitem, które także wielkie zyskało
pochwały.

Bawiono się doskonale. Tańce
ochocze przez godzin kilka po-
trwały. Wesołość, swoboda, serdecz-
ność, wszystko połączyło się harmo-
nijnie.

Alfred także tańczył dużo, był
niby wesół, ale jednak, sumienie
ciągle czyniło mu wyrzuty i prze-
trawić gorzkiego nie mógł wspo-
mnienia. Jakżeż inaczej byłby
w duszy ochoczym, gdyby nie ten

gryzący robak! Spostrzegli ten rozstrój w jego wnętrzu, wśród tej ogólnej spiewności, Zosia i Stanisław, i szczerze nad jego tajonym litowali się bolem. Na teraz jednakże lekar-

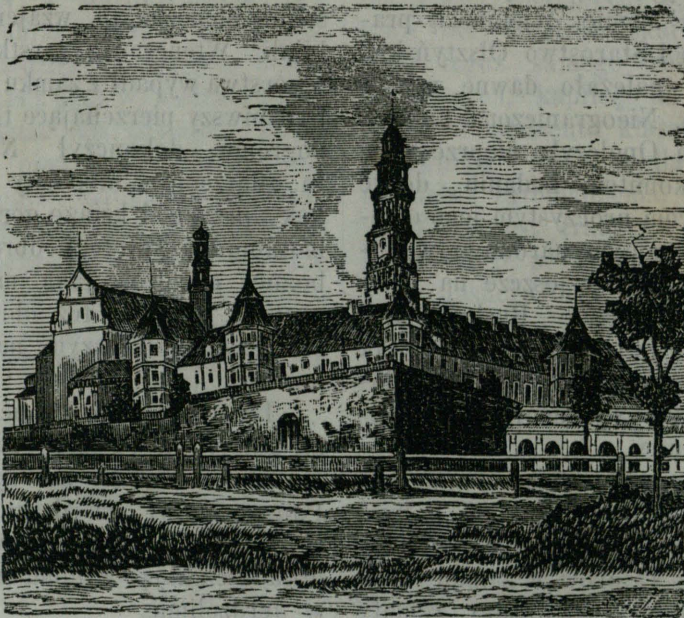
stwa nań nie stało, i potrzeba było zagojenie tej rany dusznej, nasamprzód dobremu Bogu, a potem i czasowi zostawić.

(Dokończenie nast.)

CZĘSTOCHOWA.

Na wielkiej i rozciągłej płaszczynie, kędy rzeka Warta wychodząc z ziemi Krakowskiej, płynie wązkim

Słowiańskie i Polskie, początek nie znany, sięga może czasów przedchrześcijańskich, albo też powstaje w epoce



Częstochowa.

jeszcze korytem ku Wielkiej Polsce, dla połączenia się z Odrą, stoi u podnóża samotnej góry małe miasto murowane, z dawien dawna w dziejach wspomniane, a od wieków świątynią Bogarodzicy i obroną Przeora Kordeckiego w r. 1655 wstawione. Nazwisko jego Częstochowa, z gruntu

Apostolskiej wędrówki św. Wojciecha z Krakowa do Gniezna (r. 995). Pewna wiadomość o tem zginęła już w odmęcie dalekiej przeszłości, bo praojcowie narodu spisując jego dzieje, nie marnowali słowa mało jeszcze rozwiniętego przez cywilizacyą, a najważniejsze nawet wypadki krótko

spisywali. Lecz obok tej starożytnej osady, w czternastym wieku zbieg różnych wypadków sprowadził tu nowych przybyszów, i mało dotąd znaną Częstochowę uwiecznił w pamięci narodu. Jeszcze r. 1370, kiedy po zgonie wielkiego króla, ostatniego z Piastów Kazimierza, siostrzeniec jego Ludwik Węgierski zaczął niepomyślne swoje rządy w Polsce; ulubieniec królewski a razem brat cioteczny, Władysław, książę na Opolu Szląskim panujący, i Palatyn Węgierski, otrzymał z daru brata swego ziemię Wieluńską prawem lennem i Starostwo Olsztyńskie, do którego należało dawne miasto Częstochowa. Nieograniczona hojność Ludwika dla Opoleczyka nieprzystając na tak znakomitą nadani, dosyć już ubliżającą uroczystym jego obietnicom, uczynionym narodowi w Koszycach, oddała mu jeszcze na dziedzictwo całą ziemię Ruską, czyli Lwowską, to jest, znaczną część tak zwanej Rusi czerwonej, tak, że Władysław śmiało się mógł pisać książęciem Rusinów.

Władysław Opolski, panując nad Rusią czerwoną do r. 1377, miał być razu jednego niespodzianie obleżonym przez Tatarów w zamku Bełzkim. Niezliczone ich tłumy rzuciły się wściekle do zdobycia warowni, a chociaż mężna była obrona załogi, szczupłość jej wszakże widoczną zgubę gotowała książęciu. Nieufając zatem ludzkiej pomocy, udał się Władysław o ratunek do nieba, i kiedy ustawiczne pociski Mongołów mężnie odpierali z wałów obleżeni: on krzyżem leżąc przed cudownym obrazem Bogarodzicy, który w zamku wisiał,

w gorącej modlitwie błagał jej miłosierdzia i opieki. Wtem strzała nieprzyjacielska oknem do komnaty, w której się modlił wpadłszy, utkwiała w szyi obrazu. Świętokradzki pocisk poruszył rozpaczającego księcia, wołał o pomstę do nieba i głos jego zaraz wysłuchany został. Powstała okropna burza, i nagle ciemność rozpostarła swój całun nad okolicą i hordami niewiernych, krzyk przerażenia rozległ się grzmotem między Mongołami, którzy w powszechnym popłochu sami siebie niepoznaając, wzajemnie się zabijali. Wtenczas z garstką wiernego rycerstwa wypadł z zamku Władysław, i rozbiwszy pierzchające tłumy pogan, pogromu dokończył. Nadzwyczajne to zdarzenie i niepojęty swój ratunek, przypisał książę gorącym swoim modłom do świętego obrazu, i bezbożnej obeldze, jaką mu niewierni uczynili. Ale bo też obraz ów, był świętszym i droższym nad wszystkie inne.

Dawne podanie kościelne twierdzi, że go jeszcze święty Łukasz Ewangelista malował za życia Najśw. Panny Maryi na desce od stolika cyprysowego, przy którym się modliła mieszkając w domu świętego Jana w Jerozolimie.

Po różnych przejściach, Karol Wielki miał go nakoniec darować jakiemuś książęciu Słowiańskiemu, który go w wojnie przeciw Saracenom posiłkował. Książę otrzymawszy pożądany obraz, ozdobił go drogiemi kamieniami, i w blachę srebrną oprowił, na zamku Bełzkim złożył, gdzie przez długie czasy, pomimo różnych zmian i napaści nieprzyjaciół, zosta-

wał. Władysław, książę Opolski, przybywszy rządzić Rusią jako dziedziczny jej pan, wydobył z ciemnego ustronia obraz i w komnacie, na kaplicę zamkową obróconej, umieścił. Lecz kiedy Litwa, zagarnęła tę część Rusi czerwonej od Węgrów przywłaszczycieli, musiał i Władysław Opolski opuścić oddane mu przez Ludwika krainy; ale pamiętny na cudowne zdarzenie przy modłach do obrazu pod czas napaści Tatarskiej niesionych, między innemi skarbami postanowił zabrać i ów święty a starożytnością swą znamienity obraz, mając go zamiar złożyć w dziedzicznym mieście Opolu Szląskiem. Lecz przy wyjeździe z Bełza cud nowy miał się zdarzyć: żadna siła ludzka obrazu z miejsca poruszyć nie mogła. Zdumiony nadzwyczajnym wypadkiem udał się Władysław do modlitwy, po czem we śnie miał objawienie, które mu wskazało górę zwaną „jasną“ pod Częstochową, w bliskości zamku jego Olsztyńskiego

leżącą, za miejsce, gdzie powinien był obraz ku wiecznej czci jego umieścić. Postanawiając dopełnić woli nieba, potrafił nakoniec zabrać z Bełzkiego zamku obraz i we środę po św. Bartłomieju roku 1382 stanął z nim szczęśliwie w Częstochowie, skąd zaraz do kaplicy drewnianej na Jasnej Górze, przez Częstochowskiego plebana zbudowanej, osobiście wprowadził. Znały mu od dawna zakon pustelników św. Pawła, i z popożności swej w Węgrzech słynący, zniewolił Władysława do powierzenia pieczy ich i nabożeństwu tak drogiego skarbu. Wezwał więc tegoż samego roku Paulinów tamtejszych, kaplicę im z obrazem oddał, fundamenta klasztoru założył, zapewniając fundusz dla założonego od siebie zgromadzenia.

Taka jest tradycja pisarzy kościelnych o początkach i umieszczeniu na Jasnej-Górze cudownego obrazu N. P. Maryi.

G U C I O W I.

Masz dwoje uszu — byś słuchał wiele;

Pamięć — słyszane byś chował;

Wzrok — abyś życia mógł dojrzeć cele,

Rozum — byś nim się kierował.

Słuch twój, niech łowi słowa mądrości;

Główka niech o nich pamięta;

Ku prawdzie, cnocie, bożej światłości,

Zawsze twe zwracaj oczęta.

Pomnij, że w czynach tylko, — nie w chęci

Wartość człowieka tkwi cała.

Kto bliżnim wpisać chce się w pamięci,

Niech dla ich dobra wciąż działa!

W. B.

Anegdota historyczna.

Kazimierz Sprawiedliwy wstąpił na tron polski 1178 r. O nim następujące opowiadają zdarzenie. Razu jednego zasiadł do gry w kości ze swoim dworzaninem i tak go ograł, że mu i grosza nie zostało przy duszy. Dworzanin rozgniewany, że mu się tak nieposzczęściło, porwał się z miejsca i uderzył króla w twarz, a następnie, bojąc się kary uciekł. Dogoniono go jednakże i na śmierć skazano. Gdy przedłożono Kazimie-

rzowi wyrok do podpisu, rzekł: wcale się nie dziwię, że tak sobie ze mną postąpił, kiedy się nie mógł zemścić na szczęściu, zemścił się na tym, któremu sprzyjało; a udarowawszy winnego życiem i wolnością oddał mu wygrane pieniądze, co do grosza, — mówiąc: „jam w tej sprawie najwięcej zawinił, bom własnym przykładem pobłazał nieszczęsnej grze w kości, która tysiące moich poddanych do żebranego chleba przywodzi.“

SZARADA.

Pierwsze i drugie ziele pachnące,
Co sobie u nas rośnie na łące;
Pierwsze i trzecie, stworzonko małe,
Wśród zboża brzęczy nieraz dni całe;
Wszystko mąż sławny na polskie plemię,
Co wstrzymał słońce a wzruszył ziemię.

Znaczenie szarady z Nr. 25.

POL (POETA) **KA** (GŁOSKA).

MYŚLI.

— Człowiek szcycący się zasługami zmarłych przodków, podobny jest do kartofla którego część najużyteczniejsza leży w ziemi.

— Ten pan zdaniem mojem, — kto przestał na swoim.

— Najczęściej widzimy źdźbło w oku brata a belki we własnem dojrzeć nie umiemy.

— Praca ozłaca i nudy skraca.

Nr. 516.

Pokwitowanie.

Redakcyja „Promyka“ złożyła na szkoły ludowe 23 zł. 40 ct. i 3 tal. 25 srgr. ze składek abonentów, na ręce podpisanego.

Lwów d. 5 września 1872.

F. Zima.



ILLUSTROWANE CZASOPISMO DLA MŁODZIEŻY

Wychodzi co dni 10, pod redakcją WŁADYSEAWA BELZY.

Kosztuje kwartalnie 1 zł. 50 ct. = 1 tal. — z przesyłką pocztową 1 zł. 70 ct. = 1 t. 4 srg.

ŻEGNAJCIE DZIECI.

W miłej gawędce z tobą o! młodzi!
Tak mi czas jakoś upływał gładko,
Że mi z niezwykłym żalem przychodzi,
Przerywać pracę z moją gromadką.

Rzucać przyjaciół to nie tak łatwo,
Jakby kto sądził z młodziutkiej wiary;
Toż ze łzą w oku — serdeczna dziatwo!
Żegna się z tobą twój bazarz stary.

Odchodząc, — owoc mych starań błogi
Wśród was, przynajmniej widzę z pociechą,
Że moje rady, moje przestrogi,
W młodych serduszkach znalazły echo.

Bóg da — na zawsze się nie rozstajem...
Może znów dla was „Promyk“ zaświeci,
Nim się tu jednak spotkamy wzajem,
Teraz was żegnam... — Bóg z wami dzieci!

D. 25 Września 1872 roku.

WŁADYSEAW BELZA.

KAWAŁEK TORTU.

POWIASTKA

przez Paulinę z J. Wilkońską.

(DOKOŃCZENIE).

V.

Upłynęło lat ośm. Alfred skończył nauki: kurs prawny; złożył świetny egzamin i stryj, pan Tadeusz, zrobił go plenipotentem swoim, z dobrą nader płacą. Zamieszkał ładny, dość obszerny dworzec na przyległej wiosce, wraz z matką swoją — z przynależnem zabudowaniem i ogrodem dużym. Pani Michałowa czuła się ponad wyraz szczęśliwą i dziękowała Bogu, że jej jedynak pokierował się tak dobrze.

Stanisław skończył szkołę agromomiczną, wziął dzierżawę w okolicy, i skrzętnym, pracowitym stał się gospodarzem.

Zofia na śliczną wyrosła pannę, śliczną zwłaszcza jak powiedzieliśmy już pod względem dobrego wychowania, wykształcenia i szlachetnego serca. Od kilku tygodni została narzeczoną Karola Wydrychowskiego, który kupił wioskę piękną w sąsiedztwie, a umiał się przypodobać panu Tadeuszowi i pannie.

Obchodzono dzień ś. Zofii w Rusosinie. Pierwszy przybył pan Karol z precudnym dla narzeczonej bukietem, jeszcze rosą skroplonym zarania. Za nim przybył Stanisław, Alfred z matką i rodzina cała z Traczek.

Zebrano się na werardzie, uma-

jonej wieńcami i kwieciami, gdzie podano śniadanie.

Sąsiedztwa i gości obcych spożywano się dopiero na objad, na godzinę czwartą, zatem kółko rodzinne swobodnie ranek cały spędziło z sobą.

— Wiecie też, Stasiu, Alfredku — zagadał na raz jeden Karol — kogo też wczoraj w miasteczku spotkałem? — Kogoż takiego? — zapytał Stanisław.

— Starego Sobótkę.

— Pocziwego Sobótkę! — zawołał Alfred — a cóż on tam robi?

— Szymek wyzwolony na majstra szewca, osiedlił się w miasteczku, a ojciec jest przy nim.

— Szymon Sobótką jest szwecem! To i dam mu zaraz robotę.

— I ja także! — ozwał się Stanisław. — Będziemy go protegowali!

— Och! będziemy — powtórzył Alfred.

— Uczynię go moim nadwornym szwecem — dodał jeszcze Karol — bo podobno dobrym jest majstrem.

— Chwała Bogu! — poszepnął Alfred. — Potem zwiesił głowę, podumał — a pochmurzał niby.

— W tej chwili ozwała się muzyka przybyła z miasteczka ku czci młodej solenizantki. Uraczono muzykan-

tów. Panicze im zapowiedzieli, ażeby wypoczęli teraz, bo wieczorem, może i przez noc całą, do tańca grać będą musieli.

Pogawędzono jeszcze na werandzie, a potem rozbiegli się wszyscy, by ranne ubranie zamienić na pokazniejsze.

Alfred jeden poszedł w głąb ogrodu, nie myśląc o toalecie w tej chwili: wspomniął na młode lata, uprzytomnił mu się zakład, Szymek... i pamięć ta przykre zdradzała uczucie. Postanowił koniecznie widzieć się z Szymkiem i być mu wszędzie i zawsze pomocą.

Gości zjechało się dużo. Pan Tadeusz wystawnie imieniny jedynaczki ukochanej obchodził.

Salę jadalną zdobiły także równianki z liści dębowych, a muzyka przygrywała w czasie całego obiadu. Za wniesionem zdrowiem solenizantki, huk z biczów forszpańskich, wedle dawnego zwyczaju, rozległ się poza oknami.

Gdy się zmierzchno, błysnęły kolorowe światła w koło pałacu, a na werandzie jaśniała cyfra solenizantki.

Na dziedzińcu, przy płomykach kagańców, wyprawiono ucztę dla ludu. Bo dziedzic Rusosina dla włościan swoich prawdziwym był ojcem, Zofia ich kochała pocziwem serduszkami, a wszyscy czcili panienkę anioła. Przeto i w pałacu i na dziedzińcu tańce i zabawa niemal do dnia białego trwały.

Alfred z matką nieco wymknął się wcześniej, bacząc na jej zdrowie. Kazał zająć powozowi, i pojechali do domu. Pani Łunowska udała się za-

raz na spoczynek, lecz Alfred zmieniwszy ubranie, wyszedł do ogrodu i chodził po nim aż do wschodu słońca. Czuł wyrzut we wnętrzu swoim, że i te wszystkie okazałości kalały go niby.

Gdy już dzień wielki zawitał, kazał zaprządz do bryczulki i do miasteczka pojechał.

Majster Szymek pilno szył jakiś but długi. Stary Sobótka dopijał resztkę ciepłego piwa z garnuszka, gdy przed domem lekka zatrzymała się bryczulka.

— Gość jakiś! Zapewne robota dla ciebie, ani chybi! wymówił stary ojciec i garnuszek nad kominkiem postawił.

Drzwi otworzono i ukazał się dorodny panicz.

— Niech będzie pochwalony!... — wymówił.

— Na wieki! — odrzekli obadwaj i na gościa spojrzeli.

— Dzień dobry, panie Sobótko! Dzień dobry Szymonie! A czy mnie poznajecie? — zapytał przybyły.

— Widzi Bóg... że... jakoś i nie pomnę — odrzekł Sobótka.

Gdy w tem Szymek się porwał, ręce złożył i radośnie zawołał:

— O Jezusieńku! toćże to pan Alfred Łunowski!

— Poznałeś mnie, mój Szymku! Alfred objął go za szyję. Jak się macie, panie Sobótko? ujął głowę jego oburącz i przycisnął ją do piersi.

— Niechże Bóg przenaświetszy błogosławi panicza! Pociecha to wielka, gość taki pod naszym dachem.

— Cieszę się szczerze, że was widzę. Wczoraj posłyszałem dopiero,

że tu mieszkacie. Mówił mi o tem pan Karol Wydrychowski.

— Byłać i to radość nie mała, gdy m go onegdaj spotkał na rynku — wymówił Sobótką, zacierając dłonie. — Wszyscy panicze, których znało się dziećmi, istnie, jak gdyby moi byli rodzeni!

— To i jakżeż powodzi się tobie, mój Szymku? Alfred rzucił się obok na stołek.

— Początek to dopiero, ale jest w Bogu nadzieja. Mieszkam tu dopiero od ś. Wojciecha.

— Będziemy ci dostarczali roboty.

— Błogosławione to słowo! oczy Szymka pojaśniały. Pragnę tylko pracy podostatkiem, pracy pocziwej, i o tę modłę się do Boga.

— Mój panie Sobótko, każcież nam z restauracyi pod „Złotym gołębiem“ przynieść jakie porządne śniadanie: bifsztyku, kotletów i butelkę dobrego węgryna.

— Dobrze, wielmożny panicz... Ale, z przeproszeniem... bez urazy, wielmożny panicz przecie naszym jest gościem, i toć to rzecz nasza...

— Panie Sobótko! Wy jesteście przybyszami w naszą okolicę, a jam tutaj na śmieciach swoich, zatem do mnie pierwsze poczęstne należy.

— Ha! kiedyć wielmożny panicz taki wyrzekł argument, to i niema już apelacyi, uśmiechnął się stary i wyszedł.

Alfred spojrział za nim. Powlokł po izdebce oczami: była nieduża — sprzęty w niej proste a nie wiele ich, i niemal czuć się dawał niedostatek. Spojrział na Szymona, i rumieniec wybiegł mu na lica.

— Mój Szymonie!... Mój Szymku pocziwy! Alfred rękę na jego położył ramieniu. — Mój dobry Szymku!... Powodzi mi się pomyślnie, matka jest przy mnie, ma wygodę i dostatki... Szymonie! Jesteś początkującym, masz starego ojca, przyjm ten datek odemnie! i wcisnął mu w rękę papierek na trzysta złotych polskich.

— Paniczu! Wielmożny panie!... Nie mogę!... Nie zarobiłem! jękał się Szymon i oddawał papierek.

— Daję ci to z czystego serca! A pomnij... że gdybyś wtedy nie był milczał, ja dzisiaj może nie byłbym tem, czem jestem...

— Ej, paniczu! Po co to one dzieciństwa wspominać!

— Wiem, że dobre uczynki nie płacą się pieniędzmi, (Alfred rękę jego uściśnął,) ale wdzięcznością serca. Przyjm jednakże ten datek! Proszę ciebie o to! Z serca wdzięcznego pochodzi, więc i przyjm go serdecznie! pocałował go w czoło.

Chciał jeszcze coś dodać więcej, ale drzwi roztworzono szeroko: posługacz hotelowy wniósł śniadanie żądane na wielkiej tacy, a za nim wszedł Sobótką uśmiechnięty wesoło.

Zasiedli wszyscy do nienakrytego stołu. Ale od lat ośmiu żadna uczta tak Alfredowi nie smakowała, jak to śniadanie, pożywane pospołu z Szymkiem i ojcem jego.

Wniósł węgrynem ich zdrowie i powodzenie. Oni nawzajem za jego zdrowie i szczęście przechylili kieliszki.

Pogwarzyli wesoło. A gdy w godzinę potem, Alfred ich pożegnał,

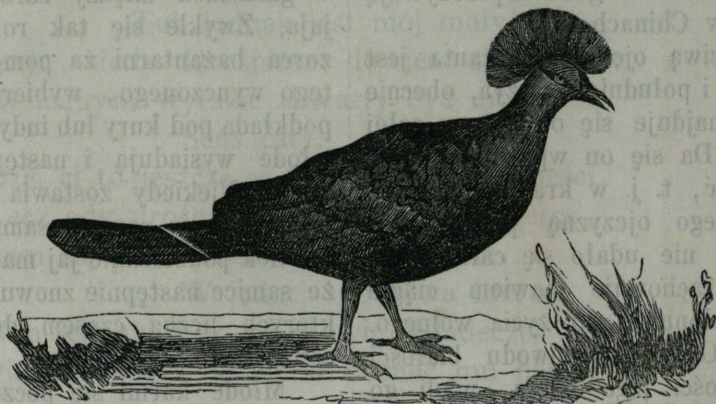
lżej i błogo było mu w duszy i sercu, jak po spłaceniu długu świętego. Nie to, ażeby sądził, że pieniędzmi cnotę i szlachetność nagrodzić można,

ale, że z pocziwymi chwil kilka spędził, że jego zrozumieli życzliwość i wdzięczne uczucie.

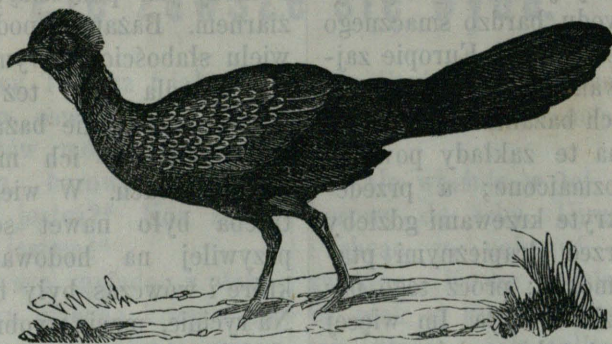
K O N I E C.

B A Ż A N T.

(Phasianus).



Bazant srebrny.



Bazant złocisty.

Jednym z najbardziej poszukiwanych ptaków, należących do tak zwanych kurowatych czyli grzebiących, jest bażant. Nie większy od naszej kury, odznacza się wydłużo-

nym ku końcowi się zwężającym ogonem i krótkimi, zaokrąglonemi skrzydłami. Rodzaj ten ptaków grzebiących obejmuje około dziesięciu gatunków, różniących się między sobą

dość wybitnie upierzeniem. Jedne z nich są dość skromnie ubarwione, inne odznaczają się rozmaitością i jaskrawością kolorów. Tak n. p. bażant złocisty wyszczególnia się na przemian złocistą, ponsową i fioletową barwą; bażant srebrzysty z wierzchu biały regularnie czarno prążkowany, pod spodem czarny z szafirowym połyskiem. Oba te gatunki przebywają głównie w Chinach.

Właściwą ojczyzną bażanta jest środkowa i południowa Azja, obecnie jednak znajduje się on już w całej Europie. Da się on wprawdzie aklimatyzować, t. j. w krajach, nie będących jego ojczyzną pielęgnować, ale dotąd nie udało się całkiem go oswoić, zachowuje bowiem ciągle wielką skłonność do życia wolnego. Pierwsi Grecy, z powodu białości i delikatności jego mięsa, mieli go sprowadzić do Europy; od nich przeszedł do Rzymian, którzy jego hodowlą na wielką już skalę się zajmowali. Z powodu bardzo smacznego mięsa, obecnie w całej Europie zajmują się hodowaniem bażantów w zakładach zwanych bażantarniami. Miejsce wybrane na te zakłady powinno być dość urozmaicone; a przede wszystkim zakryte krzewami gdzieby się bażanty przed drapieżnymi ptakami chronić mogły; prócz tego powinno być łączki i woda. Im więcej urozmaicone jest takie miejsce, tem pewniej bażanty w niem się utrzy-

mają i do sąsiednich lasków nie odlecają. Prócz tego winien być jeszcze stosowny budynek, gdzie bażanty w zimie się przechowują, klimat nasz bowiem w tej porze jest dla nich za ostry.

Z tych budynków wypuszcza się je na wiosnę z podstrzyżonymi łotkami do lasu, gdzie wkrótce samice w gniazdach między zaroślami niosą jaja. Zwykle się tak robi, że dozorca bażantarni za pomocą psa do tego wyuczonego, wybiera te jaja i podkłada pod kury lub indyczki, które młode wysiadują i następnie pielęgnują. Niekiedy zostawia się jednak wysiadywanie samym samicom; jakkolwiek podbieranie jaj ma tę korzyść, że samice następnie znowu jaja niosą, których liczba czasem dochodzi do czterdziestu.

Młode karmi się początkowo jajami mrówczemi, gotowanymi jajami drobno posiekanymi, chlebem i t. p., a kiedy już podrosną, karmi się je ziarnem. Bażanty podlegają jednak wielu słabościom i wymagają licznych starań, dla tego też tylko bogaci ludzie mogą takie bażantarnie zakładać i smaczne ich mięso mieć na swych stołach. W wiekach średnich trzeba było nawet sobie wyrabiać przywilej na hodowanie bażantów, które i wówczas były bardzo cenione. Na rycinie, macie wyobrażone bażanty chińskie.

K. G.

ALFA I OMEGA.

Widząc te głoski greckie: — „Mamo moja droga!

Pytał Władzio, — powiedz mi co to za zagadka?“

— „W tych dwóch głoskach zamknięta cała wielkość Boga!“

Odpowiedziała mu matka.

— „Jak to, w tych dwóch literach?...e, to być nie może!“

„Tak jednak jest mój mały!

Z czasem, kiedy dorośniesz, dowiesz się nieboże,

Że i w jednym wyrazie zawarty być może,

Sens cały.

Dziś ci to jeszcze w główce się nie mieści,

Lecz gdy urośniesz i w rozum i w serce,

Sam się przekonasz ile nieraz treści,

W jednej spoczywa literce.

Nim jednak w to co mówię Władeczek uwierzy,

Pierwej wszystkie literki poznać mu należy!“

Wł. Bełza.

Złe zawsze się wyda.

Stary borowy Tomasz miał w izbie swojej kosa oswojonego, który nawet kilka słów mógł wymawiać.

Kiedy n. p. borowy zawołał: „kosku, gdzie jesteś?“ Kos zaraz krzyknął: „Tu jestem!“

Mały Staś, syn sąsiada, z ptaka tego miał wielką uciechę i często po to chodził do borowego aby się z nim pobawić.

Gdy Staś znowu raz przyszedł, nie było borowego w izbie. Złapał

więc Staś prędko ptaka, schował go do kieszeni i już chciał wracać do domu.

Ale właśnie w tej chwili wszedł borowy do izby. Ujrawszy Stasia i chcąc go ucieszyć, zawołał jak zwykle: „Kosku, gdzie jesteś?“ Aż tu ptak w kieszeni Stasia krzyknie tak głośno, jak tylko może: „Tu jestem!“

Złe, nie długo się ukrywa:

Wyjdzie na wierzch jak oliwa.

W JESIENI

Do MARYANKA ZAORSKIEGO.

„Jesień! jesień!“ — Tęskne słowo...
Na ten wyraz wnet twa dusza
Rozpoczyna śnić grobowo,
Żal i troska nią porusza...
To też smętnie wówczas gwarzysz,
Smętnie wówczas dumasz, marzysz;
Każdy liść, co spada z drzewa,
Każdy wicher, szum, ulewa,
Każdy dźwięk, co brzmi w oddali,
Każdy plusk jeziora fali,

Każda rzewnej piosnki nuta,
Każda z podań baśń wysnuta, —
Wszystko, wszystko cię przenika,
Wszystko wówczas zda się skarży:
„Znikła wiosna, lato znika, —
Czemże jesień nas obdarzy?...“
A ty moje chłopię drogie,
Czyś choć raz pomyślał o tem,
Co to będzie potem... potem...
Gdy dni wiosny miną błogie?

Al. Bol. Brzostowski.

MYŚLI i ZDANIA.

— Rozum rodzi cnotę, głupstwo występek.

— Wiele czyń — mało mów.

— Wszystko jest chwilowem na tym świecie, oprócz jednej prawdy która jest wieczną.

— Oczy są zwierciadłem duszy. Im dusza cnotliwsza, wzrok spokojniejszy.

— Występek i cnota nie lubią światła dziennego. Ta jest tylko różnica, że kiedy o występku dowiedzą się zawsze z czasem ludzie, o cnocie, często Bóg tylko wie jeden.

— Niech nie wie lewica co daje prawica.

Od wydawnictwa.

Zawieszając wydawnictwo „Promyka“, mamy honor nadmienić, że ci z szanownych przenumeratorów którzy złożyli przedpłatę na kwartał czwarty, odebrać ją mogą z księgarni F. H. Richtera we Lwowie.

88

